

KURPIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

KAZIMIERZA WŁADYSŁAWA

WOYCICKIEGO.

Wydanie nowe uzupełnione
w dwóch tomach.



L. W Ó W,

DRUKIEM I NAKŁADEM M. F. POREMBY

1856.

430804

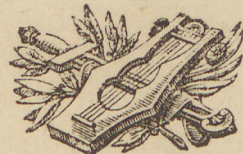
KURPIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

KAZIMIĘRZA WŁADYSŁAWA

WOYCICKIEGO.

**Wydanie nowe uzupełnione
w dwóch tomach.**



WE LWOWIE.

DRUKIEM I NAKŁADEM M. F. POREMBY

1856.

WYDAWCA
KSIĘGARNIA WARSZAWSKA
WŁOZYŃSKIEGO

WYDAWCA
KSIĘGARNIA WARSZAWSKA
WŁOZYŃSKIEGO

„Stara powiastka jak wino z Tokaja,
„I serce zagrzewa i umysł upaja.”

Dominik G. Magnuszewski (Konfederat).



430804



K.1059/72

TOM I.

J MOT

I.

„Rozpuścił swe proporce swawolnik zuchwały,
„Całe powiaty przed nim, przebóg! uciekały!
„Niehyl ktoby się oparł, takiej nawałności,
„Tys to dopuścił. Boże, na nas z wysokości!”

(Trąba na rozpruszonych do obozu przeciw
Kozakom z 17. wieku, in 4to)

B było to w Styczniu 1708. roku; na małym kominku palił się ogień, przy nim siedział w wielkiem, z wysoką poręczą krzeście, stary Ordon, i nucił psalmy Dawida, przekładu Jana Kochanowskiego z czarnego lasu. Ale śpiew jego był cichy, głos drżący był to starzec już 65 lat wieku liczący, towarzyszył wypraw Jana Sobieskiego, który wiele jeszcze zapamiętał z czasów Jana Kazimierza, bo w kwiecie wieku służył w huzarskiej chorągwi Stefana Czarnieckiego. Chociaż wiekiem styrany, siwizną okryty, zachował czerstwość na licach i żywość młodzieńczą; siedział właśnie w swojej sypialnej komnacie, grzejąc się przy kominku. — W rogu ściany stało jego łożo nie puchem wysłane, materac twardy skórą łożą zasłany, na niej rozciągnięta skóra niedźwiedzia, skórzana włosem wypchana poduszka pod głowę, burka do okrycia, oto było łożo starego Orдона. Nad niem wisiał kord krzywy, kolcza zbroja, chełm ozdobny i skrzydło orle w srebro oprawne, zabytki ubioru huzarskiego; pod tém wielki krzyż hebanowy.

Chrystusem ukrzyżowanym i relikwiami śgo. Bonifacego, którego ciało w Czerniakowie pod Warszawą spoczywa, gdzie rok rocznie mnóstwo pobożnych w pierwsze dni majowe wzywa jego opieki i pomocy.

W przeciwnym rogu komnaty stała mała szafeczka z cisowego drzewa snycerską robotą, gdzie ulubione księgi przechowywał Ordon. Tam w pergamin lub skórę oprawne znajdowały się kroniki: *Bielskich*, *Gwangnina*, *Strykowskiego*. — Zielniki potrzebne do apteczki domowej *Marcina z Urzędowa*, i *Syreniusza*; *Bardzińskiego* przekład tragedji Seneki, a *Morsztyna Kornela* Andromaki i Cyda. Zbiór poezji *Wespazyana z Kochowa Kochowskiego*, pod tytułem: *Nie próżnujące próżnowanie*, i *Wiedeń wybawiony*. Wiele dzieł *Samuela z Skrzypny Twardowskiego*, między temi *Poselstwo sławne Księcia Zbaraskiego do Turek*, *Przyszłowie Fredry*. Kronika *Orzechowskiego*. Dworzanin *Górnickiego*, *Pisma Miłkołaja Reja z Nagłowic* i wiele innych.

Na stoliku leżały roztrarte *Metamorfozy Owidiusza*, przekład *Chrościńskiego*, ulubione dzieła *Orдона*, tém więcej że żył w ścisłej przyjaźni z *Chrościńskim*, który przybocznym był sekretarzem *Jana III.* i sławnym w ówczas poetą. Przez niego był przedstawiony *Sobieskiemu*, który poznawszy wielkie zasługi *Orдона*, darował mu wioseczkę *Jazdów*, gdzie spokojnie resztę życia przepędzał. Wystawił sobie dwór porządny, i z kochaną *Małgosią* i dziećmi, przy skrzetności i gospodarstwie nazywał się szczęśliwym. Że to był wieczór, swoim zwyczajem nucił pieśni pobożne; w pobocznej komnacie siedziała pani *Ordonowa*, zajęta naprawą rogówki, przy niej *Zosia*, jej córka, przędząc na kołowrotku.

Cóż tak zamyślona? mówiła do *Zosi*, czekasz na *Stasia* zapewne?

Na wspomnienie *Stasia*, *Zosia* raka upiekła i spuściła oczy.

A bywało dawniej, to *Zosia* matce prześpiewała wieczór, zabawiła, teraz siedzim jak mruki.

Zosia nie śmiała nic odpowiedzieć, tylko zanociła piosnkę dawną, którą matka śpiewała w swojej młodości. (*)

W niedzielę rano słońeczko wschodzi,
Śliczna panienka w pole wychodzi:
Miłego wyglądając, z radością go czekając,
Radaby go ujrzała.

Wejrzy raz, drugi, nic nie wesola,
Po trzecie wejrzy, z prędką zawoła:
Jedzie mój kochaneczek, i niesie mi wianeczek,
Jedź rychło ma radości!

W pole wyszedłszy, tam sama jedna
Chodzi, jak jaka owieczka błędna,
Żałośnie w niebo wgląda, od Boga łaski żąda,
Daj Boże miłych gości!

Po polu chodząc, troszczy się wielce,
Aż się jej ledwie nie puka serce;
W koszyczek malowany, od *Jasia* darowany,
Polne kwiateczki zbiera.

Wyszła godzina, druga docieka,
Anusia płacząc, ciężko narzeka,
Aż oczy upłakane, i jagody różane,
Chusteczką łzy ocięra.

(*) Pieśń ta wyjęta z bardzo rzadkiego zbioru starożytnych piosnek, pod tytułem:
„*Dama*, dla uciechy młodzieńcom i pannom, w której się „zamykają: pieśni, tańce i padwany rozmaite.”

Po trawie chodząc nóżeczki rosi,
 Spodniczki sobie trochę podnosi,
 O zwrócenie miłego i dobre zdrowie jego
 Boga usilnie prosi.

Niech poznam cząstkę łaski Twój, Panie!
 Przynies mi, proszę, moje kochanie;
 Niechaj mnie dziś nawiedzi: umrę....

W tém głośno Pokurcz zaszczeakał na podwórzu,
 Zosi mocno serce bić zaczęło, niedługo rzctworzyły
 się podwoje i wszedł gość spodziewany. Był to
 Stanisław Telembski, dworzanin pani wojewodziny
 rawskiej, młodzieniec dorodny. Zosia stanęła cała
 w ogniu. Matka z uśmiechem powitała Stasia, który
 pospieszył do sypialni starego Ordon.

Quomodo vales? mój Stasiu, rzekł starzec? po-
 dając mu drżącą rękę.

Telembski pocałował ją z uszanowaniem. Cóż
 nowego przywozicie, gdzie nasz król najjaśniejszy?

Wszystko złe, mój Ojczy, Szwedy znieśli woj-
 saskie w Inflantach, już są niedaleko, a król Au-
 gust opuścił Warszawę i uchodzić musi.

Jakto! zawołał z uniesieniem Ordon, i w tej
 chwili sięgnął ręką jakby chciał szablę pochwycić,
 nie było nikogo coby się oparł najezdnikom, coby du-
 mie przytarł rogów?

Nikt im się oprzeć nie zdołał, na skrzydłach
 zwycięstwa i przestachu Karol XII. zajmuje Polskę,
 a sztandar Szwedów powiewa w murach Warszawy.

O czuję, rzekł z głębokim westchnieniem Ordon,
 czuję i cała Polska czuje, że niemasz Jana III.; nie
 takie zastępy doświadczoną rozbijał szablą: a teraz
 przed garstką najzdnców, wszystko piérzcha i ucieka.

Z początku, mówił dalej Telembski, wszystko szło
 pomyślnie w Inflantach, Szwedzi rozprószeni, waro-
 wne zajęto twierdze. Zdawało się, że wszystko sprzy-
 ja zamierzonej wyprawie. Król duński, August i Piotr
 Wielki, ze trzech stron nacisnęli Szweda; wielkie mia-
 no nadzieje, że Karol XII., zaledwie 19 lat wieku li-
 czący, niepotrafi stawić oporu, ale były to zwodne
 nadzieje. Karol bije Duńczyków, w 7000 swoich roz-
 bija 80000 Rossyan pod Narwą, zwycięża Sasów i
 strąca z tronu Augusta...

Więc do tej zuchwałości się posuwa najezdnik,
 że pozbawia korony tego, któregośmy wolnemi gło-
 sy, wolną obrali elekcyą? Cóż ma za prawo? może
 sam chce królem polskim zostać, jak Gustaw? ale
 Gustaw znalazł zdrajców Radziejowskiego!...

Zapomniałeś mój ojczy, rzekł z boleścią Telembski,
 że syn jego żyje: on to namówił Augusta do roz-
 poczęcia tej nieszczęśliwej wojny, on zachęcał kró-
 la, a teraz —

Jakto! zawołał Ordon, więc to sprawka pry-
 ma? o dobrze mówią:

Jakie drzewo, taki klin,
 Jaki ojciec, taki syn.

Niedaleko pada jabłko od swojej jabłonki.

Inflanty wiadomo ile jęczały pod żelaznym jarz-
 mem Szwedów; zubożeni podatkami, ciśnieni nie-
 sprawiedliwością, wysłali poselstwo do ojca dzisiej-
 szego króla szwedzkiego, Karola XI., z przedsta-
 wieniem i prozbami. W tém poselstwie odznaczał się Jan
 Reynhold Patkul, Inflantczyk, który śmiało i z godno-
 ścią wszystkie nieszczęścia swojej ojczyzny przedstawił.
 Z początku Karol XI. nie rozgniewał się wcale, owszem
 klepiąc go po ramieniu, rzekł: „Mówiłeś dzielnie za swoją

ojczyzną, szacuję cię zato! broń swojej ziemi jak możesz (*); ale niedługo rozkazał ich uwięzić i sądzić. Skazano ich na śmierć i ucięcie prawej ręki, wyroku wszelako niedopełniono z powodu śmierci króla. Gdy na tron wstąpił Karol XII. ułaskawił wszystkich będących przy wspomnioném poselstwie. Patkul niemógł korzystać z tej łaski, gdyż poprzednio uszedł do Polski, i naszego miłościwego Pana namawiał, by spieszył na uwolnienie Inflant z pod jarzma Szwedów. Wahał się August, ale go prymas Radziejowski pomimo oporu całej zwołanej rady zachęcał.

Cóż było Radziejowskiemu powodem do skłonięcia najjaśn. Pana? zapytał Ordon.

Mówią, mój ojcze, iż stany inflantckie przysłały mu 100,000 talarów za to.

Rozumiemy! szlachetne pobudki, a teraz w biednej Polsce krew przeléwać będą. O nieszczęśliwa ziemi! kiedyż Bóg dobrotliwy litosném spojrzy na cię okiem? i otarł łzy z sędziwego lica.

Tak więc wojna zaczęła grozi nam zniszczeniem, a najjaśn. Augustowi utratą korony.

A ów Patkul, gdzież przebywa?

Teraz w usługach Piotra Wielkiego zostaje i wielkie mu przysługi czyni. Karol XII. gwałtem chce go dostać, dopięroby się pomścił.

I nikogoż do obrony ojczyzny niemasz?

Żyjemy jeszcze i ta ręka władą, zawołał z uniesieniem Telebski, niedługo znajdzie potężny opór, i chyba po naszych trupach krokiem dalej na ziemi polskiej stanie. Wojska nasze zgromadzają się zewsząd, szlachta w Sandomierskiém ogłosiła konfederacyę w

(*) Journalé de Pierre le Grand.

Dzikowie i każdego za nieprzyjaciela ojczyzny, ktoby Szwedowi pomagał, śmierć im nasze kordy zaniosą.

Z rozrzewieniem przycisnął do łona Ordon młodzieńca. — „Mój synu! widzę że prawdziwie krew polska w żyłach twoich biele, bij tak wrogów ojczyzny jak i my bili za ś. p. naszego kochanego Jana, któremu niech Bóg udzieli światłość wiekiustą” — i uchylił pobożnie głowę.

Tymczasem przygotowano wieczerzę, Ordon, którego wspierał drżące kroki Telebski, wszedł do jadalnej komnaty i usiadł przy swojej Małgosi, a Zosia, siedząc przy ukochanym Stasiu, ciągle wlepione miała oczy w dorodne oblicze młodziana.



II.

„Bijące w Polskę pioruny
 „Nie wygasły jeszcze w niebie.”
 H. Fredro. (Obrona Olsztyna.)

Polska w obecnym czasie niniejszej powieści smutny przedstawiała widok. Postępował zwyciężkami chorągwiami bohater lodowatej Skandynawii bez oporu, wojska saskie rozbite, August zmuszony ze stolicy uciekać, w kraju mnożyły się coraz większe partye, które wzajem z sobą walczyły jak nieprzyjaciele i najeźdźcy, a wszystkiego sprawcą i podżegaczem był Michał Radziejowski, prymas i kardynał. — W Litwie wybuchła wojna domowa między Sapiehami a szlachtą litewską, co jeszcze więcej pogorszyło i stan Polski i los samego Augusta.

Oburzona szlachta litewska dumą i przewagą domu Sapiehów, gdy ci wszelkie zajęli dostojęństwa i szafarzami urzędów dla swoich stawinogów byli, ogłasza konfederacyą, i zbiera się licznie pod Ołkiniki. Sapiehowie zgromadzają wojska Rzeczypospolitej, obiedwie strony przygotowały orężę krwi bratniej chciwe; stoczono bitwę, w której Sapiehowie na głowę porażeni, jeden z nich, koniuszy wielki litewski, otoczony z 1500 jazdy i wzięty w niewolę, na szablach rozjątrzonej szlachty rozniesionym został. Sapiehowie zgnębieni i zubożeni, szukali wsparcia u króla Augusta, ale Radziejowski tyle zabiegami swemi dokazał, że ci, nieufni i podejrzliwi, złączyli się z Karolem XII.

Tak więc nietylko zwyciężkim orężem, ale niezgodą wewnętrzną wkorzeniał przewagę swoją w Polszcze król szwedzki, silną pomoc w Radziejowskim znajdując, który zaprzysięgłym był wrogiem Augusta, a ta niechęć oddawna była widoczną.

Gdy bowiem zakończył życie pogromca Turków, Jan Sobieski, gdy Marya Kazimira tyle zemstą uniesioną była na syna swego, księcia Jakóba, iż mu zagroziła drogę do tronu ojca, między wielą kandydatami odznaczali się książę de Conti, którego stronę zapłacony wspierał Radziejowski, i August elektor saski. Ostatniego stronnictwo przemogło, a książę de Conti, chociaż przybył do Gdańska nieładząc się nadziejami zwodnemi Radziejowskiego, wolał wrócić do Francji, gdzie spokojnie i w lubem zaciszu życie przepędzał, niż niepewnym bojem dobijać się niepewnej korony. Radziejowski, chociaż opuszczony od niego, dumny aby się uniżyć Augustowi, podał mu warunki, pod którymi go dopiero uzna za króla polskiego. To najlepszym jest dowodem jego zarozumienia, miłości własnej i niepohamowanej dumy, co wszystko boleśnie zranił król August, gdy odrzucił podane warunki, a Radziejowski musiał zdać się na łaskę monarchy; odtąd był zaciętym wrogiem, a każdy czyn jego znamionowała zemsta, którą oddychał. On namówił Augusta do zaczęcia wojny szwedzkiej, tak nieszczęśliwej dla Polski, on zdradnie zwabiwszy do Warszawy osadzonej Szwedami panów radnych, zmusił do detronizacyi Augusta, on niezgody domowe podsycił, rozplenił, słowem wszelakich nieszczęść był powodem.

Los prześladował Augusta, we 12000 wojska Rzeczypospolitej i 12000 Sasów cofał się przez Sandomierskie do Krakowa. Szlachta polska jedna

wspierała w nieszczęściu króla, druga żądała nowój elekcyi. Wtenczas to wsławił swoje imię Szmi-gielski, starosta poznański, potężny mściciel obrażonego majestatu Augusta, który zwyciężkami podjazdami, zachwiał aż dotąd pewną i nieprzełamaną potęgę Karola XII. Był on postrachem Szwedów, samo imię jego ze drżeniem wspominali.

August strącony, ogłoszono wolną elekcyę pod hagnetami Szwedów.

Przystępując do kręślenia dalszego ciągu powieści, należy chociaż po krótko wspomnieć o Kurpiach, jako dotąd mało, prawie zupełnie nieznanymi. Kurpie, jest to o ile się zdaje pokolenie jednego szczepu z Mazurami, które osiadło nieprzejrzone lasy mazowieckiej ziemi; szczególném ich zatrudnieniem myśliwstwo i pszczół chodowanie. Jeżeli Krakowiak, Sandomierzak i Goral mają sławę z odwagi i męstwa, nieustępują im w niczém Kurpie. — Nazwani tak zostali od obówa ze skóry lub kory lipowej, które zwyczajnie noszą, w tej stronie zwane kurpie, jak w Karpatach kierbce, na Rusi postoły, w innych prowincyach łapcie lub chodaki.

Zręczni w celném strzelaniu, odważni do podziwiania, są przytém lubieżni i mściwi. Następny z najpóźniejszych czasów przykład objaśni to dokładnie:

Stary Kurp, w zakazanych lasach już na pruskiej ziemi, zabił jelenia i ukrył, chcąc wieczorem unieść swoją zdobycz. Leśnik królewski dostrzegł kradzieży i umyślił sprawcę surowo ukarać. — Zaczajony czekał; stary Kurp przybywa gdzie uchowal jelenia, leśnik mierzy, strzela, i chociaż chciał tylko postrzelić, zabija Kurpia. — Syn, wiedząc o wyprawie ojca,

napróżno go oczekiwał; w krótkce odkrył morderstwo, uniósł ciało zabitego na swoich barkach, zagrzebał i na mogile zemstę poprzysiągł. — Nabiał strzelbę, a wywiedziawszy się gdzie przebywa zabójca, pospiesza. Mieszkał leśnik w ustronnym domku; na kominie palił się ogień, przy nim siedział, piastując na kolanach małego syna. — Ten widok zachwiał Kurpia, bo pomyślał, że nabój gotowy a chciwy tylko iskry, pozbawi tę niewinną istotę ojca i zrobi sierotą. Ale zemsta przemogła, zmierzył i z połykiem padł ugodzony kulą w same czoło leśnik, i dziecię z bezwładnych rąk wypuścił.

Chaty mają porządne, w której jako sprzęt najpierwszy ujrzysz na ścianie strzelbę i torbę. — Przesądni i zababonni jak inne pokolenia, mają swoje wyłączne, szczególnie gusła myśliwskie, z których wiele ninięjsza obejmuje powieść. Siedziby własne uważają jakby kraj oddzielny. a za stolicę Kurpiów liczą się Myszeniec i Ostrołęcka, za własne rzeki Narew i Omulew.

Imię Kurpiów zaczęło głośno słynać od czasów obecnej walki ze Szwedami, a zręczność w strzelaniu uwieńczyli myśliwi przysłowiem: „Strzela jak Kurp” co jest największą pochwałą doskonałego myśliwca.



III.

„A odjechać od niej nudno,
„A przyjechać do niej trudno.”

Pieśń gminna.

No, mój Stasiu! mówił stary Ordon do Telembskiego, zapewne zabawisz z nami dni kilka?

Niewiem ojczy, odpowiedział, radbym z duszy, i spojrział na Zosię; jakże mi tu przyjemnie wypoczywać po trudach.

Stasio, jak zechce, to i zabawi, rzekła pani Ordonowa, zapewne nic niema pilnego na dworze pani wojewodziny.

Moja matko! czekam co chwila listu, ważne tam zajść dotąd mogły zdarzenia; pani wojewodzina jest wyższą nad pfeć swoją.

Słyszałem o tém, że to dziwna białogłowa: poluje jak mężczyzna, dzielnie włada kordem.

I teraz go dobędzie, przerywając Ordonowi, zawołał w zapale Telembski, dobędzie w obronie praw i obrażonego majestatu najjaśniejszego Augusta.— Jakbym słyszał, że już odgłos trąb i kotłów na jej dworze zapowiada wojnę, wojnę krwawą najezdnikom naszej ziemi.

O! przyjechał jakiś posłaniec, rzekła Zosia stojąc w oknie, widać że od znakomitej osoby, bo u słupa przy złotém kółku konia przywiązał.

Było to albowiem starożytnym zwyczajem w Polsce, że na podwórku przed domem panów i znakomitszej szlachty stał wkopany słup wysoki, przy którym znajdowały się trzy kółka, do których wiązano konie. Kółko żelazne, srebrne i złote; u żelaznego przywiązywał lejce wieśniak tylko, u srebrnego szlachcic, a u złotego posłaniec znakomitego pana.— Zachował ten zwyczaj i Ordon, a lubo kółko w miejscu do tego było mosiężne, lekko pozłacane, wszelako nazywano złotém, i Zosia dla tego uwiadomiła, że posłaniec u złotego kółka przywiązał konia.

Niedługo wszedł Jan Huczko, pachołek przywiązany szczególniej do Telembskiego, i z niskim ukłonem oddał mu list.

Od kogo? zapytał niespokojny.

Od jaśnie wielmożnej pani. —

Telembski prędko oddał pieczęć i przeczytał te słowa:

„Za odebraniem tego listu natychmiast waszmość pospieszysz do Myszeńca drogą, jaką ci wskaże posłaniec umyślny.”

Cóż się tam stało nowego? zapytał pachołka.

A Bóg wie, co się tam dzieje, wielmożny panie, odpowiedział. Na dworze jaśnie wielmożnej pani, mnóstwo ludu zbrojnego zbiera się coraz więcej, po wsiach uderzono na gwałt, w lasach precz pozawalano drogi, nacięto drzewa, pokopano rowy, napuszczono wody. żeby utrudzić przejście Szwedom; bo słychać że przez nasze lasy chcą przechodzić. Wiele i z panów szlachty się najechało, mówili że czekają na jakiegoś wielkiego pana, jakiegoś starostę.

Ruszaj, mój Janie! zawołał Telembski, i okulbacz konia, niech będzie w pogotowiu. Huczko z niskim ukłonem odszedł i pospieszył do stajni.

To i pan Stanisław odjedzie? rzekła z rumieńcem niewinna Zosia.

Muszę! była cała jego odpowiedź, całe uniewinienie, jednakże bolesne westchnienie i łza cicha najlepiej świadczyły ile go to kosztowało.

Komu w drogę to i czas, rzekł stary Ordon; ja napiszę parę słów do waszmości benefaktorki, była ona zawsze łaskawa na Ordonów i Telembskich, jako i jej ś. p. małżonek: a wy, moja kochana Małgosiu, zaopatrzenie Stasia na podróż w potrzebne wiktuały.— Podniósł się ze swego krzesła i przeszedł do sypialnej komnaty dla napisania listu; pani Ordonowa pospieszyła do spiżarni. Telembski zbliżył się do zasmuconej Zosi, niemogącej łez wstrzymać.

Moja Zosiu, nie płacz, Bóg dozwoli że się jeszcze widzieć będziemy i żyć szczęśliwie. Zosia wsparła głowę na jego ramieniu i przycisnęła mocno rękę do swego serca.

Była to zbyt bolesna, zbyt rozrzewniająca chwila dla Telembskiego; trzymał w objęciu swoim niewinnego anioła, który w nim tylko swoje szczęście, swoją przyszłość i świat cały upatrywał, przycisnął do serca ukochaną Zosię i z zapamiętaniem w różane pocałował usta.

Wkrótce Ordon przywołał go do siebie.

Masz waszmość list do jaśnie wielmożnej wojewodziny, wiemy iż łaskawym okiem przeczytała go raczy. Niezapomniemy tu o was, mój kochany Stasiu, czekać was będziemy z Małgosią i Zosią.

Telembski ucałował rękę Ordonu, a Małgosia nadeszła niedługo i sama.

No jużem cię uprowidowała, masz dla siebie czworo kurcząt pieczonych, szynki kawałek, chleb, sэр, masło młode i pieczeń huzarską, a dla pachółka dałam parę półgasków świeżych.

Huczko wyprowadził ze stajni konie na podwórze; Zosi żał serce ścisnął, rzewnemi zalała się łzami. — Telembski pożegnawszy rodziców, przybiegł do Zosi.

Bądź zdrowa, moja droga, moja kochana Zosiu!

Niech cię Bóg szczęśliwie prowadzi! mój Stasiu, ale jakieś mam smutne przeczucie, że się już nie zobaczymy: zachowaj to odemnie, może cię kiedy od złego wypadku ustrzeże, i podała mu szkaplérz swojej roboty, z matką Boską Częstochowską.

Telembski ucałował Zosię i ze łzami wybiegł na podwórze, dosiadł zrecznie rumaka, jeszcze raz skłonił się państwu Ordonom, wchylił czapki i dał ostrogę. Bułanek spiął się w górę i poskoczył z prawej nogi galopa. Zosia stała przy oknie, ocierając łzy często, bo jej zasłaniały Stasia, który odjeżdżał i niknął coraz w pośród wysadzaną lipami drogi, Ordon wraz z żoną patrząc za nim, wciąż żegnali i błogosławili: „Niech go Bóg szczęśliwie i zdrowo prowadzi!”

Zosia, ażeby łzy ukryć przed rodzicami, usiadła przy kolébce dwuletniej Jadwisi, siostry swojej, chciała jej nócić kołysząc, ale zamiast śpiewu, łkanie rzewliwe w alkowie słychać było.

Telembski powoli zwolnił galopa, bo sie Bułanek spienił, a obracając się do pachółka:



Cóż tam więcej słyhać?

Nic więcej, wielmożny panie, spodziewamy się tylko, że tebie zażebki będą z temi Szwedami. Na dworze pan podstarości mówił: że z Boską pomocą damy Memcom radę; że nasz król, co teraz uciekać musi, powróci, a wtenczas każdego hojnie nagrodzi co za jego sprawiedliwą stroną trzyma, o każdym pomyśli; że do naszej pani i sam król niedługo przyjedzie.

Gdzież wojewodzina? zapytał znowu.

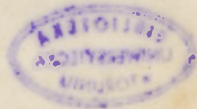
Jaśnie wielmożna pani we dworze przyjmuje i częstuje gości, a wino leje się jak woda.— Kucharz Maciej dobrze poci czoła, to też się na wszystko gniewa.— Przywieźli wiele prochu, i rozdają go strzelcom i Kurpiom, żeby sobie przyrobili ładunki, każdy, jak to mówią, teraz się stroi i zbroi.— Po uowym roku pani wiele podarunków rozdała; Kasia mi mówiła, że jakiś śliczny podarunek dla wielmożnego pana ma sama pani zachowany, ale prosiła mnie o sekret na miłość ran Boskich, żebym nawet i panu nic nie mówił.

Niedotrzymałeś mój Janie słowa, rzekł z uśmiechem Telebski.

A kiedy bo ja ino niemogę nic utaić przed wielmożnym panem, odpowiedział z prostotą i skrobiąc się po głowie, i jak co wiem, to prawda nic nikomu nie gadam, ale paru muszę powiedzieć i lżej mi dopięro na sercu.

Dziękuję ci mój Janie, wiem że mnie kochasz, i podał mu z dobrocią rękę; Huczko ze łzami ją ucałował.

Ale mi żal było panny Zosi, rzekł po chwili, biedny gołąbeczek, jak też to płakało! widać że

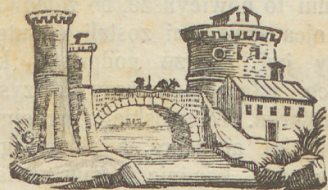


mego paniska bardzo kocha, o i stare państwo sami także kochają. Dworscy mi mówili, że pana jak syna już swego mają.

Telebski z rozrzewnieniem słuhał Jana, na ostatnie jego słowa: „O dałby Bóg najwyższy!” pomyślał, „ażebym spełnił ich życzenia.“

To już dobra miła od Jazdowa, zawołał Huczko, bo widać Czerwoną karczmę, a tam poczciwy arendarz, trzeba by spocząć koniom, żeby siano przejadły.

A ty się wódki napił, rzekł Telebski. Jan uchylił czapki z uśmiechem, stanęli przed karczmą, pachofek wprowadził konie do stajni, kazał dać siano, wychylił półkwaterek szumówki, widać że smacznej, bo aż splunął i wasa pokręcił; Telebski wszedł do izby napełnionej chłopstwem, żydami i kilkunastu szlachty wracającej z blizkiego kierzmaszu.



IV.

„Mury w gruzach, na miejscu zamkowego gmachu
 „Sterczy nędzna karczemka bez okien i dachu;
 „Tam na popasie z nudy rozważać począłem
 „Miny i mowy ludzi siedzących za stołem.“

Adam Mickiewicz (Popas w Upicie.)

Przy wielkim stole zastawionym faszami wódki i miodu, siedział we środku szlachcic Zaręba, przy nim młody Załyński z pod Łukowa z jednej, z drugiej strony Puchała od Częstochowy, ważną zajęci rozmową. — W jednym rogu dalej rozparty kiwał się nad kwatérką wódki pan majster, jak go nazywano szewc z Denkowa, który z zapałem wykrzykiwał i pięściami nawet chciał dowodzić innym, że jest najstarszym majstrem, bo z dziada, pradziada szewcem, a inni to nowicyusze, bo zaledwie mogą wywieść, że z ojca szewcami zostali. Resztę stołu osiedli wieśniacy już dobrze podpici i kilku żydów z kramami, co właśnie zbywszy korzystnie towary, wracali z jarmarku. Telebskiego uprzejmie i z uszanowaniem przyjął arendarz, a żona jego fartuchem wytarła ławę przy kominie, i zapraszała do zajęcia miejsca. Usiadł. w milczeniu przysłuchując się tej wrzawie karczemnej.

A wiesz co wasan! rzekł młody Załyński do Zaręby, że to nie bajki, i jać tam niedaleko mieszkam.

Ja niezapieram tego, odpowiedział Zaręba, tylko byłoby o tém głośnieję słychać.

Daję wasanu rękę i przysiądz gotów, Szwedzi z Biały chcieli napaść kościół Pauliński w Leśnie, a to wioseczka o milę od Biały, klasztor sam wielki murowany, ogromne organy, a piszczałki takie grube, że ja bym się, jak wdzieję nowy kozuch, w każdój obrócił.

Na te słowa wszyscy uwagę zaczęli zwracać i ruszać głowami na znak podziwienia, sam pan majster umilkł i spluwając co chwila, ustawicznie: „to prawda, to prawda!“ powtarzał. Załyński widząc jak go całe zgromadzenie słyca, z większym zapałem ciągnął opowiadanie:

Bogactwa wiele, bo tam każdy pan, szlachcic i chłop nawet, doznawszy jakiego cudu, zostawiali wota. Szwedzi ułakomili się, i pod wieczór ruszyli, już byli blisko klasztoru, aż tu na grobli zastępują im rycérze, a wszystko białe żupany mieli, czém przestraszeni uciekli, — śmielsi jednakże przespawszy noc w lesie, rano wpadli do klasztoru i zaczęli rabować, ale ich niewidoma siła powyrzucała oknami. Na pamięć tego pomalowano obrazy, i każdy je w kościele widzieć może. (*)

A dawno to? zapytał Puchała.

Niema kwartału, odpowiedział Załyński, to niedaleko odemnie, siedem mil tylko, nieraz tam na odpuście bywaliśmy.

(*) Całe to opowiadanie jest oparte na aktach miejscowego klasztoru, który sławny jest w okolicy obrazem cudownym Matki Boskiej, co się objawiła 1683. roku (kiedy Jan Sobieski był pod Więdnem) na drzewie gruszkowém. Obrazy wspomniane dotąd widzieć można zachowane jak Szwedzi wylatują z wyniosłych wież kościoła. Rok rocznie na odpusta zgromadzają się tysiącami pobożni z dalekich nawet okolic, bo liczne dawniej cuda wslawiły głośno leśniński klasztor.

Nie dziwnego, rzekł Zareba, pokręcając siwego wąsa, toć Matka Boska za mojego ojca odpędziła najprzód Szwedów od Częstochowy, a niedługo z całej Polski, może i teraz będzie naszą patronką; bo co źle idzie to źle, nasz król uciekać musi, Warszawę Szwedzi zajęli, i nikt się tej żelaznej głowie oprzeć niezdolny. (*)

To kłamstwo! zawołał z gniewem w milczeniu siedząc dotąd w rogu stoła młody szlachcic, którego nikt nieznał. Na żebrak żelazny mamy kordy żelazne, mężne serca i pewne ręce; pan starosta Szmiński pokazał, że można bić i pobić Szwedów.

Wszyscy spojrzeli na niego, był to młodzieniec zaledwie 20cia lat wieku liczący, wysoki, silnej postaci, twarzy przyjemnej. Miał na sobie granatową bekieszę, pod nią kaftan łośi, pas takiż z dwoma pistoletami, przy boku wisiała krzywa Augustówka. (**)

Na głowie z czarnym barankiem karmazynowa kondratka. (***)

Telebskiego zwrócił także uwagę na siebie, zbliżył się więc do niego.

„Mój bracie, zapewne wiecie gdzie się pan starosta obraca.”

Dla mężnych i poczciwych niedaleko, dla tchórzów i zdrajców zadaleko.

Telebski porwał go za rękę i kilka słów rzekł z cicha, młodzieniec ochłonął z zapału, uchylił czapki i wyszli razem z izby.

„Co to za płaszek opryskliwy!” rzekł Zareba „czy go nie znacie?”

(*) Tak nazywano Karola XII.

(**) Rodzaj sławnych polskich szabli.

(***) Czapki ze czterema rogami, jak Krakowskie dotąd.

Nikt go nie zna, odpowiedział arendarz.

To prawda, to prawda! pomruknął spluwając pan majster.

Może to szpieg szwedzki, zawołał Puchała.

To prawda! to prawda! pomruknął znowu pan majster.

Ta uwaga trafiła wszystkim do przekonania. — Puchała, Załyński i kilku innych porwało się od stołu i pobiegli do stajni. Zerwał się żwawo z początku pan majster, ale niemogąc się na nogach utrzymać, usiadł jeszcze przedź, ciągle spluwając, spoczął chwilę, dobył z krótkim cybuchem fajki i znowu się podniósł. — Z wielką biędą wytoczył się przeciw na środek izby, ale dalej iść niemógł, rozkraczył nogi, a niewiedząc co z sobą robić, zaczął przyspiewywać kaczkołatym głosem:

„Niewiecie chłopaki jak dziewczyny dostać,

„Skłonić się matuli, po gorzałkę posłać.

Tupnął dla taktu nogą, w podłogę, stracił przez to równowagę i potoczył się aż do komina. Szczęśliwym to wszakże można nazwać dla niego trafem, żeby nie ten skok nagły, byłby niedoszedł tak przedko komina, ani mógł zapalić nałożonej fajki.

Tymczasem Puchała, Załyński i ci wszyscy, co wybiegli do stajni, wrócili.

Uciekł nam płaszek, uciekł, zawołał Puchała, wysłiznął się nam z ręką.

Cóż to za jeden ten drugi panicz, co mu cicho kładł w ucho? zapytał arendarza Załyński.

Oto szlachcic, taki dobry jak i pan, odpowiedział, on jest na dworze u pani wojewodziny rawskiej.

To Telebski, rzekł głaszcząc czuprynę Zareba, znamy się od dawna, ale paniczek zhardział, jak do dwora się dostał, boć to powiadają:

„Że u dwora niepopłaca cnota i pokora.”

Prawda, prawda! znowu się odezwał pan majster. — Niemogąc się utrzymać na nogach, położył się na stół w połowie i omglałe oczy zwracał na każdego, co który zaczął mówić.

Gońmy ich, rzekł po chwili Załyński, przecież się prawdy dowiemy.

Dobrze! dobrze! zawołał Puchała, Zaręba i kilku innych, i poskoczyli do stajni.

Dobrze! zawołał z niemi pan majster, i chciał razem poskoczyć, ale w tejże chwili zwałił się pod ławę i musiał zaprzestać pogoni.

Telemski z nieznanym młodzieńcem spieszyli, a za nimi Jan Huczko; było to nad wieczorem, słońce zniżało się ku zachodowi, niewidać w polu pracowitych wieśniaków, gdyż właśnie była niedziela, gdzie niegdzie tylko pastérze gnali bydło i owce ku domowi.

Czy widzi pan? rzekł Huczko: widać ztąd jeszcze wieżę kościoła w Jazdowie.

Telemski spojrział w tę stronę z westchnieniem i zdawało się jakby usłyszał odgłos dzwonu na Anioł Pański.

Ona się modli zapewne, pomyślał, modli się i płacze. — Ciężko oddychał, żal mu serce ścisnął, ale niedługo myśli bliższej walki za ojczyznę i króla przytarły boleśne wspomnienie.

Młody jego towarzysz w milczeniu jechał, gdy znagła Huczko krzyknął:

A widzi pan, coś ośmiu szlachty pędzi za nami. Obejrżeli się ciekawie i postrzegli istotnie, jak podsiwiały Zaręba sadył naprzód na gniadym stępaku, zanim Puchała, Załyński i inni.

Telemski z towarzyszem wstrzymali konie.

„Stój no! panie bracie!” wołał zdala Zaręba.

„Stójcie! stójcie!” krzyczeli inni, i otoczyli w około.

„Coś ty za jeden?” spytał surowo nieznanego młodzieńca Zaręba.

„Tylko zdala, i nie tykaj,” odpowiedział zapytany.

„My musimy wiedzieć co waszmość za jeden,” rzekł wolniej Zaręba, widząc że błysła szabla ostrzona w silnej ręce przeciwnika.

„Niemacie żadnego prawa,” zawołał z gniewem młody nieznanomy, „a ktoby śmiał mi zastępować drogę lub zbliżać się zuchwale, to mu taką przylepię pamiętkę, że ruski rok przeleży nie lekko.”

Telemski ujął się za towarzyszem swoim, dobył Augustówki i groźno zawołał: „precz mi z drogi! czy to szlachta zastępuje, czy rozbójnicy?”

Huczko niewiele czekał, dał ostrogę, uderzył w konia Puchały tak silnie, że ten spadł na ziemię; rozstąpili się najezdcy, a Telemski z towarzyszem i pachołkiem wyjechali spokojnie.

Niech ich djabli porwą! rzekł Puchała, gdy go podnosili z ziemi, było po co gonić.

Mój bracie! odezwał się jeden ze szlachty, dawna przypowieśćka: „niekładź palca między drzwi, palca nieprzyskrzypią.”



V.

„Już sztandary z wiatrem wieją,
 „Bęben zwolna marsz wybija,
 „Jakby liczył krople krwawe,
 „Co się dzisiaj z serc wyleją.“

Alex. Hr. Fredro. (Obrona Olsztyna.)

Odgłos trąb i kotłów rozlegał się daleko po lasach mazowieckich, zapowiadając pochód zwyciężkich Karola XII. chorągwi. — Zatrzymał się myśliwiec sławny w tych stronach Borowy, wyteżył ciekawe ucho na te nieznanome brzmienia, i przysłuchiwał tonom przeciągłym, które roznosiło echo.

Diabły czerwone zagładają w nasze jamy, ale niejeden garniec krwi wytoczą Kurpie, nim zaczną płońć nasze chaty; dalej żwawo! rzekł sam do siebie, trzeba dać znać do dwora i naszych, i rączym poskokiem znikł w gęstwinie.

Niedługo wybiegł na pole, spiesznie zwrócił do dworu, który zamieszkiwała wdowa po wojewodzie rawskim, Działyńska. Budowla jego była jak zwykle niepozorna, z drzewa wystawiona wewnątrz dopiero przepych i bogactwo uderzały. W około ogród obszerny ze strzyżonemi szpalerami go otaczał, w nim drzewka pod linią sadzone, a trawniki bukszpanem ozdobne. — Dom ten obszerny zawierał wiele komnat, których ściany ubierały gustowne wybicia i bogate tureckie lub perskie dywany. Wielka sala objadowa miała chór nadedrzwiemi, gdzie nadworna mu-

zyka uprzyjemniała czas długiego objadu lub wieczery; w jednym rogu na machoniowych ligarach stała spora beczka srebrna, napełniona węgrynym, z niej w czasie uczty mógł każdy do woli puchary nalęwać. Na ścianach wisiały wielkie obrazy rodzinne i królów polskich; w niży między oknami błyszczała zawieszona zbroja szmelcowana i szczerozłota tarcza a na niej w płaskorzeźbie Jan Sobieski z husarską chorągwią rozbija nienaliczone zastępy Turków i Tatarów. Poboczne komnaty cechowała na przemiany prostota z przepychem, w alkwie stał wielki zegar z kukawką, jako osobliwość szczególna.

Pani wojewodzina siedziała zasmucona, niedaleko wielkich podwoi stał w milczeniu i z uszanowaniem Telembski, przy nim młody nieznajomy, który po chwili przysunął sobie krzesła i usiadł. Ten postępek zdziwił Telembskiego, gdy przeciwnie wojewodzina żadnej na to niedawała uwagi. W tej chwili weszło kilkunastu znaczniejszej szlachty, a za niemi wbiegł Borowy.

„Jaśnie wielmożna pani!“ zawołał, „już są, już są! odmogliły upiora zająrałem czerwonych diabłów.“

Jak piorunem rażony porwał się młody nieznajomy. — Działyńskiej zajaśniały ogniem czarne oczy. „Na konie! do broni!“ zawołała z zapałem, „podać mi zbroje! Telembski naprzód, a waszmość,“ rzekła obracając się do nieznajomego młodzieńca, „wiesz już stanowisko. — Borowy! do pierwszych zasieków, otoczyć w około, bronić się do upadłego. Posłaniec czy nie wrócił?“

„Nie, jaśnie wielmożna pani“ odpowiedział jeden z dwojzan.

„A więc uderzyła nasza godzina! w Bogu ufność a pewne zwycięstwo.“

Karol XII. na czele zwycięskiej 7000 armii wszedł w lasy mazowieckie drogą od Torunia; za ledwie pięć mil uszedł, staje przed nim Kurp prosty. „Co on chce?“ zapytał otaczającą siebie szlachtę polską.

Kurp zdjawszy swój kapelusz wstążką czerwoną ozdobny, „przyszedłem tu od swoich powiedzieć ci królu, że jeżeli te warunki przyjmiesz, które podamy, to cię przepuścimy przez nasze lasy, a jak nie, to i niepuścimy, choćby się i bić przyszło.“

Roześmiał się głośno Karol XII. gdy mu to wytłumaczono.

„Co, ja z temi chłopami bez butów mam się rozprawiać? precz mi z oczu! powiedz swoim, iż przy łunie ich chałup będziemy się grzali, bo to zimno teraz.“ Kurp spojrział bystro w oczy Karolowi i znikł w nieprzejrzanym lesie.

Piechoty szwedzkiej regiment w rozsypce idąc, nagle rzęsiwym ogniem rażony ze wszystkich stron, cofnął się bez zwłoki; droga była wązka, rozwinać siły nie można. Niecierpliwy Karol każe iść naprzód, Szwedzi z okrzykiem rzucają się mężnie i prawie wszyscy giną.

Trzęsły się dęby odwieczne od huku strzelby i wrzawy wojennej. Niedźwiedź wystraszony z legowiska z ponurym mrukiem uchodził, a dziki tur, wstrząsając grzywą, zapienił długą brodę z gniewu i wściekłości, oczy błyszczały mu jak węgiel, rzucał się w gęstwinie, i za każdym poskokiem chrząst łamanego drzewa daleko słychać było.

Widząc tak niespodziany opór, sam Karol XII. zsiada z konia, idzie na przebój, rzuca się pierwszy w rów głęboki i zdobywa szaniec niejako, gdyż były to drzewa zwalone, obronne wykopem, z za których Kurpie razili celnemi strzały.

Za zdobyciem tej twierdzy, Kurpie rozsypali się w jednej chwili i spieszyli do drugiej niedaleko położonej; ale Szwedzi umieli korzystać z położenia, gdyż kawałek pola dozwolił i szmigownicom działać i jeździe się rozwinąć, dla tego też walka była tu zaciętsza i krwawsza. Karol wsiadł na konia, kazał zatoczyć działa, a sam stanął na czele jazdy.

Ale pomimo iż używał większej siły, nierównie większego doznawał uporu, grzmiały szmigownice, łamały się drzewa, ale na krok dalej Szwedzi postąpić nie mogli.

Tymczasem Działyńska własnym przykładem zachęcając, wszędzie była, widziano ją zawsze w największym niebezpieczeństwie. — „Jeszcze chwila,“ wołała, „a noga Szwedów nie ujdzie!“

Jakoż niedługo, znagła w około powstały groźne okrzyki w pośród ogromnych lasów. Szwedzi poznali że są otoczeni, i w tymże czasie Telembski na czele jazdy ukazuje się, uderza sokolim rzutem na działa, i po krótkim oporze zdobywa. Jazda szwedzka przybywa swoim w pomoc, ale napróżno, rozbita ucieka. Dwóch silnych drabantów wszakże przypierali Telembskiego, jeden z nich już wymierzył cios śmiertelny, gdy ugodzony w pierś kulą spadł na ziemię. Telembski chciał ujrzyć komu winien ocalenie, ten cios zbawczy był z ręki nieznanego młodzieńca.

Szwedzi ciśnieni ze wszystkich stron, napróżno bronili się z rozpaczą, padali stosami, a trup ich podnosiły się wśród lasów jak dawne kurhany. —

Karol XII. spał konia i rzucił się naprzód zapamiętale, ale koń ugodzony, pada, z nim ostrach tyłu narodów, Karol; odgłos zwycięzkich Kurpiów rozlega się w około, a plac boju, ten cmentarz tyłu osiar, nieprzejrane tumany dymu zakryły.

Zwycięstwo było zupełne, cała armia szwedzka zginęła, gdy w téjże chwili dają znać wojewodzinie, że do tysiąca Szwedów opanowało Ostrołękę, i na cmentarzu kościelnym coraz się więcej warują. Działyńska zostawia Telebskiego, sama przywoławszy nieznanego młodzieńca, spiesza ku miastu.

Szedł na czele oddziału Kurpiów, Borowy, ale po dwu milowej drodze kazał stanąć do spoczynku; była już blisko północ, rozpalono ogniska. Działyńska ztrudzona, spoczywała pod rozłożystym dębem, rozwieszono dywany, które od wiatru i dymu chroniły. Nieznajomy młodzieniec usiadł przy najbliższym ognisku i pograżył się w głębokim dumaniu.

Szum wiatru przerywał tylko milczenie nocy, spokojność zaległa te lasy, które przed chwilą drżały od huków dział i strzelby. — Borowy grzejąc się przy ognisku, rozprawiał o wczorajszej walce, gdy znagła głośny śmiech na poblizkiem usłyszał drzewie. (*)

(*) Jest to rodzaj sów pospolitych u nas (*Strix stridula*, sowa rdzawa), których odgłos jest podobny głosowi śmiejącego się człowieka. Lud odgłos ten słyszany w nocy, bierze za śmiech diabła, szyszającego z pijanych lub obłąkanych wędrowników, i ztąd mnóstwo przesądów. Głos sowy, gdy na dachu usłyszą, biorą to za przepowiednię, iż ktoś w téj chacie umrze, i ztąd przysłowie, przez G. Knapskiego zachowane:

„Sowa na dachu kwili,
„Umrzec komuś po chwili.“

„W imię Ojca i Syna!“ zawołał przerażony, zęgnął się ustawicznie i spluwając trzy razy: „idź w swoją drogę, diable, nie kuś pocziwiej katolickiej duszy!“ ale śmiech trwał ciągle, a Borowy nie śmiał oczu zwrócić w tamtą stronę.

Niedługo świtać zaczęło, wojewodzina dała znak, ruszono dalej, przebyto na przygotowanych łodziach Narew i zbliżono się nieznacznie pod Ostrołękę.

Szwedzi na cmentarzu kościelnym mocno się obwarowali, drzwi zawalono, po oknach rozstawiono celniejszych finlandzkich strzelców, a gęste czaty nie dozwalały raptownego napadu. — Dowodził niemi pułkownik Rebinder, żołnierz dzielny i doświadczony.

Wszystko to rozważyła Działyńska, trzeba było walkę stoczyć otwartą, zaciętą, zdobywać mury warowne, a oddzielnie zdobywać kościoł. — Ale czas był drogi, Kurpie z okrzykiem poskoczyli naprzód, i od razu zbliżyli się pod same mury, dalej wszakże postąpić niemogli. — Działyńska widzi zawady trudne, w jednej chwili natchniona szczęśliwą myślą, wydaje nowe rozkazy; wkrótce ze stodoł i obor miejskich Kurpie wynoszą duże pęki słomy i zboża, i z temi rzuciwszy się pod mury, darli się jakoby po drabinach. — Walka była krwawą i wiele legło, pierwszy skoczył w środek cmentarza Borowy, a z to-porem w rękę rzucił się do bramy i zaczął wyrębywać, za nim stanął nieznajomy młodzieniec, i pospieszył mu w pomoc; widząc otoczonego od przemożnej liczby, otworzył sobie szablą drogę, przerzedził znacznie napastników Borowego, który kilku już powaliwszy, z jednym się pasował. — Był to grenadier szwedzki, olbrzymiej postaci, ale i Borowemu

niezbywało na sile, gdy toporem władać nie mógł, pięścią tak silny cios wymierzył w prawe oko, że aż w muzgu ugrzęzła mu ręka.

Wyrabano wrota, Kurpie ze wszystkich stron wpadli, zdobyli kościół, Szwedzi po większej części wyginęli, resztę wzięto w niewolę. — Rebinder z kościoła potrafił się wymknąć, już uchodził za murami, gdy go ujrzał i doścignął Borowy, porwał niedźwiedzią siłą za kark, rzucił o ziemię, rozbroił i wojewodzinie przystawił.

„Jaśnie wielmożna pani! przyprowadziłem tu Szweda, co się chciał wymknąć jak piskorz, alem go pochwycił, widać że to jakiś starszy.“

Działyńska uprzejmie przyjęła pułkownika, co niezmiernie zdziwiło Borowego, który nie żałował pięści swojej przed chwilą.

„Panie pułkowniku!“ rzekła, „czuję jego położenie, ale los wojny zawsze jest niepewny; Karol XII. wczoraj go doznał na sobie, a dziś dopiero wpan.“

„Jako?“ zapytał z podziwieniem Rebinder, „więc mój król niezwyciężony?“

„Zwyciężonym został,“ odpowiedziała Działyńska, „jeśli niewierzysz, oto trofea,“ i wskazała na pięć sztandarów szwedzkich.

Poznał je Rebinder, przybiegł a całując ze łzami: „o mój królu!“ zawołał i umilkł, bo żał mu więcej mówić nie dozwolił.

Wojewodzina rzekła po chwili:

„Jesteś wpan wolny, gdzie zechcesz, każę cię bezpiecznie odprowadzić.“

„Gdzie mój król? chcę losy jego podzielać.“

„Tam!“ odpowiedziała, wskazując na niebo.

Rebinder zakrył rękoma oczy, ażeby nie ukazać łez rzewliwych przed wspaniałą niewiastą.

VI.

„Uciekał każdy, kto uciekać mógł,
„Tam z kąd jasne słońce wstaje,
„I wolna była kraina.“

(Rękopism Królowowski.)

Noc ciemna przerwała bójkę krwawą. Karol XII. przedzierał się przez gęstwinę lasu, bez wojska, sam, tylko w towarzystwie przywiązanego drabanta, z Wę-gier rodem.

„Mercha cesta, bassamazania!“ (*) pomrukiwał drabant i przeklinał zwyczajem swego narodu.

Karol wydostawszy się na małe pole, stanął na chwilę, zdjął swój kapelusz, zatarł włosów, poprawił bawolego pasa, obejrzał pistolety i wskazał na prawo, gdzie błyszczało małe światełko.

„To sem swieti sia u sedlaka,“ (**) czy jego oswieconost' chce...“

Karol dał znak głową, że niepójdzie do chaty, pokazał tylko, żeby mu co jeść przyniósł.

Drabant swoją burkę wyszywaną rzucił na ziemię pod sosnę, Karol usiadł zmordowany. sam zaś przysporzył kroku spiesząc do chaty.

(*) Niegodziwa droga.

(**) To świeci się u wieśniaka.

„Przekłete zdarzenie!“ zawołał po chwili król szwedzki, „najlepsze straciłem pułki, któż mógł przewidzieć, że chłopcy bez butów (*) potrafią i bić się tak dobrze i tak celnie strzelać; ale oddam im z nasytką, krwawo się pomszczę tej kłeski!“

Tymczasem drabant zbliżał się do chaty, lecz coraz zwalniał kroku, przed samymi drzwiami zatrzymał się z obawą, po chwili uderzył w odrzwia rękojeścią pałasza.

„Najsłodsze imię Jezus! kto tam?“ odezwał się bojaźliwy głos kobiety.

„To sem ja... nech raczą otworyt dwery.“

„Jašku, Jašku! dyć pode drzwiami jakiś Memec stoi.“

Jasiek wejrzał oknem, a zobaczywszy drabanta: „a wielu was tutaj?“

„Sem ja jeden, paniczku.“

Jasiek otworzył drzwi, a drabant wszedł bojaźliwie do izby.

Na kominie palił się wielki ogień, pod oknami stała ława, przed nią stół duży, nakryty białym płótnem, i trzy misy. W rogu ściany obraz Matki Boskiej Częstochowskiej ubrany w kwiaty, przy nim obraz Matki Boskiej Gidelskiej, gdzie wieśniak wyorawszy cudowny wizerunek, uklęka wraz z wołami; resztę ściany zdobiły rysunki rozmaitych świętych, widok czysca i piekielnego ognia. W przeciwnej stronie wisiały na kółkach strzelba, borsucza torba i myśliwcy kordelas.

„Chwalem Pana!“ (***) odezwał się drabant, kłaniając nisko.

(*) Tak Kurpiów nazywał Karol XII.

(**) U Sławian, w Węgrzech osiadłych, toż samo znaczy, co u nas: „Niech będzie Chrystus pochwalony!“

„Zkąd pan Bóg prowadzi?“ zapytał Jaško.

„My sem u Szwedów służym, pobili nas dne-ska (*), my utiekali y przyszli prosyt, cy niemaju czem posilit hudnoho clowieka.“

„Dobrze wam skórę wytrzepaliśmy, nieprawda?“ rzekł śmiejąc się Jaško i klepiąc po ramieniu drabanta. „A wasz król zmykał dobrze, jak zając przed chartami, schował się jednak i może śpiewa :

„Skrył się zając pod miedzą,

„Myśliwi o nim nie wiedzą.“

ale nie długo i jego złapiema. — No cóż robić, dajcie no matulu gorzałki, wszak się panie żołnierzu napijecie?“

„O! sem dobre, bo wielka zima, (**) dajcie, dajcie palanku.“ (***)

Małgorzata postawiła flaszkę wódki, rozweseliła się twarz Węgra, nalał kubek i wychylił do razu, siadł przy kominie, a trzymając ręce nad ogniem :

„Jako sem tu dobre, ciepło, witor ne wiwa.“

Jaško tymczasem przyglądał się dziwnemu ubiorowi drabanta, a każdy jego szczegół uderzał go mocno.

Miał na sobie jedną kurtkę wdzianą na rękawy, wyszywaną w różne wzory czarnym sznurkiem, druga takąż sama zwieszoną była z lewego ramienia, spodnie obcisłe równie wyszywane, bóty krótkie ze

(*) Dneska, dzisiaj.

(**) Wielkie zimno.

(***) Palanka, tak nazywają wódkę, co u nas za brantówkę uchodzi. — Słowaki, a szczególnie Górale w Tatrach, piją jej wiele z upodobaniem, i wiele jej istotnie potrzebują do upicia się, a ta wada jest powszechną. Rodzaj węgierskiej wódki prawdziwej jest Sliwowica, pędzona ze sliwek.

srebrnymi frendlami u wiérczu, na boku z takimiż guzikami pas skurzany, wielki pistolet i długi prosty pałasz. — Na guziku od kurtki wisiał worek do tytoniu z białej skóry, haftowany w różne kwiaty jedwabiem. Za cholewą wysoka węgierska fajka z krótkim cybuchem.

„Sem oni dobre strelaju,“ rzekł po chwili Węgier.

„Tak wszyscy Kurpie umieją, i wasz król byłby zginął, żeby z diabłem sprawy nie miał.“

„Nasz kral sem dobry katolik.“

„Co mi mówita, ma pas taki od diabła, co go się kula nie ima; ale nasz Borowy wystarał się srebrnego guzika, a takim nietylko Szweda, ale i samego diabła nawet zabije kiedy wiatrem kręci.“ (*)

Wtém dały się słyszeć różne głosy przed chatą, zmieszal się drabant i nieznacznie sięgnął do pasa.

„Otóż nasz ojciec i Borowy,“ zawołał Jaśko.

Węgier podniósł się z ławy; wszedł naprzód Stanisław Bąk, ojciec Jaśka, a za nim Borowy, Kurp olbrzymiego składu ciała. Ubiór ich był jednakowy: kapelusz okrągły, spodnie opięte, kurpie na nogach, na ramionach gunia kafowego koloru, podobna góralskiej, na niej torba borsucza i strzelba; Borowy przy boku szeroki miał kordelas.

(*) Powszechny przesąd nietylko między ludem polskim, ale u wszystkich prawie pokoleń sławiańskich, iż trąbę nadpowietrzną, lub gwałtowne zawiewy wiatru wystawiają sobie jako diabła. Nóż wtenczas poświęcony rzucić w środek wiru, zobaczysz krew szatana, a samego niezém niezabije jak srebrnym guzikiem, mierząc od prawego oka. O tych sposobach mnóstwo jest powiastek, a co zdaje się wyraźnym zbytkiem słowiańszczyzny, przekształconym wiele z bóstwa dawnego Pośwista, Pogwizda, z kąd wyrazy *świs-ta-ć*, lub po mazowiecku *gwid-a-ć*.

Zdziwiła ich obecność nieznajomego.

„Co to za Memec? Jaśku!“ zapytał surowo Borowy.

„Jakieś pocziwe to, ale umie trochę i po polsku, prosi o schronienie, służy u Szwedów.“

„Trzebaby mu karku jak tamtym nakręcić, ale chce gościnności, jest bezpieczny, bo inaczej jakbyśmy się spotkali, niemiałby czasu i Jezus, Marya, Józef wykrzyknąć, a jużbym go zdusił; gdzie was więcej?“

„Druhi sem sia ostal w lisi.“

„Czemu nieprzyszedł?“

„Jak sem dozwolą, to przyjde.“

„No ruszaj do niego i powiedz niech przyjdzie, niech się niczego nie lęka, już wystrzelaliśmy Szwedów, sam król uciekł, a na takich biedakach mścić się nie będziemy.“

Węgier skłonił się, nałożył fajkę, zapalił i wyszedł, by sprowadzić do ciepłej izby Karola XII.

Stanisław Bąk zawiesił na kołku strzelbę i torbę, zrzucił gunię i grzał się przy ogniu. Borowy podobnie się rozgościł, a dobywszy z pochwy obocznego kordelasa:

„Patrzcie, Staśku! jeszcze krew po diable czerwonym, (*) bronił się tego, alem go zakłuł jak wieprza.“

„A nasza pani, jak dzielnie dowodziła, jak wołała na naszych!“

(*) Tak nazywali powszechnie Szwedów.

„Mało co uszło, i to mnie dziwi, że ci dwaj uciec mogli; ciekawym czy to nie panowie starsi.“

„Gdzie on tam pan starszy,“ rzekł Jaśko, „gdyby on był pan starszy, toby mnie nie nazywał paniczem.“

„To nic nie znaczy, głupi Zamorzec nie umie po polsku, a w strachu to i królem ciebie nazwie.“

„Bójka była nie lada!“ zawołał Borowy, „i naszych dużo legło; a widziałeś tego młodego na koniu co był wszędzie najpierwszy? jakbym go widział teraz: wysoki, blady, nos duży, oczy wielkie, wszyscy mówili, że to sam król; strzelali nasi, strzelali, a żaden go nie trafił, i ja nabiłem srebrnym guzikiem, zmierzylem...“

„I zabijeś go?“ przerwał Jaśko.

„Wiem że kón padł, ale on się porwał, niewiedziałem go potem. Żałuję, że go wziął za nisko, trzeba było wyżej, pod lewe żebro, a byłby nie wstał.“

„No! bez prace, nie idą kołace: napijwa się wódki,“ rzekł Bąk, „kujawa (*) przejął mnie do kości.“

„Ale ciepło było w ogniu, tam człowiek nie miał czasu myśleć, czy kujawa wieje, czy słońce piecze.“

Nalał sobie po téj przemowie szklankę szumówki Borowy, i wlał do razu w ogromne gardło.

(*) Kujawa, wiatr zimny północno-zachodni, w czasie jego powiewu doświadczono, że zasiew jakiegokolwiek bądź ziarna niszczeje prawie zupełnie.

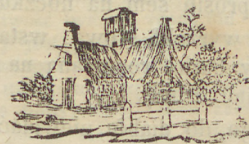
Małgorzata tymczasem krzątała się koło wieczery, w dużym garnku nastawiła tatarczaną kaszy, osobno gajdaki, w rynce smarzyła kawał na omastę słoniny. (*)

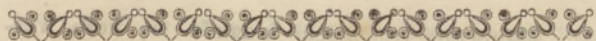
Jaśko w wielkim dzbanie przyniósł piwa i postawił na stole.

„Trzeba coś przysporzyć dla tych gości, usmarzcie no Małgosiu kiełbasy,“ rzekł Bąk, „a ty Jaśku przynieś-ta słomy, żeby na czym się przespali.“

Jaśko poskoczył do stodoły, zarzucił na plecy dwa pęki słomy, przyniósł do izby i rozesał na ziemi, Małgorzata usmarzyła już kiełbasy, omaściła kaszę, Bąk położył duży bochenek chleba na stole, Borowy drugi raz napił się wódki, wszyscy czekali na spodziewanych gości.

(*) W tym czasie jako osobliwość uważano kartolle, nie były one tak upowszechnione jak dziś, co tyle ważnych posług w gospodarstwie oddają, i nieraz wieśniaków naszych w czasie chybionych zbiorów od głodu chronią.





VII.

„Staropolska jest to cnota;
„Przed gościem nie zamknąć wrota.“
Przysłowie.

Dołmaszy pospieszał do uboczny skrytej, gdzie odpoczywał ztrudzony Karol XII.; co chwila oglądał się z niespokojnością poza siebie, czy go kto nie wypatruje, szedł prędko, nie miał nawet czasu wypalić swojej ulubionej fajki.

Noc jeszcze była, księżyc w pełnym przyswiecał blasku... nie długo stanął na miejscu.

„Oświecony kralu!“ rzekł, zdejmując swoją wysoką czapkę, „trafili sem na pocztowych sedlaków, tam sem prenocował w hostinie musim, gazda (*) dobry cłówek, prosili sem na noczku.“

Karol nie wyrzekł słowa, wstał i postąpił naprzód. Dołmaszy burkę rozesał na ziemi przywdział i szedł wskazując drogę.

„Coś długo, do diabła, niewidać naszych gości,“ rzekł Borowy, nalewając po trzeci raz szklanke wódki.

„Musi być daleko, gdzie zostawił swego towarzysza,“ odpowiedział Bąk.

(*) Gazda, gospodarz w chacie.

„Ja uważałem,“ zawołał Jaśko, „że ten Zamorzec obrócił drogę ku mogile upiora.“ (*)

„Święta Magdaleno!“ krzyknęła Małgorzata, „on tam zdrowo nie wyjdzie, dyć to godzina, w której wyfazi z mogiły!“ i odstąpiła bojaźliwie od komina, pozierając w około.

„Pan Bóg z tobą, moja Małgosiu,“ powiedział Stanisław, „w chacie nie macie się czego obawiać, wszakże drzwi nie przestąpi, bo na nich krzyż kręda święconą napisany odstrasza przeklętych.“ (**)

Uspokojona Małgorzata zbliżyła się znowu do komina, i warzochwią mięszała kaszę omaszczoną słoniną, podgardnęła żarzących węgla pod rynkę, gdzie się smarzyły kiełbasy, gdy usłyszano poruszenie na podwórku. Odskooczyła Małgorzata wylękniona, Jaśko spojrział bojaźliwie, podniósł się Stanisław z ławy, drzwi otworzył i ujrzał wchodzącego naprzód Węgra, a za nim króla szwedzkiego.

„Długośmy czekali, długo na was,“ rzekł Stanisław Bąk, „ale co odłożone to nie stracone, jesszczemy nie rozpoczęli wieczerzy.“

(*) Upiór jest to człowiek zmarły, który po śmierci zachowuje czerstwość twarzy, rosną mu włosy i pazury. Wiara w upiory jest powszechną nie tylko w Polsce, ale pomiędzy wszystkimi pokoleniami słowiańskimi. Jedyny sposób na uspokojenie upiora (który wychodząc z grobu, napada ludzi, kąsa i tęp zaszczebia śmierć niechybną, a potem też sama osoba staje się upiorem), jest: głowę uciąć, wsadzić pomiędzy nogi, a serce przebić osikowym kołem. Obszerniej w tej mierze pisałem w dziele: „Przysłowia narodowe T. I. pod §. Czerwony jak upior.“

(**) Kręda święconą w dzień Trzech Król pospolicie piszą na drzwiach C. M. B. (to są pierwsze litery imion trzech królów, Casper, Malcher, Baltazar). nad temi krzyż s, co uważają za bezpieczną ochronę przeciw złym duchom.

Karol skłonił głowę, zdjął płaszcz i kapelusz; Borowy, stojąc w milczeniu, przypatrywał mu się uważnie. Miał on na sobie mundur granatowy z dużemi miedzianemi guzikami, szeroki pas bawoli, spodnie łosie i ogromne bóty. Para pistoletów i długi pałasz składały całe uzbrojenie.

„No, Małgosiu! podajcie z komina co dał Pan Bóg!“ i prosząc gości, zasiadł Stanisław na ławce, Karol przy nim zajął miejsce. Dołmaszy niewiedząc gdzie usiąść, zostawał w kłopotcie, bał się przy królu, żeby go nie rozgniewał, stanął więc za nim z uszanowaniem. Karol to dostrzegł, surowo spojrzął w oczy, porwał za rękę i posadził przy sobie.

„Matulu! nie żałujcie Szwedów do kaszy“ (*) zawołał Jaśko, nadstawiając dużą miszkę.

Karol na ten wyraz „Szwed“ zmarszczył czoło, Dołmaszy się uśmiechał.

„Czy jego oświec...“ król surowiej spojrzął mu w oczy, zmiarkował Węgier, i rzekł po chwili: „czy oni wiedzą, to sem slaninu wołają Szwedy.“

„Nic słońce, ale skwarków po naszymu, bo to widzi-ta Szwedy dużo nam naskwarzyli biędzy, i dla tego u nas tak się zowią. Ale niegniewajcie się, oto mój Jaśko dobry chłopak, ale sobie trochę głupi.“

Jaśko z chychotani em postawił na stole miszkę gorącej kaszy, każdy zabrał się do niej z apetytem, i Karol nie długo myśląc, wziął drewnianą łyżkę i pożywał ze smakiem.

Borowy siedział na przeciw króla szwedzkiego, wlepione miał ciągle oczy w twarz jego, uważał bacznie

(*) Tak dotąd jeszcze lud nasz nazywa Szwedami skwarki, któremi zwykle omaszczają kaszę, albo kartofle.

każde poruszenie. Po wieczerzy kiwnął na Stanisława i weszli do komory.

„Mój Staśku!“ rzekł zwoina, „widzi mi się, że to ten sam, co to bywał na przedzie, com do niego strzelił srebrnym guzikiem, może to król?“

„I zdaje się wam, kumie, i ja go widział, ale ani krzty nie podobny.“

„Gada-ta, gada-ta! pamiętam ci go dobrze. jakbym patrzył na niego, jak na swoim koniu się uwijał, jakim go wziął na cel i zwał na ziemię. A potem i pas taki szeroki, co gadają, że ma od diabła. Widziałeś jakie na nim litery dziwacznie z kałamarza pisane? (*) O że to sam król, dałbym za to szyję.“

„A choćby i tak było, jest bezpieczny, zawie-rzył nam, przyszedł na noc posilić się, niech będzie i diabłem.“

„Wartałoby,“ odpowiedział Borowy i zamilkł, niedodał i słowa. Stanisław Bąk kiwnął głową, wychodząc z komory: „Będzie sobie spał spokojnie, bo w mojej chacie, za domem róbta co chcecie.“

Na rozesłanej słomie położył się ztrudzony Karol XII. i zasnął twardo nierozebrany wcale. Stanisław Bąk z żoną, synem i Borowym spoczywali w komorze. Dołmaszy jeden czuwał, całą noc siedział na ławie przy kominie, drzymał, palił fajkę i przykładał coraz drevkek na gasnący ogień.

(*) Pisać z kałamarza, wyrażenie gminne, często używane w pieśniach ludu; tak znajdujemy w jednej, jak się dziewczyna do nieulubionego zalotnika odzywa: że

„Choćbyś miał sto sztuk inwentarza,

„Choćbyś ty umiał pisać z kalamarza,
nie chciała przyjąć jego ręki.“

VIII.

„Imię nasze ochrzcił strach.“

E. Brocki. (Pieśń Opryszków.)

W obszernej komnacie siedział zamyślony Szczuka, podkanclerzy litewski. Na wielkim kominie palił się ogień, przy nim z założonymi w tył rękoma grzał się podsiwiały Ordęga.

„Co źle, to źle, Panie Bracie!“ rzekł Szczuka, pokręcając wężką, „i jak że to było?“

„Krótko a węzłowato: Najjaśniejszy król szwedzki z Torunia poszedł z wojskiem w lasy mazowieckie, Kurpie, na których czele stanęła pani wojewodzina, podali mu warunki, których, jeśli nie przyjmie, niepuszczą go dalej. Roześmiał się Karol i szedł na przebój, ale stracił w krwawej rozprawie wojsko wyborne, i sam, jedni mówią że zginął, drudzy że ciężko raniony.“

„Gdzież się teraz obraca?“ zawołał podkanclerzy, dobrze mówią, że *fortuna non omnibus una*.

„Fortuna, zwyczajnie jak fortuna, to jest biało-głowa, na jej statek niepuszczaj się waszmość; ś. p. rodzic zawsze mawiał:

„Co ci powie biało-głowa,

„Pisz na bystrzej wodzie słowa;“

i ja to sobie zawsze przypominam, a myślę, że tak fortunie jako i niewieście zarówno zawierzaj.“

„Dużo musiało naginać!“

„Do ośmiu tysięcy Szwedów,“ odpowiedział Ordęga.

„Do stu szatanów!“ krzyknął poruszony Szczuka, „7.000 miał Karol pod Narwą, gdy 80.000 Rosyan pobił, a tu!“

„A tu miał rozprawę z chłopami bez butów, jak ich nazwał, ale z chłopami polskimi.“

„Prawda, że każdy z nich dobrze strzela, ale cóż to znaczy przed wojskiem Karola XII?“

„To znaczy, mój panie podkanclerzy, że jak weźmie na cel, to pewnie nie chybi. Sam widziałem, szło o zakład, napisał na desce podstarości pani wojewodziny A. S. R., to jest *Augustus secundus Rex*; był tam Borowy leśnikiem, jak wziął swoją mizerną strzelbę, w pół godziny kulami trzylityry wysadził.“

„Długo się bili?“ zapytał znowu Szczuka, którego ta wiadomość więcej obchodziła.

„Blisko trzy dni trwała rozprawa, jeszcze się zwycięstwo chwiało, ale gdy Telebski, dworzanin pani wojewodziny, zdobył pięć szmigownic, a ona sama wycięła regiment Szwedów na cmentarzu w Ostrołęce, otoczeni zewsząd, co do nogi wyginać musieli.“

„Ale gdzie król, gdzie król!“

„Bóg go święty raczy wiedzieć, kędy się obraca.“ „Mój Grzeško, fornał, co ongi (*) za Łomżę jeździł, nasłuchał się dziwnych rzeczy.“

„I cóż tedy mówią, co słychać pewniejszego?“

„Waszmość niespokojny o najjaśniejszego króla Karola, i mnie to obchodzi, otóż on gadał co słyszał: że go schwytać mieli, ale *Deus omnipotens* wyzwolić

(*) Ongi, onegdaj.

go raczył, że przestrzeloną ma rękę, że pięć kul trafiło go w brzuch, ale się o pas bawoli oparły, i dla tego prostactwo rozgłasza, że ma pas od diabła, który żadna kula nie przeszyje.“

„Ale cóż, u Boga! że takie wojsko im się nie mogło oprzeć.“

„Nic dziwnego, bo ja znam z bliska Kurpiów, u nich życie jak ślina waży, a potem jaka przytomność! Był raz ogromny niedźwiedź, ale taki, że nie jego myśliwy, ale on strzelców szukał. Pamiętam, jeden gajowy miał coś czerwonego na kapeluszu, niedźwiedź z ponurym mrukiem, stanąwszy na dwóch łapach tylnych, poskoczył do niego. Gdy się zbliżył na pięć może kroków, gajowy podniósł jeszcze dekel i zajrzał czy dobra podsypka, zmierzył i palnął; aż musiał w tył uskoczyć parę kroków, tak blisko zwałiło się niedźwiedzisko, byłby go przyduśił.“ Szczuka zamyślony, mało zważał na gawędzenie starego Ordęgi, pokręcał węża zatopiony w dumaniach, po chwili rzekł z uśmiechem:

„O zapewne król August zechce korzystać z tej pomyślności, jak się dowie w swojej ucieczce; może myśli wrócić, ale nie tak łatwo!“ zawołał, uderzając ręką w stół dywanem tureckim zasłany.

„Dobrze mówią, widzisz waszmość, że przez Wisłę przepłynął, na Dunajcu zginął; król Karol bił więcej, i żołnierzy, a teraz jest pobity od chłopów; jakto i mysz mała zaskodzić może.“

„Poprawi wszystko sam najjaśniejszy Karol, aby się tylko z tych szponów niedźwiedzich wydostał.“

„Być może,“ odpowiedział Ordęga, „ale że go porządnie zadrapały, niezapomni długo.“

„Potrafi przyciąć szponów, a kaganiec na pysk włoży,“ rzekł rozgniewany Szczuka. „Niedźwiedź, wiesz panie bracie, jak srogi w lesie, a złapanego Cyganie

oprowadzają, i tak tańczyć musi, jak mu zagrają i jak każą.“

„Masz waszmość prawdę, panie podkanclerzy, ale muszą się go obawiać zawsze, gdy albo okiełznają kagańcem, lub też kółko przez nozdrze zasadzą a na łańcuszku ciągną.“

„Któż temi chłopami więcej dowodził, czy tylko sama pani wojewodzina?“ zapytał po chwili Szczuka, chamując się w uniesieniu.

„O niej tylko gadają i o Telembskim.“

„To jakaś mała szlachcina,“ rzekł podkanclerzy z pogardą.

Stary Ordęga obruszony, pokręcił siwego węża, bo Telembski był jego daleki krewny.

„Zapomniałeś, widzę waszmość, że szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie; dawniej były lepsze czasy, a drwiono sobie z tytułów zagranicznych, nie znano tych hrabiów, margrabiów, książąt i książątek, szlachcic zawsze szlachcicem, i lepszy niż baron.“ Coraz rumieniły się więcej policzki zmarszczone Ordęgi; widział to Szczuka, krzyknął na hajduka, który wnet przyniósł kilka butelek węgryzyna i puhar w kształcie lejka.

„Do was, panie bracie!“ rzekł Szczuka, podnosząc w górę puhar: „*concordia res parvae crescunt, discordiae maximae delabuntur!*“ Na to przyjaźne wezwanie, rozjaśniło się oblicze starego Ordęgi, wychylił do dna podany puhar, i już go miał stawiać na stole, gdy głośne psów szczekanie na podwórku, zwróciły ich uwagę.

„Czy goście jadą?“ zapytał Szczuka stojącego przy drzwiach hajduka.

Hajduk poskoczył, i nie długo drzwi się na ścieżaj roztworzyły.

IX.

„Zuchwały! kto ci to powiedział?”

J. Korzeniowski. (Mnich.)

Podkanclerzy spojrzął z podziwieniem w otwarte podwoje; wysokiej postaci wszedł gość niespodziewany w płaszczu śniegiem okrytym, za nim drugi burką węgierską odziany, pierwszy miał jeszcze na głowie trójgraniasty kapelusz, drugi już w sieni wysoką czapkę ze śniegu otrząsał. Pierwszy zrzucił płaszcz, a Szczuka wykrzyknął:

„Tyżes to! najjaśn. panie?”

Karol XII. postąpił do komina, i niezdejmując wcale swego kapelusza, ogrzewał zkośnięte ręce, Ordega ustawicznie ukłony oddawał, podkanclerzy rozkazał przygotować wieszak, Dołmaszy stanął wyprężony przy drzwiach wchodowych.

„Panie podkanclerzy!” rzekł Karol, „potrzebuję dwóch posłańców, ale ludzi pewnych.”

„W tej chwili dostawię, najjaśn. panie.”

„Kalamarz i pióro!”

Po chwili siadł, i krótkie rozkazy napisawszy, oddał je wyznaczonym posłańcom, określając godzinę powrotu.

Karol stanął zaowu przed kominem:

„Już wiesz o wszystkiém zapewne, panie podkanclerzy?”

„Tak jest, najjaśn. panie!” odpowiedział Szczuka z niskim ukłonem, „ale obawiam się...”

„Ja się niczego nie obawiam,” zawołał król szwedzki z gniewem, „czy widział kto, żeby Karol XII. zadrżał kiedy?”

„Nie to chciałem powiedzieć, nie to miałem na myśli, najjaśn. panie, obawiam się, żeby z tak chwilowej niepomyślności nie chciał August korzystać.”

„August, August!” rzekł wolniej Karol, „kogo raz Karol straci z tronu, to więcej nie trafi. Ale bójka była nielada, moi bili się i jak lwy, aż miśo wspomniéć, za sztandar mieli mój kapelusz, bo zawsze na przedzie.” Wymawiając te słowa, chciał swoim zwyczajem zatrzeć włosy, i dotknął kapelusza na głowie.

„A! przepraszam gospodarza, że tak niegrzecznie wszedł król szwedzki w uprzejmą gošcinę.” Zdjął kapelusz z głowy a oddając swemu Węgrowi:

„Otrząśnij ze śniegu.”

Dołmaszy wyszedł do sieni.

„Temu pocziwemu Węgrowi wiele winienem, wierny jak pies, w boju jak lew, głupi jak osioł.”

Dołmaszy powrócił.

„No, mój towarzyszu, i tyś zmarzł podobno, pogrzej się trochę, pogrzejmy się razem, gdyśmy się razem bili i spali u tych chłopów bez butów!”

„Jakto, najjaśn. panie! i odważyłeś się przyjąć nocleg u tych Kurpiów, co ci do nogi wybili żołnierzy?” zapytał Ordega zdziwiony.

„Tak do nogi, co do nogi!“ krzyknął w gniewie Karol i tupnął mocno o ziemię, ale nie będę królem, jeśli się krwawo nie zemszczę, że wnuki popamiętają, jak Karol XII. mści się poniesionej klęski. O! że bym miał jeszcze z tysiąc moich!“

„Taka liczba była w Ostrołęce i w okolicy, ale i tę wyciąć kazała pani wojewodzina. To Herod, jak mówią, baba, połknęła diabła, najjaśn. panie!“ rzekł swoim zwyczajem stary Ordega.

Szczuka zmarszczył czoło, okazując nieukontentowanie, a w oczach Karola błysnął ogień.

„I ci zginęli!“ krzyknął w największym gniewie, czemuż choć sto mężnych nie mam przy sobie!“

Zatarł włosów, zrzucił duże rękawice, zaczął się przechodzić wielkim krokiem po komnacie. Stary Ordega odurzony nagłym wybuchem gniewu króla, zamilkł i spokojnie stał w rogu stoła, Dołmaszy grzejąc się przy kominie, pomrukiwał niekiedy: „Basemteremtsche! pohineli, a sem dobre, tuhe chlapybyli!“

Karol powoli z uniesienia ochłonął.

„Cóż to za jedna, ta pani wojewodzinn?“ zapytał z przyciskiem Szczuka.

„Jest to, najjaśn. panie, wdowa po wojewodzie Działyńskim, kobieta w młodym wieku.“

„Nie ma jak lat 24, najjaśn. panie, urodziła się anno... i zaczął na palcach rachować po swojemu Ordega.

„Wielkie przeszkody mi stawiają,“ zawołał Karol z uśmiechem szyderskim, „baba, jedna baba!.. i chłopcy bez butów!“

„Najjaśn. panie!“ rzekł Szczuka, „ja tylko dzięki Bogu składam, że waszą król. mość zdrowo z tego nieszczęścia wyprowadzić raczyli.“

„I szczęśliwie salwował!“ dodał Ordega z ukłonem.

„Dziękuję ci mój podkanclerzy, wiem iż dobrze i szczerze mi życzysz, dla tego dom twój wybrał na pobyt chwilowy. — Trochę ztrudzony, chciałybym spocząć..“

„Najjaśn. panie, już wszystko gotowe, i jeżeli w. król. mość dozwoli, będę mu służył za przewodnika.“ I przeprowadził podkanclerzy Karola do sypialnej komnaty.

Odetchnął stary Ordega, nalał sobie puhar i rzekł do grzejącego się Dołmaszego przy kominie:

„*Non est vinum, nisi Hungaricum!* tak u nas mawiają, widzę żeście z tego kraju, mój przyjacielu, skoszłujecie krajowca.“

„Ket sem raczy pan welkemożny,“ i wychylił do dna podany puhar.

„A co, dobre?“ zapytał Ordega z uśmiechem.

„Sem to echt Tokajczyna, dobre, tuhe chlapskie wino“ (*)

„Co tak się gniewa najjaśn. król jegomość?“ rzekł znowu głaszcząc łysinę.

„Ne znam pre czo ne dobry humor maje.“

„Gdzieście-to nocowali?“

„U sedlaków, wczora sem sia bili, a dneska prenocowali.“

„Że też nie złapali najjaśn. pana, czy nic nie mówili? zapewne niepoznali.“

(*) Tuhe chlapskie wino. Tegie chłopskie, to jest męzkie wino.

„Ano! nepoznali sem krala; my społom na ławicu siedieli i jedli gromple, o tak“ — i usiadł na dużej kanapie obok Ordegi.

„A król wam nic nie mówił?“

„My sem neśmieli z kralem pospołu sedit, ale jako sem stanęli za nim, wziął za ruku i rozkazał społom sedit.“

To niedziwię się czemu Karola nieschwytali, pomyślał sobie Ordega, bo się ukrył, to myśleli że to plebejusz jaki!.. i popłukał znowu usta zachwalanym przez Węgra winem. Dołmaszy zbliżył się do komina, i zaczął rozdmuchiwać przygaszony ogień. Wkrótce nadszedł podkanclerzy, zawołał hajduka, i rozkazał dać wszelką wygodę Węgrowi. Zostali sami z Ordega.

„Widzisz waszmość, król się gniewał i miał racyę, kto widział takie nieprzyjemne wspomnienia na pamięć przywozdić!..

„*Errane humanum est!*“ odpowiedział Ordega, jużem się sam za to wypocił; ale to zły jak dia... nie dokończył wyrazu i uderzył się ręką w usta.

„Dzięki Bogu! że król wyszedł zdrowo; o pójdzie inaczej, jeszcze nieprzyjaciele nasi wraz z Augustem zadrzą przed nami.“

To niezawodnie! pomruknał Ordega, dopijając swego puhara.

„Najjaśn. pan tu zgromadza swoje siły, i na nowo pogrozi światu, ja mam wiele do czynności; muszę odejść, *bona nocte*, waszmości.“

„*Bonam noctem!*“ rzekł Ordega odchodzącemu Szczuce, usiadł na kanapie i nalał puhar.

Co źle, to źle znowu będzie, znowu bięda i zniszczenie kraju! tak mówił do siebie, ciągle popi-

jając węgryzna; niejedna wieś spłonie, i niejedna matka zapłaczce... ale rozprawa była nie lada, nieprzyjemno mu wspomnieć; a żeby pobił, toby się chwalił, i pan podkanclerzy rości sobie pretensyę; albo ja co winien, że najjaśn. panu wytatarowali skórę? Ale mój Telembski chwatał chłopak... No, mój Boże, kłóży się spodziewał, oto takie małe bobo było, ale zawsze zuhowate. (Nalał znowu z butelki i zakosztował). Nieraz to z pałaszykiem drewnianym latało, jak kot z pęchérzem, a teraz po polsku kurtę skroił. No proszę, pięć zdobyć szmigownic! to nieprzeskakiwał tego palcem. A i pani wojewodzina niewiasta do rzeczy, i chwatał sobie; a najjaśn. pan się gniewa jak mu wspomnieć, że skórę zgarbowali, że go pobiła baba i chłopcy bez butów!..

Powoli węgryzn zaczął działać, na rumiane policzki starego Ordegi pot kroplisty wystąpił, delikatny dymek nad łysiną się unosił, zamknął oczy, mocno chrapnął i zwiesił siwą głowę w głąbokim śnie pogrążony. Zagaśł ogień na kominie, a ciemność całą zajęła komnatę.



X.

„Marzył ruchome namioty,
„Z hukiem wysadzane mury;
„Blyski stalistój piechoty,
„Jazdę w pośród pyłu chmury!“

Ludwik Kamiński. (*)

Równno ze świtem już Karol XII. nie spał, całą noc miał niespokojną, jeżeli zadrzymał, widział jak przy jego boku najmężniejsi padają śmiertelnym ujęci strażem. Przez sen kilka razy, jak na placu boju, wołał na swoich i rzucał się niespokojnie na łożu. Szczuka, który w przyległej czuwał komnacie, wszystko słyszał i uważał; o samej północy cały dziedziniec jego dworu napełniła jazda i piechota szwedzka, dowódcą tego oddziału był generał Steinflicht, który szczęśliwie wydostał się z ogólnej porażki. — Podkanclerzy nieśmiało zbudził Karola i donieść, że wojsko zbierać się zaczyna w oznaczone stanowisko, niedługo wszakże sam król go zawołał.

„Cóż słyhać, panie podkanclerzy, czy już przybyli moi?“

„Tak jest, najjaśn. panie, czekają dalszych rozkazów w. król. mości.“

(*) Piąty Maja, Oda Al. Manzoni, z włoskiego przełożona, w Elblągu 1831. r.

„Kłóż niemi dowodzi?“

„Jenerał Steinflicht.“

„Dzięki Bogu, że wyszedł cały, niech tu przyjdzie,“ rzekł Karol i zaczął się przechodzić po komnacie.

Steinflicht stanął na rozkazy, Karol wesoło przystąpił do niego, a klepiąc po ramieniu: „Przecież się wydostałeś z pazurów niedźwiedzich, wieleż zgromadziłś moich?“

„Najjaśn. panie, dwa regimenta piechoty, jeden jazdy i cztery śmigownic.“

„Gdzie więcej?“

„Za dwie lub trzy godziny nadsięgnie reszta korpusów.“

„Wieleż tój reszty?“

„Wydałem już potrzebne rozkazy, ażeby marsz przyspieszono, jest tam dziesięć regimentów piechoty, sześć jazdy i dziesięć dział.“

No oddam teraz za swoje, rzekł Karol do siebie. „Roześlesz zaraz silne patrole jazdy w około, piechoty regiment jeden zajmie Łomżę jak najprędzej, a wsparty dwoma szmigownicami, niech się posuwa zwolna drogą ku Ostrołęce, reszta zostanie przy mnie.“ Jenerał pospieszył dopełnić dane rozkazy.

„Jakież wiadomości o Augustacie? zapewne wiiesz gdzie się obraca.“

„Tak jest, najjaśn. panie,“ odpowiedział Szczuka, „August jest niedaleko, u pani wojewodziny.“

„Tém lepiej,“ rzekł Karol, „poznamy się zblizka.“

„Szmigielski starosta, z znacznym pocztem szlachty polskiej, przybył także wspierać Augusta stronę“

coraz więcej zbiera pod sztandary swoje, wieść o klęsce działała mocno na umysły wielu.“

„Mało dba o to Karol XII,“ odpowiedział gryząc wargi w gniewie, „mało dba, gdyby miał nawet tylko tyle swoich, ile tu!“ i wskazał na dziedziniec, gdzie zgromadzoną jazdą i piechotą była.

„August wydał rozkazy wojsku saskiemu, które spieszenie zajmuje korzystne w około stanowiska, sądzę...“

Karol zamyslił się chwilę, i wybiegł prędko na podwórze, gdzie go wojsko z radosnemi powitało okrzykami.

„Małgosiu! Małgosiu! a cóż się nieodzywasz? milczy jak zaklęta!“ wołał Stanisław Bąk, nabijając swoją strzelbę.

„A czego chceta?“ odpowiedziała zadyszana, z gunna nadbiegając.

„Dajcie no pakuł do torby, nie mam już ani trochy.“

Nadszedł nie długo Borowy.

„Coś nowego będzie, wielki ruch na naszym dworze, szlachty coraz więcej przybywa, a każdy strojny i zbrojny; mówią,“ rzekł dalej Borowy, „że i nasz król, co go Szwed wygania, jest u naszej pani, i chce dziękować Kurpiom, co skórę wytatarowali tym Zamorcom. We dworze będą się bawić, a tu nowa troska; czy wieta kumie? ten co tu nowcował, był król szwedzki, a my go puścili, oj! oj! żebyśma tego niepożałowali; a ja mówiłem, wzięść było panicza i oddać do dworu.“

„Ale mój kumie, to się nie godziło, i ja ze śmiałem czołem i naszemu królowi powiem: jaśnie wielmożny królu! prawda, spał u mnie król szwedzki, ale że to była moja chałupa, wydać się nie godziło.“ Potem człek ma czyste sumienie, i teraz myśli o czém inném.“

Borowy nic nie odrzekł, obejrzał strzelbę i podsypkę.

„Ale, ale, we wsi gadają, że znowu bójka będzie (mówiła Małgorzata), że Szwedy znowu się zbierają i chcą się mścić na nas biedakach.“

„Niech się dzieje wola Boska, toć i człowiek nie fryc do bitwy, (*) już powąchał prochu, a potem moja Małgosiu, nie tak łatwo im się po takiej frycównce i zebrać.“

„Co ludzie gadają, mój kumie, to i wygadają.“

„Czy myślisz,“ rzekł z coraz większym zapałem Borowy, „że te czerwone diabły darują nam za krew przelaną, którejsmy tyle natoczyli, ile wody w Omulewie? (**). Nie, zapewne, głowa za głowę, krew krwią się płaci; jeszcze nieraz Borowy pośwista ołowianą kulą, nim samemu, Bóg wie, jaki koniec przypadnie. Co mówiła Małgorzata, to żywie Bóg prawda! już nasi, wysłani na zwiady, widzieli okowidnie (***) jak się Szwedy zgromadzają. Od Szczuczyna pokazało się, jak kawek na słotę, piechoty i jazdy, mówili że sam król niemi dowodzi, że przez Łomżę prosto

(*) Nie fryc, nie nowicyusz; sprawić komu frycównkę, wytrześć skórę.

(**) Mała rzeka w osadach Kurpiów.

(***) Okowidnie, zamiast oczewiście, wyraz dawny, używany dotąd między ludem naszym.

na Ostrofękę ciągną, że bokiem zachodzą do Myszeńca. Pani nasza wysłała zaraz ze trzech wiosek naszych, by utrudzali na drodze, pojechało tam dosyć szlachty, ale dobrze mówią: że to panowie szlachta, jednemu wór drugiemu płachta;“ kończąc te słowa uśmiechnął się szydersko, Jaśko nadbiegł w tej chwili zadyszany.

„W Dąbrowie biją na gwałt, pani kazała uderzyć we wsi każdej, gdzie tylko dzwonnice, żeby się zbierać zaraz, czerwone diabły uderzyli na naszych, już strzelanie ze dworu słychać. Pan podstarości, co wrócił z za Ostrofęki, mówił, że się nasi tego trzymali, ale jak odjeżdżał, nie wie co dalej wypadło, ale od strzelania aż ziemia się trzęsła, widać że armaty sprowadzili.“

Borowemu ogniem zabłysły oczy. „No, dalej Staśku, w imię Boże, zapolujem! Hej działwa, do broni!“

Małgorzata zaczęła płakać, stojąc przy kominie ocierała łzy fartuchem, Stanisław Bąk rzekł z rozrzeniem:

„Moja Małgosiu, płacz nic niepomocze, miejmy w Bogu nadzieję, dajcie no tymczasem co do torby i wódki we flaszkę.“ Gdy Małgorzata odeszła do komory, Stanisław Bąk wziął Jaśka za rękę i rzekł z cicha:

„Uważaj dobrze, jak się będą czerwone diabły zbliżać, uprowadź matkę do Kwiczoła, a wcześniej wynieś wszystko z chaty i zapal ją potem,“ zawołał Borowy, „żeby Szwed nie znalazł dachu do spoczynku, gdzie przespał noc jedną ich pan, ich król, któregośmy mieli w łapie a wypuścili.“

Stanisław spojrzął surowo, Małgorzata z płaczem wyszedłszy z komory, wypakowała torbę.

„No! komu w drogę to i czas! Bywajcie zdrowi, moja Małgosiu, Jaśko niech siedzi doma.“ — Uściskał żonę, Borowy ją pocałował i wyszli z chaty, a za nimi wybiegł Jaśko. Małgorzata skropiła ich wodą święconą, i stojąc w progu, ciągle żegnała, dopóki nie zniknęli w gęstym lesie; wróciła do izby, usiadła na ławie: „O biednaż ja, biedna sierota!“ zawołała, i rzewliwym płaczem wciąż swoją boleść temi głosiła wyrazy. (*)

Tymczasem Jaśko, kilka staj odprowadziwszy ojca i Borowego, pożegnał się z nimi, wrócił do chaty, ujrzał jak matka zapaliła świecę woskową przed obrazem Panny Maryi częstochowskiej, ukłękła i ze łzami się modliła; rozrzewniony odwrócił się do ściany, zapłakał i w cichości sukmaną łzy otarł; wyszedł na podwórze, narąbał sosniny, podłożył na komin i rozdmuchał ogień; Małgorzata wciąż się modliła.

(*) Podobny sposób wyrzekania jest obyczajem zwykłym między ludem naszym. Nietylko na pogrzebach zmarłych w wielkim smutku, ale nawet przy braniu w rekruty, matki i siostry, odprowadzając synów i braci, w płaczliwym śpiewie swoje ogłaszają żale. Te zwyczaje w nieskażonej prostocie w osadach ruskich województwa podlaskiego i lubelskiego, a w Galicyi u Huculów dotąd się przechowują.



XI.

„Skoczył Kozak, zarżał pod nim wrony,
 „Chrząst się ozwał, kopyta zagrzmiały.“
 August Bielowski, (Trójziele.)

„Gdzie się teraz obrócim?“ rzekł z cicha August II, wstrzymując konia, do starosty Szmigielskiego.

„Zdaje się, najjaśn. panie, że widzę łonę z ognisk, która się przez te gęste przedziera krzaki, sądząc że to ogniska Szwedów, naszych w tej stronie nie ma.“

„Cóż będziemy robić?“ zapytał król z niespokojnością.

„Zaraz sobie poradzim,“ odpowiedział starosta. „Hryć!“ zawołał na swego Kozaka. Zbliżył się młody Kozak wysmukłej postaci, twarzy przyjemnej, oczu bystrych i pełnych ognia, „wédrzisz się na tę sosnę i co ujrzesz opowiedz.“

Hryć zręcznie skoczył z konia, stanął pod sosną, zmierzył oczyma jej nie małą wysokość, przeżegnał się trzy razy (*) i zręcznością wieściorki wdarł się na sam wierzchołek.

„Jaka zręczność i siła!“ rzekł August.

„Nic dziwnego, najjaśn. panie, od młodych lat wprawiają się Ukraińcy do tego, bo Tatarów doglądają ze szczytów drzew swoich.“ (**)

(*) Zwyczaj powszechny u Kozaków i Rusinów.

(**) Na Ukrainie, Wołyniu i Podolu mieszkańcy tameczni, trapieni ustawicznymi napadami, z drzew wyniosłych uważali, czy gdzie tych hord łupieżców nie ujrzą, ażeby się rychło uchronić mogli.

(Zamek Kaniowski S. Goszczyńskiego.)

Po niedługiej chwili Kozak szybko zsunął się z sosny.

„Ogniska szwedzkie widać gęsto, i aż pod sam las dochodzą, a czaty w około nas blisko stoją.“

„Co robić? co robić? no radź mój starosto“ rzekł król August.

„*Audaces fortuna juvat!*“ odpowiedział Szmigielski. „Zatrzymaj się tu z Kozakiem, najjaśn. panie, a ja dostanę języka.“ (*)

Domawiając tych słów, spał ostrogami swego karego, i ruszył wązką drożyną. August zsiadł z konia i spoczął pod drzewem. Kozak trzymał jedną ręką za cugle konie, w drugiej przygotowany pistolet i nasłuchiwał uważnie każdy szelest i każde poruszenie w lesie.

Szmigielski niedługo wyjechał z lasu. ujrzał drabanta na czatach konno stojącego z odwiedzioną rusznicą. Szybko zajechał mu z tyłu, w jednej chwili lotem błyskawicy natarł, olbrzymią siłą porywa za kark, sadza na swego konia i pędem na tę samą drożynę powraca. (**)

Kozak zdala usłyszał chyże tętnienie i ostrzegł króla; porwał się August, dosiadł rumaka i z dobytą szablą staje przygotowany. Lecz jakież było podziwienie jego, gdy zamiast spodziewanego nieprzyjaciela, ujrzał w pędzie na jednym koniu Szmigielskiego i zbłądłego drabanta, który rusznicę ze drzących ręką wypuścił.

„No, najjaśn. panie! Szmigielski tak dostaje

(*) Dostać języka, wyrażenie starożytne, otrzymać wiadomość potrzebną.

(**) Historyczne. Szmigielski był sławny z olbrzymiej siły, równie jak w późniejszych czasach Morawski, dowódca Konfederatów barskich w Wielkiej Polsce,

języka,“ zawołał, „on nam teraz wszystko wyśpiewa i posłuszy za przewodnika.“

„Wieleś dokazał, panie starosto, z narażeniem życia!“ rzekł August.

„Najjaśn. panie! Szmigielski w obronie waszój król. mości nieraz to życie na szwank wystawiał, ale dobrze to mówią: chłop strzela, Pan Bóg kulki nosi.“ Zsiadł z konia, rozbroił wybladłego, jak Piotrowinę z grobu, drabanta, i oddał pod straż swemu Kozakowi.

„Teraz niech raczy w. król. mość rozmówić się z tym Szwedem, on nam służyć za przewodnika musi.“

August rozpytywał go o drogę o sile Szwedów i gdzie Karol XII. przebywa, drabant zaledwie mógł przebąkiwać ze strachu. Zniecierpliwiony starosta zawołał:

„Najjaśn. panie! tu niewiele mamy czasu do straty, trzeba nam się wydobyć z tej przeklętej puszczy. Hryć! dobądź smyczy,“ i dał mu znak.

Kozak długiego dobył surowca, określił na szyi drabanta, wskoczył na konia, wyjechał naprzód, prowadząc przytroczonego Szweda jak charta na polowanie.

Taż samą wążką ruszyli drożyną, wkrótce las ciemny zaczął się rozrzedzać, i widocznie ukazały się rozpalone ogniska. Szmigielski z nagotowanym pistoletem na nogę następował prawie Szwedowi, który struchlały szedł wolniej lub prędzej, stosownie do rozkazu, wskazując wszakże wiadome sobie drogi, któremi bezpiecznie wyminąć można obozy.

Gęste krzaki i rozrosłe hoiny kępiaste zakryły im ogniska i pewniejszą wskazywały uchronę, pół milę z górą przedzierali się zaroślami, za nim

ukazały się rozległe błonia, wioska i dwór szlachecki.

„Możnaby już puścić naszego przewodnika,“ rzekł z uśmiechem August do Szmigielskiego.

„Najjaśn. panie! niezupełnie, ja mego zostawię Kozaka przy nim, on nas dogoni, nieznacznie wypuścim ich naprzód, i do wsi obrócimy drogę.“ Sam zbliżył się do Kozaka i z cicha słów kilka przemówił.

August dobył talara, a dając drabantowi na piwo, zgiął jak wosk w palcach. (*) Szwed zadziwienie z bojażnią okazał; król się roześmiał, napowrót wyprostował go w palcach i rzucił, dodawszy jeszcze kilka, w nastawiony kapelusz.

Jechali sporządź, Kozak coraz się oddalał, a Szmigielski z Augustem zwrócili do wsi.

Hryć obejrzał się kilka razy, coraz więcej spieszył do wyniesionego pagórka, na środku którego dąb odwieczny szerokie rozciągał konary. Widział kilka talarów u drabanta, wzięła go chęćka, świsnął na swego Żmudzinka, który dorazu jako wichler poskoczył. Szwed tém poruszeniem nagłym obalony,

(*) Znane są przykłady olbrzymiej siły króla Augusta. — W czasie walki byków w Madrycie, jednym zamachem miecza najszerszemu łeb do razu uciął. Przed kilkoma laty towarzystwu królewsko-warszawskiemu przyjął nauk przysłano sztabę grubą żelaza, którą August zgiął rękoma z obudwu końców, z jednego w półkole, z drugiego spłaszczył dokładnie. Tradycya dotąd krąży, ile król ten był zmartwiony, gdy poznał kowala mocniejszego od siebie, i szlacheca, który go przepić potrafił; obudwu wszelako nagrodził sówicie, kowala złotem, szlacheca starostwem, ażeby miał za co napełniać własną piwnicę. — U jednego z obywateli województwa krakowskiego widziałem puchar gruby srebrny, wysadzany medalami, na którym znać wycisk dwóch palców silnego Augusta.

mając gwałtownie i silnie naciśnięte gardło, stracił przytomność. Kozak zatrzymał konia, zsiadł i sięgnął do kieszeni po talary; gdy usłyszał bliskie tętnienie kopyt, nie wiele miał czasu, zchwyconą zdobycz schował, skoczył na siodło i spojrzął wokoło. W dali ujrzał Augusta i starostę Szmigielskiego, dojeżdżających szybko do wsi, a w pobliżu siebie dziesięciu drabantów szwedzkich, którzy go zewsząd otaczali. Kozak zwrócił chyżo na drogę do lasu wiodącą, i uderzył na dwóch Szwedów, którzy mu zaskoczyli z tej strony, jednego powalił z konia, lecz wnet więcej nadbiegło; nie miał już sposobu ratunku, wokoło zabłysnęły szable wyostrzone nad głową, zeskakuje z konia, wymyka się zrecznie, wbiega w gęstwinę ciemnego lasu i wdzięra się na wierchołek sosny. Tam z boleścią widzi, jak jedni rzucili się za nim w pogoń, drudzy prowadzili jego Żmudzinka; byłby wszystko za niego oddał, bo nie miał droższego na świecie, jak Paraskę czarnobrewą, konia i szablę. — Łzy mu się zakręciły, wtém z radością patrzy, że Żmudzinek wydarł się Szwedom i z głośnym zrzaniem poskoczył w stronę gęstwiny, gdzie pan jego się uchronił. Kozak zsunął się z sosny, przypadł do ziemi i głośno zaświstał. *) Wkrótce trzask i szum gałęzi posłyszal, a niedługo i swego ujrzał Żmudzinka. Dosiada lekko siodła. przychyła się do grzywy, i niknie jak błyskawica w nieprzejrzanej ciemności rozległej puszczy.

(*) Konie kozackie są nadzwyczaj do swych panów przywiązane, znają ich głos, i gdy go usłyszą, biegną posłuszne. Puszczony wolny niedadzą się nikomu pochwycić, chyba że są w okolo oskoczone i nie mogą uciec.



XII.

„Przed gościem duszę i serce wylać.“

J. Woronicz. (Assarmota).

„Cóż nowego przywozisz, mój Stasiu?“ rzekł pofale Jan Grudczyński, starosta rawski, do przybyłego Stanisława Zienkiewicza, który stanął w rogu marmurowego komina.

Zienkiewicz złożył na stole pakiet listów. — Był to ulubieniec starosty, jego wychowanek, wziął go na swoją porękę, kiedy nie miał więcej nad 8 lub 9 lat; niechciał się uczyć, tylko latał, piął się na drzewa, by wykręcać gniazda ptasze, żydom w miasteczku psoty robić, oto cała zabawa. Starosta kazał go uczyć, a że było to pacholeciem jeszcze zdatne, łatwo wszystkiego się nauczył, i został prawą ręką Grudczyńskiego. Najwięcej od następnego wypadku wpadł w szczególne jego łaski:

Przybył raz Grudczyński w podróży na Ukrainę do karczmy samotnej w pośród rozległej puszczy jedynej. Że niesposób było dalej jechać, bo noc zbyt późna, umyślił zanocować, niepodobieństwem zaś spać w izbie dla smrodu i zaduchu od kopy bachorów i nieczystości. Rozkazał sobie posłać w bliżkiej stodole, zawołał Stasia ulubionego, a ludziom czujność i baczność polecił.

O samej północy Staś usłyszał, że się coś przesuwa w zasięgu po sianie, zbudził Grudczyńskiego i ostrzegł; porwać się zaraz i uciekać było rzeczą nierozsądną, Staś przewidział wszystko, cichaczem się wymknął, i poleciał do karczmy, gdzie dworscy spali głębokim snem ujęci. Przy samych wrotach obejrzał się i ujrzał, że za stodołą kilkadziesiąt koni stoi, budzi swoich bez hałasu, dworscy porywają żyda, każą mu milczeć, wszystko do wyjazdu w pogotowiu, sianie wypakowane, konie zaprzężone. Staś przemyślał jakby wydobyć Grudczyńskiego, powraca więc nazad do stodoły, i głośno daje znać staroście, że kón ulubiony, Gniadosz, zachorował i powalił się przy źłobie. Grudczyński w gniewie, zrywa się z posłania, przywdziewa tylko sobolową delią i biegnie do karczmy. Siada w przygotowane sanie, otwierają się na ścieżaj drzwi karczmy i starosta swobodnie uchodzi.

Wszakże i zbójcy czuwali, a chociaż widzieli 25 dworzan zbrojnych, dosiadają koni i spieszą w pogoń.

Grudczyński doświadczony, rozkazuje, żeby nie razem, ale pojedynczo tylko odstrzeliwano; jakoż każdy strzał był skuteczny, bo przerzedzał bandę łotrów, sam najzuchwalszych i najbliżej nacierających z pistoletów powalił. Tak ujechał mil dwie, nim znużeni rozbójnicy, widząc iż nic nie dokazą, a sami tracą towarzyszków, opuścili go i rozsypali się w gęstej puszczy. Staś otulony futrem starosty, siedział mu w nogach i wyglądał często, każdy strzał celny ze strony dworzan widział i zaraz wołał:

„O! o! spadł z konia; o! coś dostał, bo krzyczy Jezus, Marya, Józef!..”

Od tego wypadku zostawał Zienkiewicz w jak największych łaskach, tém bardziej, że i chlubną szramę od prawego oka otrzymał, wspierając na sejmiku partję starosty.

„I cóż z nowin mi powiesz przecie?“ zapytał znowu Grudczyński.

„Jaśnie wielmożny panie, wiele nowin: August zdetronizowany, nową elekcyę prymas Radziejowski ogłosił.“

Uśmiechnął się radośnie starosta, była to pożądana nowina.

„Miejsce elekcyi, jak zwykle,“ mówił dalej Zienkiewicz, „na polach pod Wolą, najjaśniejszy król szwedzki stanął obozem o trzy mile pod Błoniem. Elekcyę się odbyła, królem ogłoszony Stanisław Leszczyński, wojewoda poznański.“

Grudczyński uderzył w ręce, „Chwała Bogu!“ zawołał z radością „August stracony! a xiądz jegomość kardynał?“

„Nie zupełnie uradowany z tego wyboru, mówią że chciał kogo innego obrać królem.“

„Żeby pod niedołężnym sam rzeczpospolitą rządził. O! znam go, znam go dobrze; chciał Sieniawskiego, hetmana, niedołężnego starca, by go za nos wodził, ale *homo proponit, Deus disponit*, wiadać że takie było przeznaczenie dla domu Leszczyńskich, jak dla Sobieskich, by ród ich na tronie polskim zajaśniał.“

„Mówią, że rozgniewał nawet na siebie pan kardynał Radziejowski i najjaśn. króla szwedzkiego.“

„Cóż było tego powodem?“ zapytał starosta ciekawie.

„Przywołany do Karola XII. prymas, był zapytywany o zdanie nad niektórymi kandydatami do tronu; każdemu coś przymówił, każdemu łatkę przypiął. Najjaśn. król szwedzki wymienił Leszczyńskiego: „Czy masz co i przeciw niemu?“ — „Nic, najjaśn. panie,“ odpowiedział Radziejowski, „tylko że młody.“ — „I ja młody!“ zawołał w gniewie urażony Karol XII. a grzejąc się w tej chwili przy kominie, odwrócił się i więcej nie chciał mówić.“

„To dumę pana Radziejowskiego uraził,“ rzekł z głośnym śmiechem Grudczyński.

„A jednak wiele usługiwał Karolowi XII,“ mówi dalej Zienkiewicz, „bo gdy knował zamysł zdetronizowania Augusta, zwabił pod innemi pozorami radnych panów do Warszawy, tymczasem wojskiem szwedzkim tak zręcznie wszystkie drogi osaczył, że z przybyłych żaden ujechać nie mógł, i rad nie rad podpisał akt detronizacyi.“

„A koronacya najjaśn. króla Stanisława już odbyta?“

„Tak jest, wielmożny panie, odbyła się z całą świetnością i powagą w Warszawie, był jej przytomny Karol XII. Najjaśn. król jegomość. wraz z dostojną małżonką ukoronowani zostali w kościele katedralnym śgo. Jana, i złożyłem sam uszanowanie jaśnie wielmożnego pana i oświadczenie, że z powodu słabości, która niedozwoliła mu być obecnym na tym obchodzie, chociaż nie własną osobą, składa swój hołd jego król. mości. — Karol XII. zaraz ruszył do Torunia, zkąd miał przechodzić na Myszeniec i Ostrołękę.“

„A ów August, ten ex-król, co porabia?“ zapytał z ironicznym uśmiechem Grudczyński.

„August zbiera wojska, zapewne zechce próbować losu bitwy.“

„Można mu zaśpiewać: *Requiescat in pace!* Całe wysilenia pana elektora saskiego przeciw potędze i zwyciężstwu Karola XII. będzie łyżką po obiedzie.“

„Starosta Szmigielski jest przy jego boku z znacznym zastępem szlachty polskiej.“

„Pan starosta!“ zawołał z uniesieniem Grudczyński, „o gdybyśmy się gdzie spotkać mogli!“

Wtém otworzyły się podwoje komnaty, wszedł najprzód pomieszany August II. a za nim starosta Szmigielski.

Kilka kroków w tył usunął się Grudczyński, z podziwieniem spojrzął na Augusta, Szmigielskiego zmierzył surowém wejrzeniem.

„Panie starosto!“ rzekł po chwili zmieszany August, „żadam schronienia, Szwedzi w około.“

„Masz nas waszmość w swoim ręku,“ zawołał Szmigielski, występując naprzód, „zapewne wydasz Szwedom; gdy Szmigielski nigdy nie dał się wzięść w niewolę, kiedy kord przy boku, odbierz go waszmość.“ Tych słów domawiając, rzucił szablę pod nogi Grudczyńskiemu.

August zbliżył się, wziął za rękę starostę: „przytułku i gościnności! wszak to polskie cnoty.“

Grudczyński przy nawale uczuć słowa wyrzecz nie mógł, po chwili zaledwie odpowiedział, a pierwsze słowa jego były do Szmigielskiego:

„Podnieś waszmość szablę, Grudczyński podłym być nie umie,“ a zwracając się do Augusta:

„Najjaśn. panie! znalazłeś tu bezpieczne schronienie, po moim chyba trupie dostaną Szwedy osoby w. król. mości!“ August z wdzięcznością przycisnął rękę jego do serca.

„Prawda (mówił dalej), że oponentem w. król. mości jestem, ale Grudczyński jest tylko wrogiem w otwartym polu, a Polakiem w własnym domu.“

Szmigielski ochłonął z pierwszego uniesienia, a rozczulony szlachetnością starosty, przystąpił do niego i podał rękę. — Przyjął on ten znak uprzejmości i rzekł z nierozjaśnionym jeszcze czołem:

„Kto przejdzie próg mego domu, temu przyjaźni, chociażby chwilowej, nigdy nie odmawiam.“

Dał znak Zienkiewiczowi, który bezwzględnie opuścił komnatę, po chwili wszakże przybiega z doniesieniem, że liczny patrol szwedzki z pobliskiego obozu już na podwórze zajechał. Grudczyński niezmięszany, wziął za rękę Augusta i poprowadził do alkowy, tam przy wielkim obrazie Jana Sobieskiego, jak pod Więdnem uderza na hordy liczne Turków i Tatarów, poruszył sprężynę, i drzwi nieznacznie otworzyły się zaraz. Ukazał się tam mały pokój, do którego wprowadził Augusta i Szmigielskiego.

„Tu jesteś bezpiecznym, najjaśn. panie, ja odchodzę, by oddać wszelkie podejrzenie, bać spokojnym, bo Grudczyński daje swoje słowo.“ Wszedł do sali, gdzie Zienkiewicz już przyjmował dowódcę patrolu, którym był młody podoficer Remer.

„Daruje pan starosta,“ rzekł z ukłonem uprzejmie do wchodzącego, „że tu przybyliśmy, ale jesteśmy żołnierze, rozkaz ściśle dopełnić musimy.“

„Cóż takiego?“ zapytał Grudczyński.

„Podług wszelkich poszlaków, król August znajduje się w pobliżu, nasz drabant jeden, pochwycony zdradziecko na czatach, musiał mu służyć za przewodnika, mało życia nieutracił, a co szczególne, że król August...“

„Raczej ex-król, elektor saski,“ przerwał Grudczyński.

„Tak, tak, przepraszam,“ rzekł z uśmiechem Remer, „wydał się niechęć, bo dając kilka talarów na piwo, zgiał jeden jak wosk w palcach i wyprostował nazad, ale niezupełnie, oto jest,“ i położył na stole talar znacznie wygięty, „któżby to potrafił, jeden tylko August.“

„Niekoniecznie,“ odpowiedział Zienkiewicz, „starosta Szmigielski jest równie silny, bo na dzikiego konia jak wsiądzie a ściśnie kolanami, to koń przykłąknie.“

„A to on był zapewne z Augustem,“ zawołał Remer. „To jego sztuczka, kiedy naszego drabanta lwia siłą porwał z konia, na swego przesadził i uciekł.“

„A to zuch sobie,“ rzekł Grudczyński, śmiejąc się głośno, „przyznam się, że nie bardzo radbym dostać się w takie pazurki.“

„Niech go tylko złapiem, to cienko zaśpiewa; liczne patrole rozesłałem wokoło, chyba do myszkiej jamy się ukryli, żebyśmy ich nie wynaleźli, a piękny byłby podarunek dla naszego pana, król August i pan starosta!“

„Raczej darować,“ wyrzekł z powagą starosta, „że to moja godzina zwykła spoczynku, proszę się rozgościć, na niczym wam zbywać nie będzie. Panie Stanisławie, wino i wieczerza.“ Skłonił się nisko Remer, Grudczyński odszedł do sypialnej komnaty, Zienkiewicz krzyknął na hajduka, który wkrótce przyniósł kilka flasz wina. — Remer odparał pałasz, zdjął pas z pistoletami, i usiadł w wielkim krześle starosty, przyjął podany sobie spory puchar wina, i do dna go wychyliwszy:

„A wiesz pan co, to nie złe wino, bodajto piwnice panów polskich!“

„Tak to mawiają,“ rzekł Zienkiewicz, „że nigdy w Polsce niezabraknie

„Żyta, lnu i pszenicy,
„I pełnej wina piwnicy.“

„Ale kto wie, czy długo będziem śpiewać tę piosenczkę, czy ją nasze dzieci jako prawdziwą przy-
powiastkę powtarzać będą.“

„E mój panie! co tam o tém myśleć, ja nigdy o jutrze ani pomyślę nawet, bo co dziś to moje, co jutro diabłu oddaj! Tak każdy żołnierz myśleć musi, na co się truć goryczą; tu się troskasz, a tu kulka świśnie, i już kopyta na zawsze wyciągnął.“

Zienkiewicz nalał drugi puhar. „Śmiało pijcie,“ rzekł do Remera, „bo to stare wino, a u nas mawiają: że stara księga, stara prawda i stare wino zawsze dobre.“

„Jest to wielka prawda, zgadzam się na starą prawdę, a szczególnie stare wino, ale dziękuje za starą księgę, ja ani jedną w swoim życiu nie przeczytałem; oto nasza księga,“ zawołał, uderzając w leżący pałasz na stole, „to księga, to prawda najlepsza.“

Zienkiewicz z boleścią westchnął: O! biada, pomyślał, gdzie sama szabla prawdą będzie.

Niedługo i wieczerzę zastawiono, Remer zajął smacznie, pił wiele, aż rozmarzony, nieskończyszylubionej piosnki, zasnął twardo.

Grudczyński z sypialnej komnaty przeszedł cicho koło śpiącego Szweda i spojrzał na podwórzec. Noc była ciemna, śnieg tylko na dachach białął, nadstawił ucha, milczenie. „Jeszcze nie czas,“ rzekł do siebie, i powrócił do alkowy.

XIII.

„I była góra napelniona blaskiem,
„Nagle wypadł Czestmir z zastępem,
„Z nim wypadł strach z ciemnic leśnych,
„I osiadł liczne wojska wrogów.“

Rękopism Królodworski.

Stanisław Bąk i Borowy najbliższymi drożynami dochodzili pod Ostrofękę, im więcej się zbliżali, coraz wyraźniej huk ręcznej broni i działowy słyszeli.

„Spieszmy, Staśku! spieszmy, żeby nie zaspać ciepłych gruszek w popiele,“ zawołał Borowy, przysparzając kroku, „odetchnę swobodniej, jak choć z jednego Szweda duszę podaruję diabłu na ofiarę.“

Właśnie wyszli z lasu, ujrzeni na czystym polu rozwinięte szeregi Karola XII. Kurpie bronili się zacięcie przy wiatraku i we wsi między opłotkami.

„Czy widzisz!“ wykrzyknął z zapałem Borowy, „nasi jeszcze we wsi trzepią czerwonym diabłem skórę, hurra na nich!“ i rzucił się naprzód z przygotowaną strzelbą, ale w tej chwili dwóch drabantów szwedzkich ujrzał tak blisko siebie, że nie miał czasu wystrzelić. Uważniejszy Stanisław Bąk zmierzył, a z połyskiem na panewce zwał jednego z konia, drugi chciał uciec, ale Borowy, który przed cięciem pałasza przypadł do ziemi, nagle się rzucił, porwał olbrzymią siłą za nogę, zciągnął z konia i rozjątrzony wymierzył

pięścią cios w czoło Szweda, a za spadnięciem tej żyłastej ręki, wytrysnął mózg z czaszki i Borowemu oczy zamazał. Bąk przybiegł, chciał uratować drabanta, ale zapóźno, przytrzymał tylko konia, gdzie spodziewał się znaleźć łup bogaty.

Tymczasem Karol XII. parł coraz więcej Kurpiów osadzonych między opłotkami i w wiatraku, ale wszędzie dzielny znajdował opór. Napróżno jazda szwedzka w całym pędzie chciała się przedrzeć, każde uderzenie własnymi opłacała trupami. Los przechylił się na stronę szczęśliwego Karola, potrafiło zapalić wiatrak i wioskę, które służyły Kurpiom dojazd za uchronię; wówczas ci z jednej strony skwarzeni pożarem, z drugiej przyciskani od wiele liczniejszych wrogów, musieli ustępować na czyste pola, gdzie widzieli zgubę i od jazdy i od kul działowych. Ale nie stracili odwagi, w porządku wśród gradu kul opuszczali wioskę i wiatrak. — Czekał tylko na to Karol XII., zaledwie się na polu ukazali, jazda szwedzka ich okoliła; już byli zgubieni, wtem wrzawa w pobliżu powstała, na zuchwałych pewnym zwycięstwem Telemski na czele 200 szlachty uderzył, zmieszani chwiać się zaczęli, z czego korzystając Kurpie, uszli zagłady.

Telemski widzi zamieszanie, umie korzystać, zachęca swoich. i z głośnym okrzykiem uderza na ośm śmigownic, których ogień najwięcej raził, zdobywa je w jednej chwili, a Szwedzi uciekają.

Wszystko to uważał Borowy i Stanisław Bąk, ale sami oddzieleni, bojąc się napadu jazdy licznej, uczajeni za krzakiem, celnymi strzały przeczędzali wrogów, widzieli napad śmiały Telemskiego, widzieli jako dorazu działa umilkły w tamtej stronie, gdy zagnęła widzą popłoch pomiędzy swojemi, widzą z boleścią, że zwyciężają Szwedy. Karol XII. bowiem,

skoro ujrzał zdobyte działa śmiałym napadem Telemskiego, na czele jazdy sam uderza, nic mu się oprzeć nie mogło, odbiera armaty, a Telemski cięty od niego w ramie pałaszem, zaledwie uniesionym od przywiązanych został.

Już nie było nadziei poprawienia losu bitwy. Kurpie rozsypani ginęli pod szablami Szwedów, jazda polska w rozsypce znalazła uchronię. Stanisław Bąk i Borowy chyłkiem do poblizkiego lasu uciekali, tam przyczajeni w gąszczu, zmordowani spoczęli. Karol XII. otrzymał pole bitwy i kazał ścigać zwyciężonych.

Telemski ciężko ranny, zaledwie oddychał osłabiony krwi upływem, trzymał go w swoim objęciu Jan Huczko, przywiązany szczególnie pachofek, który go prawie na rękę wypiastował, i wszędzie nieodstępnie mu towarzyszył. Przewieszony na koniu omdlał, nie czuł żalu z wydartego zwycięstwa, nie czuł boleści z odniesionej rany.

Huczko dowiózł tak swego pana aż na podwórze wojewodziny Działyńskiej; ujrzeni dworzanie rannego, poskoczyli, i zanieśli do sypialnej komnaty na wygodne łożo.

Twarz wybladła, cały krwią zbryzgany, oczy zamknięte, bez przytomności leżał Telemski, przy nim stała sama wojewodzina i z wlepionemi oczyma wpatrywała się na oblicze młodzieńca. Po wielu trudach i trzeźwieniu otworzył oczy i westchnął.

„Żyje!“ zawołała w uniesieniu radości Działyńska, „żyje!“ i przyłożyła mu rękę do serca.

Przywołany lekarz zalecił jak największą spokojność słabemu, opatrzył ranę i uspokoił troskliwość wojewodziny, że nie jest groźną.

Działyńska usiadła przy łożu słabego w zamyśleniu, kilka razy westchnęła z boleścią, a najczęściej,

przykładając mu rękę do serca, mówiła do siebie: „Bije, ale jakże słabo, o gdyby tylko chociaż tyle dla mnie!“

Karol XII. po odniesioném zwycięztwie odjeżdżał do wiatraka, który jeszcze cały był w płomieniach, przy domku młynarza stało 30 Kurpiów wziętych w niewolę.

„Tych chłopów bez butów wywieszać co do jednego!“ zawołał z gniewem, „No! czego stoicie?“ krzyknął w uniesieniu na swoich, „Karol niepowtarza rozkazu, tu na wierzbie po jednemu, a gdy jak braknie miejsca na stryczek, niech spróbują jak teraz ciepło w wiatraku.“

Zachęczone żołdactwo rzuciło się jak psy wściekłe na bezbronnych Kurpiów, w jednej chwili kilkunastu wisiało na drzewie, dwóm związali ręce i nogi, a rozbujawszy z początku, rzucili w płomień; jęk nieszczęśliwych męczenników pobudził do śmiechu, po jednemu wybierali, a rzucając losy dla rozrywki, albo na drzewie powiesili, lub żywcem na pastwę płomieni rzucali.

Nad wieczorem zagaśł ogień, gdy cały wiatrak spłonął; Karol XII. przejeżdżał znowu, przypatrywał się powieszonym Kurpiom, wtém kón się potyka mocno, spojrzął Karol na ziemię, i ujrzał, że zdeptał ciało Kurpia, spalonego na węgiel, którego trup jeszcze zawadził mu w drodze.

KONIEC TOMU PIÉRSZEGO.

Drukiem i nakładem M. F. Poremby.

PRZYPISY HISTORYCZNE

DO TOMU PIÉRSZEGO.

I.

„Ale Gustaw znalazł zdrajców, Radziejowskiego!“

Wspomnienie Hyeronima Radziejowskiego, ojca prymasa. Ten ożeniwszy się z wdową po zmarłym Adamie Kazanowskim, z domu Słuszezanką, miał z nią syna, który w obecnej powieści występuje. Anna Radziejowska, żona, znalazła pewne względy u Jana Kazimierza, który nie był nieczulym na piękne oczy; zaufana w łasce króla, przy pomocy nadwornych żołnierzy Służki, podskarbiego litewskiego a brata swojego, siłą odbiera i dóm po Kazanowskim i własny Hyeronima. Ten na piérwszy gwałtu odgłos z przychylną szlachtą mazowiecką wpada do Warszawy właśnie w czasie sejmu, i siłą odbiera na powrót obadwa domy. — Gwałt pod okiem sejmu nieuszędł bezkarnie, tém więcej przy żalobie kochanki królewskiej; odsądzony więc od czei Radziejowski, jako banita, sprowadził Szwedów. — Wiadome są z dziejów dalsze nieszczęścia Polski, Radziejowski w ostatku przywrócony został do łaski królewskiej.

Syn jego, Michał, by zatrzeć plamę imienia, obrał stan duchowny i szybkim krokiem stanął na szczytcie jako głowa kościoła polskiego, z władzą wielką prymasa, a w bezkrólewiu prawie królewską. Czynów część większą obejmuje niniejsza powieść. On to ma w kościele sgo. Krzyża w Warszawie pyszny nagrobek, i przyłożył się czynnie znacznym zapisem do wyniesienia wież wyniosłych pomienionego kościoła.

V.

Poselstwo Kurpia, jako też cała porażka Karola XII. w lasach mazowieckich, jest czysto historyczna, szczegóły niektóre są wyjęte z ustnych miejscowych podań.

VIII.

Zręczność Kurpiów w strzelaniu jest znaną dokładnie, sam widziałem, jak jeden z strzelców cyfrę S. A. R. kulami w pół godziny wysadził.

X.

„To żywie Bóg prawda.“

Wyrażenie słowiańskie z przed-chrześcijańskich czasów, zachowane między ludem polskim.

* * *

„Panowie szlachta,
„Jednemu wór drugiemu płachta.“

Przysłowie pospolite u ludu używane z pogardą, oznacza jeszcze ubóstwo drobnej albo zagonowej szlachty, której dziedzictwa obszerność dokładnie maluje znana przypowieśćka o szlachcie podlaskiej: „że jak pies usiądzie na granicy szlachcica, to ogon za granicą trzyma.“

XII.

Przyjęcie Augusta u Grudezyńskiego jest historyczne. Gdy ten monarcha przedsięwziął niebezpieczną do Tykocina w towarzystwie trzech tylko osób podróż dla widzenia się z Piotrem W., ujrzał w pobliżu patrol szwedzki, szukał schronienia we dworze szlachcica polskiego, którego imienia nie zachowały nam dzieje, i trafił właśnie, że to był stronnik Stanisława Leszczyńskiego. — Szlachetny ziemianin, mając duszę polską, przyjął nieszczęśliwego króla, i ukrył aż do czasu, w którym niebezpieczeństwo minęło. Całe to zdarzenie opisane w dziele: „Przysłowia Narodowe T. 3.“

XIII.

Okrucieństwa dopełniane na mężnych Kurpiach z wyraźnego rozkazu Karola XII. opisuje Szmit, w skróconych dziejach Polski, które przekładał Albertrandi.

TOM II.

II MOT

XIV.

Niedaremnie wczora rano
Oddalony huk słyszano;
Kto do ziemi przytknął ucho
Słyszał odgłos po odgłosie,
Jak rozszérzał się po rosie,
Jakby z piekiel jęczał głucho,
Coraz mocniej, coraz groźniej,

Alex. hr. Fredro. (Obrońca Olsztyna.)

August II. i Szmigielski, wspaniale przyjęci od szlachetnego Grudczyńskiego i aż do granicy dóbr jego odprowadzeni. Przy samym kopcu granicznym zatrzymał się Grudczyński, uchylił z uszanowaniem czapki i rzekł do króla:

Najjaśn. panie! dotąd byłem oponentem „w. kr. mości, będę i dalej, bo stoję przy sprawie nowego króla, najjaśniejszego Stanisława I., ale żądałeś schronienia w moim domu, dotrzymałem danego słowa; oto jest pewny przewodnik,“ wskazując na zaufałego Stanisława Zichkiewicza, „on w. kr. mość doprowadzi gdzie tylko zażadasz.“

August ścisnął rękę wojewody.

„Tu!“ rzekł, pokazując na serce, „tu pamiątka i wdzięczność dla was, może jeszcze August znajdzie kiedy sposobność odsłużenia się wzajemnie.“

„Panie wojewodo!“ zawołał ze szczerotą Szmigielski, „i my czuć umiemy waszą wspaniałomyślności podaj prawicę, a chociaż każdy z nas innej służy

sprawie, przecież nawzajem kochać się możemy;“ i zbliżył się do Grudczyńskiego, który z rozjaśnionem czołem podał mu rękę.

„Zapomnijmy o dawnych zajściach, niechaj zaginą jak kamień w wodę; znajdziemy się jeszcze tam, gdzie wspólnie dla nas droga sława zawoła każdego.“ Zwrócił konia i pojechał dróżyną do dworu wiodącą. Zienkiewicz poprzedzając Augusta i Szmigielskiego, prowadził ich krętą ścieżką, albowiem niebezpieczeństwo niezupełnie przeminęło, patrolc szwedzkie ukazywały się jeszcze niekiedy. — Był laszek rzadki brzozowy, a za nim szerokie pola, jeszcze go nieprzejechali, gdy z dala ujrzeni jeźdźca na koniu, który w całym biegu pędził i coś na długi i smyczy ciągnął za sobą. Wstrzymali konie i ukryli się w lesie; jeźdźcie dążył spiesznie do brzeziny i co chwila oglądał się po za siebie. Kón był zhasany, okryty białą pianą, zadyszany. Zaledwie zbliżył się do lasu, gdy starosta wykrzyknął:

„To mój Hryć! a co on tu robi?“ i głośno zawołał na niego.

Kozak poznał głos swego pana, z radością przybiegł ciągnąc na długi smyczy, już zduszonego Szweda.

„Dla czegoś go zadusił?“ rzekł surowo Szmigielski, „kiedym ci zalecił puścić go wolno.“

„Ale to nie ten sam Memec, to inny, o niech no jasnie wielmożny pan spojrzy, tamten miał szramę na pysku, a to gładysz zupełnie.“

„Cóż się z tamtym zrobiło?“

„Puściłem go, ale zwołał swoich, oskoczyli mnie, ledwiem uciekłem, już i mego żmudzinka pochwycili, ale im się, dzięki Bogu, wydarł. Jechałem sobie szukać jasnie wielmożnego pana, aż tu ten sam Szwed stoi na koniu, a minąć ani sposobu; jakby na naszych stepach dzikiego konia na harkan pochwycałem, zcią-

gnąłem i dalej w nogi. (*) Ale tegie strzelanie od Myszeńca i Ostrołęki słyhać było, mówili tam nasi w jednej karczmie, że król szwedzki zabity, a wojsko jego całe co do nogi wystrzelane w lasach mazowieckich.“

„A więc się sprawdza coraz więcej.“ rzekł z cicha Szmigielski do Augusta, „nasza bohaterka ten mur żelazny rozbija.“

„Dzięki niech będą Bogu!“ z westchnieniem odpowiedział August, „fortuna sprzyjać nam zaczyna, daj Boże! żeby była stalszą, niż pleć, do której należy.“

„Najjaśn. panie, przecie niemożesz narzekać na białogłowy, do których tyle masz szczęścia, nawet tak trudne Hiszpanki!“ —

„Ach! niekończ, mój kochany starosto, to wspomnienie rani moje serce.“

W istocie, miłość Augusta, o której Szmigielski wspominał, należała do pierwszych lat wiosny życia, a okropny koniec téj, która była przedmiotem przywiązania wówczas jeszcze księcia, bolesne obudził uczucia w duszy Augusta.

Młody August bawił w Madrycie, głośny bogactwy, urodą i olbrzymią siłą. Właśnie wyprawiano ulubioną Hiszpanom walkę byków; wiele z nich już padło z ręki zapłaconych szermierców, ale jeden rozszrożony i zjadły, powalił kilku, resztę rozpedził i z lekką tylko raną na czole biegał wściekły w pośród zamkniętych szranków. Nikt nieśmiało wystąpić do walki z rozszrożonym bykiem, długi czas trwało głębokie milczenie, wtém z amfiteatru zstępuje dorodny mło-

(*) Wstepach, gdzie stadami dzikie przebywają konie, harkanem czyli stryczkiem je łapią, i dopiero przyuczają. Na sławnych jarmarkach w Włodawie i Łęczynie wiele dzikich stepowych koni widzieć można.

dzieniec, a porwawszy od szermierza miecz obosieczny szal czerwony, otwiera śmiało wrota i wchodzi na środek placu. Zwierz dziki ujrzał go, zaiskrzyły mu się oczy, i z głośnym rykiem uderza na zuchwałego młodziana, który dla rozjątrzenia byka powiewał czerwonym szalem. Jednym rzutem staje przy nim, i zdawało się, że już go porwał na rogi. Przestraszeni na twarzach obecnych widać było, ale krzyk przeraźliwy w jednej stronie zagnał usłyszano; był to głos Donny Maryi, która widząc śmierć niechybną odważnego młodzieńca, zemdłała. — Ale jej trwoga była daremną, bo przytomny, rzuca szal na głowę zwierza, zasłania nim oczy, sam uskakuje, i jednym zamachem obosiecznego miecza łeb ucina. Wytryska krew strumieniem z grubego karku byka, jeszcze stał chwilę, zadrżał i powalił się na piasek. Ze wszystkich stron głośne wzniosły się okrzyki i radosne klaskania, młodzieniec otworzył bramę, i jako zwycięzca opuścił szranki. Tym młodzieńcem był August, słyszał on krzyk przeraźliwy Donny Maryi, chciał ją poznać, poznał i ukochał. — Miłość jego nie chciała widzieć żadnych przeszkód, któreby przełamać niemógł; Donna Marya była małżonką znakomitego Hiszpana, który ją kochał, a kochał z szaloną zazdrością. August za pomocą Włocha, co roznosił sałatę, i służącej, tyle ich zabiegami dokazał, iż we własnym domu jej męża widywał się nieraz. Dostrzegł to Hiszpan zazdrośny, widział, że niewinna i ciuotliwa dotąd Donna Marya niemogła się oprzeć Augustowi; wściekły nasadza zbójców przy wejściu do ogrodu, ale silny i zręczny książę zaledwie z raną mógł się z ich ręki wydobyć. Sam przypada do sypialni swojej żony, służącą sztyletem przebija, a gdy ta krwią własną zbroczona, tacza się na podłogę, z uśmiechem szatana podaje młodej Maryi do wyboru sztylet lub truciznę. Nieszczęśliwa

wybięra drugą, i w okropnej męczarni umiera. Hiszpan traci zmysły, w szaleństwie unosi trupa tyle kochanej żony do ogrodu, tam grób wykopuje, grzebie jej zwłoki, i z szablą dobytą strzeże, ażeby szczęśliwy kochanek nie wydobyl tego skarbu. — Trzy dni bez pokarmu czatował, osłabiony wczołgał się na powrót do sypialni, tam leżał trup służącej, i niedokończony przez Maryę pułhar trucizny, wypił resztę, i stał w oknie otwartem z wlepionemi oczyma na mogiłę żony. Jeszcze trucizna działać nie zaczęła, gdy zdało mu się, że dojrzał w ciemnej alei Augusta. — „To on!“ krzyknął, wyskoczył oknem, i padł na trawnik bez duszy.

Dowiedział się o wszystkim August, natychmiast opuścił Madryt i Hiszpanję, pamięć jednakże nieszczęśliwej Donny Maryi niczem zatrzeć nie mógł, i chociaż teraz zakochany był w pani Orzelskiej, dla której w Warszawie pyszny pałac we cztery niedziele wystawił i ozdobił, (*) wspomnienie pierwszej miłości smutne w nim obudzało uczucia.

Dostrzegł to Szmigielski, i na inny przedmiot zwrócił uwagę.

Zienkiewicz w milczeniu przysłuchiwał się opowiadaniu Kozaka, i zadrżał, usłyszawszy o kłesce Karola.

„W której stronie słyszałeś wystrzały?“ zapytał starosta Hrycia.

„Zdaje się że z tąd,“ i wskazał na ciemne bory na prawo, „widać że grzmiało tam dobrze, bo leśnicy mówili, że gruby zwierz stadami z legowisk uciekał.“

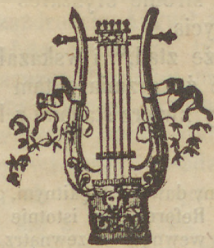
(*) Pałac ten zwany dawniej błękitnym, dziś Zamojskich, obok kościoła Reformatorów, istotnie we cztery niedziele wystawiono, i wewnątrz i zewnątrz ozdobiono. Trzysta robotników dzień i w nocy przy pochodniach pracowało. Tradycya niesie, że z pałacu, saskim zwanego, gdzie mieszkał August, przez cały ogród było przejście podziemne do mieszkania sławnej z wdzięków pani Orzelskiej.

„Wiele mil do Myszeńca?“ rzekł August, obracając się do Zienkiewicza.

„Najjaśn. panie, pięć dobrych złąd liczymy, na 20tą godzinę będziemy mogli stanąć, ale tu w krzakach spocząć musim, gdyż trzeba przejrzeć przesmyk pola, czy się nie kręcą Szwedy.“

Ukryli się w krzakach, Zienkiewicz pospieszył nieznaczną dróżyną, Kozak na brzuchu wyczołgał się na piaskowy wzgórek, zwany Diabli taniec, i sokolim okiem pozierał w około. (*) August i Szmi-gielski pod płaczącą brzozą w milczeniu stali, August myślał jeszcze o Donnie Maryi, starosta na dobytej szabli rachował szczyrby, z których każdy przypomi-nał mu oddzielną walkę i zwycięstwa.

(*) Pospolicie piaszczyste wzgórze lud nasz Diablim tańcem nazywa, gdyż widząc, jak wiatr zawiewa na nich lekki piasek w górę i kręci, wola: „O! już się diabeł kręci i skacze.“ Albowiem złego duchaw postaci wiatru uważa, jest to zabytek jeszcze Słowiańszczyzny przedchrześcijańskiej.



XV.

„Dawaj kielich, lój głębi,

„Niech się serce odziębi,

„Niech krew winem rozrzarzę i spalę!

Dominik Magnuszewski. (Radziejowski.)

„Już ucichło wszystko, podnosząc się z gęstwiny, rzekł Borowy do Stanisława Bąka: „Czerwone diabły pogнали w insze strony; trzeba nam pójść wyżarami, a tam nas i ogary nie wytropią.“

Darli się przez gęste zarośla, ledwie wyszli na dróżynę wązka, usłyszeli jęk bolesny; niedaleko leżał Jonek Łopucha, kulą mając przestrzeloną nogę, i omdlały Kwiczof, trzy razy cięży pałaszem w głowę.

„O moje biédactwo! jako się to tyra, ani opatrzenia, ani pomocy,“ zawołał z boleścią Stanisław. „No! kumie, weźta Kwiczofa na siebie, a ja podźwigam Jonka do chaty.“

Borowy, jakby małe dziecko, wziął na ręce Kwiczofa, Stanisław na barkach przewieszzonego unosił Łopuchę. Kilka razy spoczywali nim doszli do chaty, gdzie na rozestanej słomie, dla Karola XII. przyniesionej, złożyli rannych Kurpiów.

Małgorzata już uspokojona, że mąż wrócił zdrowo, krzątała się skwapliwie, by ulgę przynieść jakową słabym. Otrzeźwiła Kwiczofa, zawinęła rany, i przyłożyła znajome zioła; ale rany były głębokie, to zwróciło jój uwagę i rzekła do Borowego:

„Mój kumie, czyby nielepiej przywołać staręj Maciejowej? ona umie zażegnać, to się zaraz zgoi.“ (*)

„Niech przyjdzie i diabeł, albo sam Twardowski, a nietylko ta stara czarownica, aby pomogli,“ odpowiedział z gniewem Borowy, „dużo będzie miała do roboty, bo dużo nakaleczyli naszych te czerwone diabły.“

„Zdaje się, lepiej zawołajcie pastuchę z Dąbrowy, to człek pobożny, zna się na ziółkach, niewdawać się z czarownicą, bo zawsze kto z Bogiem, to i Bóg z nim.“

„Zapewne, macie prawdę, mój kumie,“ rzekł Borowy do Stanisława, „im może ostatnia godzina niedaleka, tu z Bogiem trzeba się pojednać, a chcecie czarownicę sprowadzać, żeby diabłu dusze niewinne oddała; alboż jej nieznacie? wszak ci to całe wesele Łońskiego roku (**) niedaleko ztąd w wilkołaki zamieniła. (***)

(*) Zażegnania są zwyczajne i pospolite między naszym ludem. W niektórych wsiach są już głośne i sławne baby, które w ściślejszej tajemnicy zachowują sekreta zamawiania, są to pewne słowa, formuły, które nad słabym odmawiają. Używają do tego dziwacznych powierzchniowych obrzędów; tak widziałem kilkakrotnie żegnania, opluwania w koło, zapatrywanie się w gwiazdy, przewracanie oezu i t. p. Co szczególnie, że sposób ten leczenia prawie zawsze jest skutecznym, co działa niechybnie zakorzenioną wiarą i ufnością. W Podlasiu, we wsi zwanej Królowa niwa, żyła niedawno kobieta sławna z zamawiania na wściekłość, i w istocie wielu tym sposobem uratowała.

(**) Łońskiego, przeszłego roku.

(***) Przesąd o wilkołakach jest powszechny nietylko między ludem polskim, mówiącym dialektem polskim, ale i u Rusinów podlaskich, w głębi państwa rosyjskiego, u Morlachów, Serbów i innych pokoleń słowiańskich. — Z tego przesądu powstało przysłowie: zażarty jak wilkołak, bo utrzymują, że tylko wilkołak, to jest człowiek w wilka czasami zmieniony, rzuca się i pożera ludzi. — Obszerniej pisałem w dziele: Przystawia narodowe. T. 3.

„Prawdać to prawda,“ odpowiedziała na dowody Borowego Małgorzata z zamysleniem, „to posłę Jaśka po pastuchę, albo co? Jaśku! Jaśku! pokłoń-ta się staremu z Dąbrowy i proś-ta, niech poratuje biedaków.“

Jaśko wsiadł na konia, żeby prędzej doleciał do wsi.

„A widzi-ta kumie,“ rzekł po chwili Borowy do Stanisława, „jak nam na złe wyszło, żeśmy wypuścili króla; spał na tej słomie, gdzie teraz krew naszych ciecze.“

„Toć to był król?“ zawołała z podziwieniem Małgorzata, załamując ręce, „a on tak wyglądał jak i inny człowiek.“

„I widać,“ rzekł z uśmiechem Stanisław, że mojej Małgosi przyprawy smakowały mu, gajdaki (*) i kiełbasy, bo zjadał dobrze.“

„Może się za to odsłuży wam, kumie, za noc da noc wieczystą i posłanie na cmentarzu, za gajdaki kule, a za kiełbasy smaczne postronek na szyję;“ mówiąc te słowa, ciężko odetchnął Borowy.

„Bogu tylko wiadomo, jaki koniec nam przecznył, niech się stanie święta Jego wola!“

Borowy nie odrzekł Stanisławowi, zbliżył się do rannych: „Przecie usnęli, niech spoczną sobie, ale byli w diabelnym tańcu. No, ja idę zajrzeć co się doma (**) dzieje, bywają zdrowi.“ — Zrzucił strzelbę na plecy i poszedł w las nieprzejrany.

(*) Gajdaki po mazowiecku, inaczej kartofle, po wielkopolsku perki, ziemniaki, w karpatach grule, w osadach słowiańskich w Węgrzech gromple, przy granicy pruskiej w Płockiem arczaki.

(**) Doma, zamiast w domu, starożytny sposób mówienia; Jan Kochowski, Twardowski ze Skrzypny, Wespazjan Kochanowski i wielu innych używają go w swoich pismach, co teraz tylko zachowane między ludem wraz z wielą staropolskimi wyrażeniami i przysłowiami. Język ludu naszego przedstawia ciekawe pole a mało oprawne dla każdego badacza.

Tymczasem rozbici Kurpie rozniesli przestrach i trwogę, niedługo w całej okolicy głośno mówiono o przegranej. Z boleścią dowiedziała się wojewodzina, nie upadła na ducha i mężtwie, tała wszelako przed Telembskim, ażeby nie pogorszyć zmartwieniem stanu rannego.

Nieznajomy młodzieniec, który tyle odwagi pokazał w pierwszym zwycięstwie i pobiciu Karola XII. i później w zdobyciu cmentarza Ostrołęckiego, zamysłony siedział na wielkiej sali i pierwszy raz ogromny do razu wychylił puhar pełny starego węgryna; przeszedł się kilka razy, znowu podstawił próżny do czopka srebrnej beczki, napełnił i wypił.

Ona go kocha! zawołał gniewny, kocha, siedzi nad łóżem, pielęgnuje, a gdyby mnie kula pierś rozdarła, czyżby westchnęła, zapłakała? A widziałem, jak go przynieśli omdlałego, żyły w oczach. O czemuż w boju nie ległem! byłbym szczęśliwy, nie tyle cierpiał, a teraz...

Przeszedł się znowu wielkimi krokami i napełnił puhar, ale wstrzymał się, postawił go na stole, z zamysleniem.

Chcę się upić, stracić zmysły, żebym nie czuł, lecz cóż ona powie, gdy ujrzy pierwszy raz w życiu zalanego trunkiem, co przez wino traci przytomność? precz odemnie! i zrzucił puhar ze stołu.

Gdyby widziała moje cierpienia, troski i szaleństwa, może by ich litowała, może niewie o mojej miłości?

Ta uwaga go zastanowiła, ale po chwili rzekł z gorzkim uśmiechem:

Niewie! razem prawie chowaliśmy się, razem wzrastali, wiedziała dawniej nim została panią wojewodzina! Oddaliłem się z tych miejsc smutnych, tyle

lat! teraz wdowa, znowu swobodna, wolna kajdan małżeńskich, jam jej niezapomniał, niemógł, Kocham jak dawniej, nawet więcej, a ona!

Zakrył twarz rękoma, i rzewliwie jak dziecko zapłakał.

I czego piskle płaczesz, czyś jej mówił, czy widzi żyły twoje? Widzę że kocha innego, a tu siedzę jak przykuty!...

Wtém odgłos trąb przybyłych nowych chorągwi obudził młodzieńca z dzikich marzeń, krew w nim zawrzała, pochwycił za kord krzywy, serce było mocniej, w tej chwili oddychał tylko wojną!



XVI.

„Do rana trwała biesiada i gwary,
 „Weselne wczasy przerwał giermek młody:
 „Hej Duka-Leko, rozwijaj sztandary!
 „Przezylał kartę, skończyły się gody.“

August Bielowski. (Pieśni Serbskie.)

Na dworze u wojewodziny Działyńskiej brzmiała muzyka, wielka sala jadalna przepełniona była zebraną szlachtą i znakomitemi panami. Przy dużym stole siedział król August, przy nim z jednej strony wojewodzina, z drugiej Szmigielski, dalej nieznamy młodzieniec, na przeciw osłabiony jeszcze i wybladły Telembski, resztę stołu zajmowała szlachta z okolic, która dzielnym ramieniem wspierała prześladowanego od losu Augusta.

Po pierwszym daniu zdjęto obrus zwierzchni, pod nim ukazał się drugi bogato złotem przeszywany, który zastawiono nowym serwisem.

„Jesteśmy zachwyceni,“ rzekł z zwykłą uprzejmością August do wojewodziny, „istotnie zachwyceni, i tak niespodziewanym przyjęciem, i ujrzeniem tak pięknej bohaterki, co króla nieszczęśliwego sprawę podniosła.“

Działyńska z rumieńcem oczy spuściła.

„Najjaśń. panie, nietylko mnie ten dank należy, są i inni co zasłużyli na względy w. kr. mości,“ i wskazała na nieznanego młodzieńca i Telembskiego.

August poznał ostatniego pierwój, na młodzieńca spojrzął z uwagą: „któż to taki?“ zapytał.

„Jest to młody Grudczyński,“ rzekł Szmigielski z cicha do Augusta, „którego ojciec silnym będąc w. kr. mości przeciwnikiem, przyjął nas tak szlachetnie.“

Król kazał podać sobie wielki szczyroźłoty puhar, napełniony tokajem, a powstawszy i wznosząc go w górę, zawołał:

„Pijemy zdrowie zacnej gospodyni, której tyle winniśmy, i wasze,“ obracając mowę do Telembskiego i Grudczyńskiego, „jako kawalerów orderu orła białego.“

W tym czasie bowiem ustanowił pomieniony order August w Tykocinie, był to pierwszy w Polsce, dotąd nieznan, bo szlachta zazdrośna własnych przywilejów i równości, nieprzyjęła dawniej jeszcze projektowanych od Władysława Łokietka i Władysława IV., który chciał postanowić order Niepokalanego poczęcia N. Panny Maryi, a sławny Jęrzy Ossoliński wygotował już jego ustawy. (*)

Z uszanowaniem i rozrzewnieniem przyjęli ten dar łaskawego monarchy.

„Słyszeliśmy,“ mówił dalej, „że jeszcze wielu innym podziękować musimy.“

Działyńska dała znak, pan podstarości Dębołęcki, wystrojony w czarny gondeturowy kontusz, w pasowy ałfasowy żupan, karabela w błyszcząca stal oprawna, wisała przy boku, na znak dany zakreślił węża, poprawił pasa i wyszedł z powagą.

W izbie czeladnej czekali przywołani Stanisław Bąk i Borowy. Pan podstarości ich przywołał do przedpokoju, gdzie stanąwszy przed zwierciadłem, i próbując jak lepiej przystaje czapeczka, rzekł zwolna do Kurpiów:

(*) Patrzec: Życie Jęrzygo Ossolińskiego, panowanie Władysława IV. przez Kajetana z Kwiatkowie Kwiatkowskiego. Opis starożytnej Polski, Tomasza Święckiego. Historia narodu polskiego A. Naruszewicza i J. S. Bandkiego.

„Jego exelencya, najjaśniejszy *Rex Poloniae*, *Magni Ducatus Lithuaniae*, król August II, chcąc wam okazać w konsekwencyi, sentymenta swoje, które raczył zkoncentrować w jeden punkt łaskawości, raczył wydać mi ustny ordynans do konwokowania was przed swoją personeą.“

Kurpie spojrzeli po sobie, ani słowa nierozumiejąc.

„Polityka najjaśn. pana zniżyła się i do plebsniskiego, a konsekwencyą (gdyż to był ulubiony wyraz pana podstarościego, razem z punktem sentymentów) sami zobaczycie.“

„Wielmożny panie!“ rzekł Borowy, „strasznie górno pan wielmożny gada, a my prostaczki sobie po niemiecku nieumiemy.“

„Prawda, prawda! zapomniałem,“ odpowiedział, „nie zważyłem na konsekwencyą, gdy wyższego tonu, werbów, prowerbów i sentenij używałem. No! panie leśniczy,“ rzekł do Borowego, „król was chce widzieć, razem z panem bartnikiem Bąkiem.“

Kurpie wytrzeszczyli oczy z podziwienia, tém więcej, słysząc, że ich panami nazywa ów groźny dawniej podstarość.

„Ale proszę wielmożnego,“ z zakłopotaniem odezwał się Borowy, jakże ja do króla gadać będę?“ i poskrobał się po głowie.

„Najlepiej nic nie mów, tylko się kłaniaj, a gdybyś chciał koniecznie, zawsze zaczynaj: najjaśniejszy panie, lub miłościwy królu. No chodźcie za mną a ostrożnie, żeby się z was który nieprzewalił na śliskiej posadzce.“

Zdjął czapkę, ułożył ją zgrabnie pod pachą, zarzucił wyloty od kontusza, pogłaskał wąsa i czuprynę, otworzył wielkie podwoje, sam wszedł naprzód za nim Bąk i niedźwiedziego składu ciała Borowy.

Król August i spojrział na nich; pan podstarości jak najniższe bił pokłony, Stanisław i Borowy nieporuszeni stali. Król z ciekawością przyglądał się ich postaci i ubiorowi, który był wykwinniejszy, świąteczny, bo się wystroili, wiedząc iż przed Augustem staną.

Borowy długie włosy miał w tył zczesane, gęste ich sploty zakrywały kark gruby i niski; koszula biała, mosiężnym guzikiem spięta pod szyją, na niej kamizela granatowa, ozdobna takiemż guzikami, spodnie płócienne, na nogach kurpie, zwierchnia sukmana kafowego koloru, wdziana na rękawy, kapelusz okrągły z dużemi skrzydłami, przystrojony czerwoną wstążką; był bez torby i strzelby, ale kordelas wisiał przy boku. Takż sam ubiór miał Bąk na sobie.

August przywołał ich bliżej do siebie, a patrząc na olbrzymią Borowego postać:

„Musisz być silny.“

„Tak jest, jaśny panie!“ W tej chwili pan podstarości, pociągnawszy go za sukmanę z tyłu, „a gadajże: miłościwy królu!“

Niezmiészany Borowy powtórzył:

„Tak jest, miłościwy królu, zduszę niedźwiedzia.“

„Kto wie, może mocniejszy odemnie,“ rzekł król z uśmiechem do wojewodziny. „Potrafisz zgjąć ten pieniądz?“ i podał mu gruby talar. Borowy ledwo się go dotknął, zwinął w dwóch palcach jak papier. August się zadziwił. Wtém starosta Szmigielski już podchmielony, zawołał:

„Pozwolisz, najjaśn. panie, i to jest dowodem niemałej siły, ażeby talar rzucony na posadzkę ugrzązł do trzeciej części.“

Borowemu podano pieniądz; nieśmiało rzucić w przytomności króla i tyłu panów, przykląkł więc i dłońią wcisnął w podłogę prawie cały talar.

„Do stu Tatarów!“ wykrzyknął Szmigielski, „ja niewidziałem jeszcze podobnej siły, onby człowieka jak ptaszka na rękę unioś.“

„O! jasnie wielmożny panie, my i to potrafiemy.“ Zwrócił się, a widząc najbliżej pana podstarościego, wsunął mu rękę pod żupan i podniósł w górę. Pan podstarości zmieszany, skreślił się do razu, wypuścił czapkę zgrabnie ułożoną zpod pachy, już miał zlecieć, gdy Borowy drugą ręką poprawił go sobie i przytrzymał.

Śmiech powstał w około, a pan podstarości bladł i czerwieniał jak upiór ze wstydu i gniewu. Kurp lekko spuścił rękę ku ziemi, pan podstarości skoczył w złości, poprawiając zgniecony żupan i kontusz, stanął w rogu komnaty przy oknie i ztrzępywał kurzawę ze swojej czapeczki.

„Moi przyjaciele,“ rzekł król po chwili, „winienem wam wiele wdzięczności, czymże odpłacę? jedynie sercem i złotem,“ i rzucił sporą kiesę złota; ale żaden z Kurpiów nieposunął się do jej pochwylenia, upadła z brzękiem na ziemię. Pan podstarości skoczył od okna, podniósł worek i chciał oddać Borowemu, lecz ten odsunął go ręką, zbliżył się więc do Augusta i rzekł:

„Miłościwy królu! krew się złotem nie płaci, my nie dla złota walczyli, pieniądz za kulę nie stanie, ani też doda odwagi, jeszcze się zda złoto dla panów, Kurpie krwią nie handlują, ani na borg puszcza.“

Król z podziwieniem spojrział na prostego wieśniaka, co tak śmiało mówił, a obruciwszy się do Bąka:

„Może wy przyjmiecie?“

„Nie! najjaśniejszy panie, jednak myślim.“

„A wszakci kuma,“ rzekł z prostotą Borowy, „niechciał worka przyjąć od króla szwedzkiego, kiedy przespał w jego chacie.“

„Jako!“ zawołał August, „Karol XII. był u was?“

„Tak jest, miłościwy królu,“ odpowiedział Stanisław Bąk, „był, ale w mojej chacie, a kto pod dachem jest Kurpia, ten spać bezpieczny może.“

„Widzę że cnota gościnności jest powszechną w narodzie polskim,“ rzekł August, a obracając mowę do Szmigielskiego: „wszakżeśmy niedawno sami doznali jej na sobie.“ Pan podstarości stał z workiem w rękę, nie wiedząc co robić; z niskim ukłonem już kładł na stole, gdy król zawołał: „rozdąć to na służbę dworską, a o nich“ wskazując na Kurpiów, „pomyślemy.“

Pan podstarości krokiem poważnym wyszedł z sali, ażeby dopełnić rozkazu królewskiego, stanął już na ganku, właśnie zabrzmiała muzyka liczna, gdy ujrzał jeźdźca, pędzącego co siła gościncem. Kón wysilony biegiem, przed samą bramą upada, jeździec zręcznie zeskoczył i spojrział z żalem na niego; Tarrant robił mocno bokami, napróżno usiłował dzwignąć się z ziemi, jeździec widać miał pilne zlecenie, bo prędko przebiegł dziedziniec.

„Czy jest król?“ zapytał podstarościego.

„Właśnie najjaśn. pan objaduje,“ i schował trzos trzymany w rękę do kieszeni, nasadził czapkę na głowę, chcąc okazać przybyłemu wielkie znaczenie swoje.

„Ja cierpieć nie mogę zwłoki, donieś królowi,“ rzekł klepiąc go po ramieniu, „że kapitan Brand chce się widzieć z jego król. mością.“

Pan podstarości zdjął czapkę, i znikkim ukłonem otworzył wielkie podwoje jadalnej sali, a kurzem okryty wszedł kapitan saski i oddał królowi depeszę.

Pomiészany August czytał wiadomości przysłane, kilka słów z cicha przemówił do Działyńskiej i Szmigielskiego. Starosta się porwał, dobył korda i

silnym głosem zawołał: „Do broni! bracia, bo już Szwedy nie daleko.“

Borowemu ogniem zabłysły oczy, młody Grudczyński i Telebski dobyli szabel, a za ich przykładem wszyscy; umilkła muzyka, jeden tylko odgłos brzmiał w sali: „do broni! do broni!“

Pan podstarości, właśnie siedząc w jednej komnacie nad butelką węgryzyna, zbierał punkta sentymentów, gdy usłyszał wrzawę i odgłosy liczne: „do broni! do broni!“ kiwnął głową i rzekł sam do siebie: obaczymy konsekwencyą jaka ztąd wypadnie.

Wylał resztki w kieliszek, a dopijając pomrukiwał: ciekawym konsekwencyi, jaki punkt dla siebie obiorą sentymenta szlachty i najjaśniejszego pana.



XVII.

„Dni nasze jak dni motylka,
„Zyciem wschód, śmiercią południe;
„Lepsza w Kwietniu jedna chwilka,
„Niz w jesieni cale Grudnie.“

Adam Mickiewicz.

Noc była ciemna, księżyc w całym przyswiecał blasku, i nieprzeliczone gwiazdy iskrzyły się na niebie, śnieg okrywał pola i obnażone z liści drzewa; na ustroni stało kilka chat wiejskich, wkoło milczenie, czasem tylko przerywane szczekaniem psów, co wietrzyły wilka, lub cudzego we wsi.

Żadnego tam światła nie było widać, gdy zagała w narożnym domku zajaśniało; po skrzypieniu śniegu zmiarkować można, że choć północ, ktoś przybywał, bo i psy poczuły, gdy gromadnie oskoczywszy niewielki dziedzińczyk, ciągle naszcze kiwały.

Ale niebyło w tej chacie radości; stary Przędziecki, dawny rotmistrz chorągwi pancernych, jęczał w bólach, jego córka Anna, młoda, bo zaledwie 15tą wiosnę licząca, niewinna jak anioł, kłęzała przy łóżu ojca.

„Moje dziecko,“ rzekł starzec przerywanym głosem, „i dla mnie kréska przychodzi, czas oddać Bogu duszę a ziemi ciało. Wkrótce połączę się z moją kochaną Marysią, z twoją matką; nie płacz daremnie, łzami nie odwołasz ostatniej godziny, nie przedłużysz życia ojcu.“

Po chwili z trudnością podniósł się na łożu, westchnął z boleścią, kazał podać krzyż srebrny z Chrystusem, przeżegnał się nim, ucałował kilkakrotnie i słabym głosem zanucił:

„Kto się w opiekę odda Panu swemu,“

prześpiewał pieśń całą, i kładąc drżące ręce na głowie niewinnej Anny, rzekł:

„Daję ci moje błogosławieństwo rodzicielskie, „niech cię Bóg strzeże od wszelakiego złego, pamiętaj na matkę, ona wzór ci zostawiła z siebie.“

I otarł łzy z sędziwego lica.

Wtém na podwórzu zaszczekały psy domowe, Anna wybiegła. Niedługo roztworzyły się drzwi komnaty, wszedł Borowy, dzwigając omdlałego i krwią zlanego młodzieńca.

„Pomaga Bóg!“ rzekł wchodząc i kładąc na łożu próżnym przy starym wojowniku omdlałego. (*) „Ledwie go uniósł z pola bitwy,“ rzekł Borowy, „trzeba mu dać ratunek, jest to paniątko delikatne, a nigdzie żadnej nie znalazłem chaty.“

Anna przywołała starą gospodynię, która leczyła w okolicy i za doktorkę okrzyczaną była; zdjęto odzienie, obmyto mu rany, był oięty w głowę pałaszem, a ugodzony kulą w prawą stronę piersi.

Stary Przeddziecki, sam blizki ostatniej godziny, zachęcał córkę i gospodynię do rychłego ratunku; Borowy po wytechnieniu, posilony wódką i jadem, zaczął opowiadać o stoczonej bitwie.

„Biliśmy się długo, nakładli Szwedów stérta mi na polu, (**) i sam nasz król był i wiele szlachty;

(*) „Pomaga Bóg!“ dawniej zastępowało dzisiejsze: „Niechaj będzie Jezus Chrystus pochwalony!“

(**) Stérta, ma kształt domu z dachem, lub jak stóg siana, ułożone snopy zboża.

bitwa trwała cały dzień jeden i drugi, ale nasi nie mogli się na górze utrzymać; jak też ustąpili, padło wszystko, król musiał ustąpić, nasza pani wojewodzina...“

„Zginęła!“ z boleścią zawołał Przeddziecki.

„Nie wiemy co się stało, jedni mówili że zginęła, drudzy że zabrali ją czerwone diabły; naszych Kurpiów wiele naginęło, nie mało z panów szlachty, bo też zażarcie się bronili.“

„Więc Szwedy otrzymali pole bitwy? zwyciężyli niestety garstkę najodważniejszych!“

Borowy kiwnął głową, westchnął i już miał odpowiedzieć, gdy Anna usłyszawszy omdlałego młodzieńca odetchnienia, wykrzyknęła z radością:

„Żyje! żyje! zaczyna oddychać!“

„Dzięki Bogu!“ rzekł stary Przeddziecki, „niech mu nikt nie przeszkadza, może usnie trochę.“

Borowy cicho odszedł do izby czeladnej wraz z gospodynią, Anna uklękła przed obrazem Matki Boskiej i modliła się z całym uczuciem religijnym, stary Przeddziecki oddychał ciężko na łożu boleści.

Zegar ścienny uderzył drugą godzinę, ciemność panowała, rozjaśniona słabym blaskiem lampy, płonącej na kominku. Ranny młodzieniec zasypiał, westchnął głęboko kilka razy, i po każdym, przez sen słabym głosem wymawiał wyrazy:

„Dalej! naprzód! już jej niema! zginęła! nie żyje!“ Ostatnie „nie żyje!“ z boleścią wyrzekł i mocno jęknął.

Borowy, w izbie czeladnej uczęstowany, rozprawiał z zwykłym zapałem o bitwie wczorajszej pani gospodyni i zgromadzonej czeladzi, która zbudzona ze snu, wielki osiadła komin.

„To dużo naszych naginać musiało?“ rzekła pani Marcinowa, (tak bowiem z męża nazywano gospodynią).

„O nie mało!“ odpowiedział Borowy, „tylko co wyszliśmy z lasu, ujrzelśmy czerwonych diabłów na polu, i we trzech wioskach było ich pełno jak kawekek na słońce. Król ze szlachtą i trochę swoich Sásów stanął nad błotami, nasi Kurpie osadzili pagórek, nasza pani była z nami, wtém Szwedzi uderzyli. Zaczęliśmy im trzepać skórę, już się cofali, gdy znaęła się i z tyfu pokazali; ze dwóch stron napadnięci, napróžno wszelaka obrona, rozbici musieliśmy opuścić wzgórek tém bardziej, gdy nasza pani nie wiedzieć gdzie się podziała. Jak też nas pobili, i król musiał ustąpić, i nie wiedzieć gdzie teraz się obraca. W Myszeńcu spalili wiele domów, załedwie kościół uratowano, a i to jakby cudem!“

„Nic dziwnego,“ rzekła pani Marcinowa, „ogień świętego nie ima się domu, a potém jest obraz tam cudowny.“

„W lesie, opowiadał nam sąsiad Łopucha, co tylko podniósł się z łóżka, że Boruta opuścić musiał swój zamek w Łęczycy, gdzie skarbów pilnuje, bo słyszał jak się wyśmiewał z naszych, przelatując z sosny na sosnę. I jać go słyszałem, ale wtedy wybiliśmy Szwedów, a teraz...“ (*) i zwiesił ze smutkiem głowę Borowy.

„No, no, proszę,“ zawołała pani Marcinowa, „to i prawda co o nim gadają?,“ i z bojaźnią przysunęła się do komina.

„Co prawda, to nie grzech,“ odpowiedział Borowy, „swój zawsze swego wspiera, i chociaż tak daleko Boruta siedział, przywędrował czerwonym diabłom na pomoc.“

(*) Diabeł, przez lud zwany Boruta, ma dotąd przesiadywać w ruinach zamku Łęczyckiego, gdzie bogatych pilnuje skarbów. (Opis starożytnej Polski Tomasa Święckiego T. I.) Mnóstwo o nim krąży powiastek pomiędzy Mazurami i Łęczyczanami.

„Niewiele on się zmorduje,“ odezwał się Marcin, leśniczy, mąż pani gospodyni, który dotąd spokojnie siedział, „czyż nie wiecie, że jak stąpi to mila, jak skoczy to dwie.“

„Taki to gadają,“ pomruknął Borowy; wtém krzyk młodej Anny poruszył wszystkich, z pospiechem skoczyła od komina pani gospodyni, za nią leśniczy, Borowy nalał spory kieliszek wódki, wychylał go spokojnie, gdy wbiegł błady Marcin i zawołał: „już skończył! umarł.“



XVIII.

„Na konie wskoczą, sztandar roztoczą,
 „Wesoło trąbka zadzwoni,
 „Rumaki spięli, bramę minęli,
 „A na ich czele on goni.
 „Hej Bracia wiara! mężtwo i wiara!
 „Odwaga Bracia! Bóg z nami!! —
 „Furknęły piki, runęły szyki,
 „I już się sieką z wrogami.

Ludwik hr. Jabłonowski.

Po zwyciężkiej dla Karola XII. walce pod Myszeńcem, gdzie rozbiwszy Kurpiów, parł Augusta z niedobitkami, zostawia Jenerała Steinflicht wraz z pułkownikiem Rebinder do zupełnego ujarzżenia bohaterkich mieszkańców obszernych lasów Mazowsza, a sam dąży w ślady nieszczęśliwego króla polskiego.

August uchodząc, stawił mu opór pod Klissowem (*) we 12000 Sasów i 12000 Polaków. Karol mając mniejszą o połowę armię, przyjmuje wezwanie i rozpoczyna walkę.

Bójka była krwawą a zwycięztwo niepewne; już się zdawało nawet przechylać na stronę Augusta tém więcej, gdy ugodzony kulą armatnią spadł z konia książe na Gótorpie, i po krótkiej męczarni skonał. — Karol XII. stał nad jego zwłokami chwilę, i pierwsze a ostatnie śzy w swoim życiu wojowni-

(*) Klissów, wieś w województwie Krakowskiem, obwodzie Stobnickim, parafij Kijewskiej.

kowi temu poświęcił; ale po ukazaniu tego żalu poskoczył na konia z nowym zapałem, jakby chęcią zemsty wiedziony, i na czele jazdy rzucił się w szeregi nieprzyjacielskie. Napad był tak gwałtowny, że go dotrzymać nie mogły i w rozsypce szukały ocalenia; dostrzegł to wcześniej August, i sam na czele dragonów saskich i jazdy polskiej, pod dowództwem starosty Szmigielskiego, śmiało postawił czoło szczęśliwemu bohaterowi. Obadwa królowie jak prości walczyli żołnierze, w niczem nieustępując mężtwo i narażaniu się w tej walce. Olbrzymią siłą zrzucił z koni August Szwedów, a każdy cios, który z silnej wymierzył dłoni, był śmiertelny; przy jego hoku walczył Szmigielski, który nie wiele ustępował królowi i w sile i w mężtwo; w zapale i uniesieniu rzucali się w tłumy, gdzie wrzała najkrwawsza bójka, a kiedykolwiek błysły ich szable, przerzedzały się szeregi, powstał popłoch i trwoga. Karol XII. długim, prostym rapirem, oskoczony zewsząd, odcinał się mężnie i otwierał drogę do swoich, na których czele stanąwszy, na nowo rozbiwał szeregi saskie.

W zamieszaniu i kurzawie trudno było rozpoznać, która strona górę bierze, bo walka na jedynże trwała równie, niekiedy tylko dojrzeć można pojedynczo uciekających wdali, spadających z koni. August oddzielony, sam pchany w tłumie, zaledwie mógł władać orężem, po chwili przecie utorował sobie przejście, i zwaliwszy z konia drabanta szwedzkiego, który go silnie napięrał, spojrzawszy do koła, ujrzał w pobliżu chorągiew polską z białym orłem i poskoczył ku niej. Na jej czele Telebski stawiał mężny opór zastępom liczniejszych Szwedów, gdzie sam Karol XII. dowodził. Obaj królowie spotkali się z sobą, ale zamiast walki osobistej, jak w dawnych rycerskich wiekach było pospolitę, uprzejmie się pozdrowili, uchy-

lił kapelusza August, odkłonił mu się Karol XII. z surowym spojrzeniem. (*)

Walka jeszcze trwała uporna, ale na prawem skrzydle zwyciężyli Szwedy, rozbici popłoch zanieśli na lewo, wszystko poszło w rozsypkę. Napróżno zachęcał, przywoływał August, napróżno z kilką chorągwiami odnowił walkę Szmigielski, działa szwedzkie przerzedziły je wkrótce, a król polski z rozdarciem serceni musiał uchodząc patrzeć na zwycięzkie sztandary Karola XII.

W nieładzie parci Sasi i Polacy pierzchali w rozmaite strony, niemogąc nawet dział uprowadzić; August w towarzystwie kilku oficerów spieszył przez pola do poblizkiego lasu, gdzie bezpieczniejsze schronienie uważał, ale dostrzegł to nieprzyjaciel. Drabanty odcięli mu drogę, już się miał za zgubionego, bo osobiste męztwo ani siła nic nie pomogły na przeciw liczbie Szwedów, ale w tejże chwili przypada Telembski ze swoją chorągwią. „Góramy nasi, górą!“ zawołał, rozprószył nieprzyjaciół, otworzył drogę do lasu, i już mieli w nim bezpieczniejszą ustron znaleźć. gdy rzęsiły ogień ręcznej broni i działa szwedzkich ich powitał. Telembski rzuca się naprzód, ale kula armatnia powala go z koniem, inni w popłochu i trwo-dze pierzchają.

August z jednym tylko kapitanem Brand dostali się szczęśliwie do lasu, i manowcami uchodzili. Karol XII. zaniebął korzystać z tak wielkiego zwycięstwa, po spoczynku niedługim ruszył drogą do Krakowa i zajął tę stolicę starodawną. — Król Polski, zmordowany, chciał spocząć, bo i koniom trzeba było wytchnąć, nimby dalej na nich podróż przedsiębrać.

(*) August II. po ukończeniu zaciętej potyczki jazdy pod Warszawą 1704. r., pożegnał się zdjęciem kapelusza z przeciwnikiem swoim Karolem XII. (Rozmaitości Lwowskie z 1831. r. Nr. 42.

„Najjaśn. panie!“ rzekł Brand, „w tym gęstym lesie mozem spocząć, nie słyhać nic w około, nieprzyjaciel się zatrzymał.“

August nie odrzekł słowa, zsiadł z konia, zdjął kapelusz i otarł pot gęsty z czoła:

„Nieszczęście ciągle mnie ściga, mój kapitanie, (wyrzekł te słowa monarcha z głębokim westchnieniem), a muszę patrzeć, muszę, jak wszystkich los prześladuje, co wspierają naszą stronę. Zaledwie błysła gwiazda pomyślna, wnet ciemną chmurą się zakryła. Tyle poświęceń, tyle krwi, męztwa, spełzło do razu; napróżno moi wierni poddani chcecie tron nieszczęśliwego wspierać króla, zostawcie go losowi, niech się napastwi dowolnie.“

„Najjaśn. panie! jeszcze tracić zupełnie niemożem nadziei.“

„O! przestań, przestań uwodzić się nadzieją, ileż razy ona już nas zawiodła. czyż teraz zawierzać możemy? Spójrzyj na pole bitwy, ileż tam mężnych moich przyjaciół i poddanych legło, jakąż wreszcie (zawołał z gorzkim uśmiechem August) może być nadzieja? Mężni Kurpie, którzy zgruchotali raz potęgę Karola, teraz zgnębieni, a ich bohaterka zapewne poległa; ostatek wojsk moich, które z wysileniem zebrałem, rozbity, rozprószony; i jakżeż można jeszcze mieć nadzieję, czy cię ona jeszcze uwodzi, kapitanie?“ Ale Brand zamiast odpowiedzi położył palec na ustach, na znak milczenia, gdyż słyhać było chrzęst w gęstwinie. Nieustraszony August porwał za pistolet turecki, hogato w srebro oprawny, który miał za pasem, i zmierzył celnie, gdy znagła opuścił rękę.

„To nasz dzielny kozak,“ zawołał, „a gdzie twój pan?“

Był to Hryc znajomy, który w ogólnej porażce w lesie szukał uchrony.

„Miłościwy królu!“ odpowiedział, zdejmując czapkę, „Bóg wie, gdzie się teraz obraca.“

„A znasz tę okolicę?“ spyta August.

„Jakby nasze stepy, bo tu nie raz polowaliśmy.“

„Dzięki niebu!“ rzekł król do Branda, „mamy dobrego przewodnika, prowadź nas.“

„Gdzież rozkaże król miłościwy?“

„Do Sandomierza, tam jeszcze trzymają się moi.“

Kozak ruszył naprzód, August za nim, a kapitan Brand obok towarzyszył elektorowi saskiemu, który tytuł tylko „króla polskiego“ nosił.



XIX.

„Bez braku zabijali w pień lachowe plemie,
„Niewinną krwią, niestety! obléwali ziemię.“
(Trąba na rozprzszonych.)

Huk dział i ręcznej broni rozlegał się jeszcze, gdy Telebski stał zadumany nad zabitym koniem.

Cóż się dzieje z królem, gdzie się obraca? pomyślał, cóż ja teraz pocznę bez mojego bułanka?

Łzy mu się zakreśliły w oczach, westchnął poszedł wąską dróżką, wiodącą w bór ciemny. Zamysłony i stroskany nierozpoznawał okolicy, którą przebywał, gdy nagle odgłos dzwónka z wieży kościelnej na Anioł Pański obudził go jakby ze snu; ukląkł, nabożnie odmówił modlitwę, i z rozrzwieniem ucałował ziemię.

Czy to tu, czy nie tu? mówił do siebie, takież las, i kościółek, i pole, gdzie nie raz szczywaliśmy zające; ale powinien być krzyż na rozstajnych drogach, przy nim jarzębina, dalej kościółek, a potem dwór, gdzie moja Żosia — westchnął i przysporzył kroku.

To tutaj jestem, w Jazdowie! zawołał uradowany, otóż krzyż i jarzębina, i kościółek, lecz cóż się to dymi? ach, dla Boga! to się pali.

Wybiegł na wzgórze i ujrzał kilka chat płonących, oko jego chciało dojrzyć dwór biały, ale czarne słupy dymu zasłaniały go zupełnie.

Święty Stanisławie! (*) ratuj nieszczęśliwych, zawołał i biegł co siły.

Odgłos dzwonu kościelnego, który wziął za wezwanie do modlitwy, wzmacniał się coraz, ale było to dzwonienie na gwałt; ciemne bałwany dymu i płomieni przy zachodzącym słońcu odbijały się mocniej. Przybiega do wsi, jakież okropny widok! większa połowa już spalona, zwalone ściany, a powały w dużych głowniach żarzyły się jeszcze, samotne sterczały kominy. reszta w płomieniach, dzieci nagie matki z płaczem unosiły z pożaru.

Telembski przebiegł wieś całą, pot zimny go oblał, oczy jego zwrócone były tylko na dwór biały, ujrzał go, „nie pali się!“ wykrzyknął i wbiegł na podwórzec.

Podwórzec był pusty, cichość grobowa, nikt nie wyszedł; pomieszany wchodzi na ganek, drzwi otwarte pierwszej i drugiej komnaty, idzie zwolna aż do sypialni, jakież obraz!

Stary Ordon w podartej bekieszce siedział (**) przy ogniu na kominku roznieconym, i zranioną nogę z krwi ocięrał.

Żona jego z zapłakanymi oczyma, okryta lisią jupką, (***) stała przy kolébce, w komnacie wszystkie sprzęty i rzeczy w największym nieładzie i nieporządku, przez wybite okna wiatr poświstywał.

(*) Dawny wykrzyknik polski.

(**) Bekieszka, rodzaj czamarki, tak zwaną od sławnego Kaspra Bekieszki, współubiegacza do tronu siedmiogrodzkiego Stefana Batorego, później jego przyjaciela i nieodstępного towarzysza trudów wojennych. Za Wilnem dotąd jest jeszcze Bekieszowa góra, a ubiór wspomniany, ciągle w modzie i użyciu, wielu uległ odmianom.

(***) Jupka, rodzaj szuby krótkiej po kolana, z rękawami i kołnierzem wyłożonym, dotąd używana jeszcze między niższą klasą kobiet w Warszawie, Krakowie, po wsiach,

Niezważali przyjścia Telembskiego, stanął on przy wejściu, i patrząc na ten widok, gorzkiemi zalał się łzami.

„Matko Boska Częstochowska! kto tutaj?“ krzyknęła niedługo z przestraczem pani Ordonowa.

„Czy nie poznajecie?“

„To nasz poczciwy Stasio!“ zawołał stary Ordon, „zładże Bóg prowadzi?“

Telembski nie mógł od Jez słowa przemówić, ucałował ręce pani Ordonowej, uściśnął samego i zbliżył się do kolébki, chcąc małą Jadwisię powitać.

Nachylił się, nagle wzrok jego zdziaczał na widok twarzy krwią zlaną, w milczeniu obrócił się do matki, i palcem krew zsiadłą na licach dziecięcia ukazał.

„Spi, spi, moja Jadwisia,“ rzekła pani Ordonowa, i zaniosła się od płaczu.

Stary Ordon otarł łez kilka spadłych na was siwy.

„Pan Bóg daje, Pan Bóg bierze, moja Małgosiu, niech się dzieje święta Jego wola!“ i uchylił głowę słowa te wymawiając.

„Nie żyje!“ zawołał Telembski. „kto ją zamordował?“

„Ci, co krwią zalali nieszczęśliwą Polskę, a miasta i wioski w perzynę obrócili; ci, co ani na wiek, ani stęraną starość nie zważają nigdy, co i mnie poranili,“ rzekł Ordon, wskazując świeżo okaliczającą nogę.

co już okazuje bogactwo i szczęście, jak mówi piosenka gminna:

Zielona jupka.
A ciepła chalupka.
Do tego chłopczyzna.
Szczęśliwa dziewczyna!

„Szwedy przekłete!“ — po chwili porwał Telembski małą Jadwisię z kolébki i zaczął całować.

Matka zerwała się od komina:

„Przestraszysz mój Stasiu nagłe dziewczynę ze snu,“ ale spostrzegłszy się, z gorzkim uśmiechem dodała: „już się nie obudzi, usnęła na zawsze!“ zakryła oczy rękoma i rzewliwie płakała.

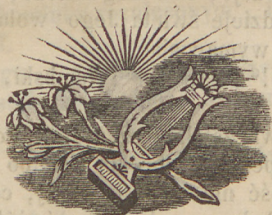
Telembski złożył napowrót dziecko w kolébkę, „gdzież moja Zosia?“

„Niemasz jej.“

„Porwali ją!“ zawołał z wściekłością, oczy mu się zaiskrzyły i żyłastą dłonią ścisnął rękojeść szabli.

„Dzięki Matce Boskiej, że nie była z nami, jak Szwedzi wpadli, przed dwoma dniami odjechała do pani wojewodziny, i tam jest zapewne bezpieczna.“

Telembski odetchnął swobodnie, zrzucił burkę, kord odpasał, i zasmucony usiadł przy starym Ordonie.



XX.

„W lochu ciemnym, wilgotnym,

„Więziem na słomie leży;

„Gwoli chwilom samotnym,

„Pamięcią w przeszłość bieży.“

Nieznamomy (Ballada.)

Po zwyciężkiej dla Karola XII. bitwie pod Klisso-
wem już nie miał żadnego ratunku August oparcia
się szczęśliwemu bohaterowi tego wieku; party cią-
gle, uchodził do Saksonii, a za nim w ślady postę-
pował król szwedzki i stanął obozem pod miastecz-
kiem Altranstadt, pięć tylko mil od Lipska. Telembski
właśnie przywołany spieszył do Drezna, gdy
August zmuszony przyjąć warunki podane od Karo-
la XII., już je podpisał. Między temi był najważniej-
szy: ażeby Jan Rejnold Patkul, który jako poseł Pio-
tra Wgo. znajdował się na dworze saskim, został
wydany. Wahał się August, nie wiedział co robić,
lubo już poprzednio dopuścił się gwałtu na jego
osobie, gdy kazał go uwięzić i zaprowadzić do for-
tecy w Königsztejn. Piotr W. groźnie upominał o zła-
manie prawa narodów, równie groźnie dopominał się
o wydanie Patkula Karol XII. August po uwięzieniu
go ogłasza, że jako poseł szkodliwie dla sprawy
jego działał, obiecuje zaś Karolowi blizkie wydanie.
Piotr W. zagraża, że mścić się będzie na wszyst-
kich Polakach, którzy są w jego ręku, i przez księ-
cia Galiczyna, nadzwyczajnego ambasadora, żąda

zwrotu ważnych papierów, króre, jako przy posle rosyjskim, zawierały tajemnice dyplomatyczne, a po uwięzieniu Patkula wziętymi zostały. — Pani Einsiedel, zmakomita Saksonka urodą i bogactwy, z którą był zaręczony Patkul, na kolanach błaga Augusta, aby uszanował prawa narodów, król się w niepewności waha i namyśla. Nad wieczorem kazał przywołać Telebskiego.

„Weźmiesz z sobą dwudziestu z przybocznej mojej gwardyi, bezzwłocznie pospieszysz do Königszteinu, i tam uwięzionego Patkula wydasz królowi szwedzkiemu.“

„Jako! najjaśn. panie, posła obcego mocarstwa?“

August rozgniewany, powtórzył: „Tak, Patkula, posła obcego mocarstwa; idź, dopełnij co ci rozkazałem i doniesiesz mi zaraz!“

Telebski odszedł spełnić dany rozkaz.

Spodzielam się, rzekł sam do siebie August, że go już nie znajdzie, tak ochronię i własną sławę, i dopełnię warunków traktatu tej żelaznej głowy.

Oficer od służby wszedł i oddał ekspedycyą urzędową.

„Zkąd to?“ zapytał August.

„Z Altransztadt, z obozu króla szwedzkiego.“

Wiec znów Karol, rzekł August, gdy sam został, jeszcze czegoś pragnie, ciekawym. Roztworzył papier, i po przeczytaniu z ironicznym uśmiechem zawołał:

O mafo że nie chce, ażebym został marszałkiem dworu Leszczyńskiego, którego zrobił królem; pragnie listu, żebym ja napisał z powinszowaniem wstąpienia na tron najjaśniejszemu Stanisławowi I., co nie dawno został najjaśniejszym z pana wojewody!..

— * —

Telebski przybył do fortecy, okazał gubernatorowi rozkaz Augusta, i na czele oddziału wszedł do więzienia Patkula.

Więzień szlachetnej postaci zapytał uprzejmie po co przychodzą.

„Z wyraźnego rozkazu króla Augusta odprowadzić was muszę do obozu Karola XII.“, odpowiedział Telebski. Na te słowa wzdrygnął się Patkul.

„Jako! mnie Karolowi kazał wydać August?“ zakrył twarz rękoma, widać było boleść i cierpienia; po chwili westchnął głęboko, „jestem gotów, prowadźcie mnie na śmierć pewną.“

Telebski oddał straż szwedzkiej więzienia, sam pospieszył donieść Augustowi o dopełnionym rozkazie.

„Zastałeś Patkula?“ zapytał król wchodzącego.

„Tak jest, najj. panie, wydany został Szwedom.“

August kilka kroków wtył się cofnął i rzekł z zadziwieniem: „Był jeszcze?“

„Był, najjaśn. panie, i już teraz pewnie nie ucieknie, bo w ciężkie okuty kajdany.“

Król nic więcej nie wyrzekł, dał mu znak ręką, ażeby odszedł. „Nieszczęśliwe przeznaczenie!“ zawołał z boleścią, „cóż powiedzą o Augustcie?“

Istotny plan albowiem króla był ten, iż wydał tajemny rozkaz rządcy zamku Königsztein, ażeby Patkulowi ułatwił ucieczkę, i zaraz wysłał Telebskiego do wydania go Szwedom, w nadziei, że już ratował się z zamku. Tymczasem rządca, wiedząc o bogactwach Patkula, chciał korzystać, żądał nagrody, której mu ten, opierając się na szanowaniu prawa narodów, odmówił, w pewności, że i darmo wolność otrzymać musi. Ale srogie przeznaczenie ścigało nieszczęśliwego Patkula, czas drogi stracono i wydanym zastał w tygrysie ręce. — Karol XII. kazał go do wysokiego słupa przykuć ogromnemi łańcuchami, a później przy szmigownicy prowadzić pod silną strażą do Polski, gdzie miał ponieść śmierć męczeńską.

August rozkazał nie długo przywołać Telebskiego, a oddając mu depesze, wyrzekł: „Jest to osta-

tnia usługą, jakiej żądam od ciebie, tak, ostatnia! przestałem już być królem polskim, jestem tylko elekto-rem saskim. Uwalniam was od usług dalszych, które z taką wiernością i poświęceniem dopełnialiście zawsze.“

„Jako, najjaśn. panie!“ zawołał z rozrzewnie- niem młodzieniec, „czyż i oręża w obronie mojego króla dobyć nie mogę?“

„Naprawdę! dzielny i odważny mój obrońco, wreszcie ktoś zechee wspierać prześladowanego Au- gusta?“

„Dla serc poczciwych,“ odrzekł z zapałem Telembski, „wiara stateczna jest powinnością a przy- sięga obowiązkiem. Najjaśn. panie! jakkolwiek sły- szałem z ust waszej królewskiej mości mój wyrok, sądzę, iż to nie nakazuje, ażebym krew moją i wier- nych tobie nie poświęcał w obronie praw naszego króla. Spieszę, spieszę dopełnić polecen w. k. mości, ale znajdę przecię pole, gdzie w imieniu Augusta do- będę korda.“

Król z rozrzewnieniem spojrział na męznego młodziana, i gdy ten przyklęknął, całując rękę monarchy, August włożył mu na szyję złoty łańcuch z wizerunkiem swoim.

„Niech ci to przypomina zawsze króla, który jakkolwiek nieszczęśliwy, czuje się dumny, że nad takim panował narodem, który wiary przysiężoné monarsze, co szanował jego prawa, nie złamał. Bądź zdrow!“ rzekł August w końcu, „niezapominaj tego, który was kocha.“

Telembski ze łzami opuścił komnatę królewską, spieszył dopełnić poleceń danych sobie, ale nie zastał już w Altransztadzie Karola, który marsz obrócił nazad w granice Polski.



XXI.

CHORAŻY.

Biada Polsce! wśród tych sporów,
Gwałt, łupieżtwo, mord, pożoga!

KARLIŃSKI.

Niech się dzieje wola Boga!
Z naszych włości gruz, popioły,
Zniewazone i kościoły;
— Ale ziemi wróg nie strawi,
Świętej wiary nas nie zbawi! —
Alex. hr. Fredro (Obrona Olsztyna.)

W sypialnej komnacie na łożu spoczywała wojewo- dzina Działyńska, gdzie z boleści ciężkiej w nodze rany nie mogła się podnieść, przy niej z zapłakane- mi oczyma siedziała Zofja Ordonówna, i czytała list od rodziców świeżo odebrany.

„Więc on był tam? dzięki niech będą Bogu, że zdrowo wyszedł z tej nieszczęśliwej walki! gdzież się teraz obraca?“ zapytała z westchnieniem wojewodzina.

„Wyjechał do Drezna,“ odpowiedziała Zosia z rumieńcem.

„Nie prędko go zapewne zobaczymy, moja Zosiu, a ty tęsknisz za nim, twoje myśli przykułaś do Stasia; niedziwie się wcale, moje kochanie, znam co to miłość, jakie jej rozkosze i cierpienia. Ale obetrzyj oczęta z łez rzewliwych, niech przecięż Stasio zobaczy ciebie wesołą, naucz się wcześniej znosić troski chwilo- we mężnie; ileż ja ich sama przeniesić musiałam.

O! jakże rana dolęga, moja Zosiu, podłóż poduszkę, to mi lżej będzie.“

W tej chwili wszedł pan podstarości Dębołęcki, wystrojony jak w owym dniu uczty, kiedy siedział na ręku Borowego.

„Cóż nowego przynosicie?“ zapytała wojewodzina.

„Jaśnie wielmożna pani! nie najlepsze nowiny: król August pobity pod Klissowem zupełnie, Szwedzi zajęli Kraków, Stanisław Leszczyński już ukoronowany, a Szwedy coraz gęściej w około się zgromadzają, i coraz głębiej w nasze zagładają lasy. Polityka (mówił dalej, wracając do zwyczajnego swego sposobu mówienia) na inny punkt się zwróciła, a sentymenta..“

„Jakże się obchodzą Szwedy z naszymi?“ przerywając zapytała wojewodzina.

„Jak Tatar z niewolnikami w jasyrze, jaśnie wielmożna pani; wczorajszej nocy wpadli do wsi Podlaski, co to niedaleko Myszeńca, zapalili na cztery strony, dziewczęta i niewiasty do obozu poprowadzili, a wszystkich wywieszali Kurpiów.“

„Na rany Chrystusowe!“ zawołała Działyńska, „pomszczyć się okropnie takiej zbrodni, na którą by się sam szatan nie odważył. I jakżesz, nikogo nie było, co by się oparł?“

„Bo w nocy napadli śpiących, a potem diabłów czerwonych było dziesięć razy więcej, ze dworu jaśnie wielmożnej pani widać było łunę, jak się paliło, uderzono na gwałt, ale wszystko za późno.“

„Boże wszechmocny! daj mi siły, zagój moje rany prędzej, abym się pomścić mogła za gwałty i mordy. Zawołaj Borowego, niech staną jak najprędzej w pogotowiu hajduki (*) i chorągwie nadworne niech dosiędą koni.“

(*) Był to rodzaj piechoty uzbrojonej w rusznicę i siekiere, imię to dotąd zachowano w Karpatach, gdzie po dworach jeszcze trzymają hajduków przeciw opryszkom czyli zbójcom miejscowym. Nazwisko hajduków nadawano służącym po dworach. Opryszki w Serbii zwą się hajduki.

Pan podstarości z ukłonem odszedł.

„Czuję, czuję moja Zosiu,“ rzekła wolniej, chłonąc z zapału wojewodzina, „większą boleść, że powstać z łoża nie mogę, niż z samej rany. O! czemu niema twego Stasia, albo Grudczyńskiego, wyręczyliby mnie teraz zapewne.“

Pan podstarości wrócił, albowiem spotkał w sieni Borowego; wszedł za nim Kurp przywołany, włosy w nieładzie, pot kroplisty na twarzy i krew świeża, którą cały był zbryzgany, świadczyły, że tylko co z walki powraca.

„Zkąd przybywacie?“ zapytała wojewodzina.

„Od Myszeńca,“ odpowiedział, „gdzie z nasypką oddaliśmy za swoje czerwonym diabłom, ani noga z miasta nie uszła, jak prosiętą wykłóiliśmy, o z daleka kwik dosłyszano.“

„Jakże szczęśliwie ich napadliście?“ rzekła Działyńska.

„Zdrada za zdradę, jaśnie wielmożna pani, czerwone diabły w nocy naszych zesłi, i my w nocy. Jak uderzono na gwałt we dzwony, jeszcze piłem sobie z kumem w karczmie, gdy dano znać, że Podlaski się palą, dziewczki Szwedy uprowadzają i niewiasty młodsze, a otroków (*) wywieszali; ale ich bronić trudno było. Zebrałem naszych, i cicho jakby makiem zasiał wpadliśmy do miasta; już każdy wiedział, gdzie zwierzyna, zaczęliśmy polowanie. Ja blisko kościoła wpadłem do domu, gdzie starsi mieszkali, było ich pięciu przy stole, wesoło pili, zaśpiewałem im weselej; niedługo była pełna miska mózgu z ich łbów miękkich, a więcej krwi niżeli flasz wina co zrabowali. Jeden mi się młody pięknie prosił, kłęczał, płakał; zlitowałem się, nie uderzyłem siekiereą, zdusiłem jak czeczotkę. O! i reszta nie próżnowała, każdy

(*) Wyras dawný polski, znaczy mężczyzni chłopcy.

miał robotę, broń zabraliśmy i koni niemało, wszystko to przybędzie do dwora jaśnie wielmożnej pani.“

„A dowódzca z Myszeńca?“ zapytała Borowego Działyńska.

Kurp się głośno roześmiał, otworzył szerokie usta i ukazał zęby białe jak kły dzika.

„O, o! jaśnie wielmożna pani, modlił się, wypraszał, jak mu śmierć zajrzała w oczy; ale że z jego rozkazu Podlaski spalili i dziewczki porwano, poderznął mu Kwiczol gardło, zachrapał troszkę jak wieprz przed wielkanocą i skończył;“ i znów Borowy roześmiał się głośno.

Zosia odwróciła oczy od niego, zgrozą mając przejęte serce młode i niewinne. Obraz tylu mordów wzajemnych głębokie zrobił wrażenie, i w duchu cieszyła się, że jój Staś, dalekim będąc, nienależał do tak krwawej wyprawy nocnej.

„Spocznijcie sobie po trudach, mój leśniczy, pan podstarości każe wam dać wódki i jadła.“ Kurp skłonił się nisko i odszedł za podstarościm, zasiadł przy wielkim stole w czeladnej izbie, i niezważając na ręce we krwi zbroczone, rwał po kawale kiełbasy i popijał wódką.

„Ale czuję robotę dzisiejszą, kości więcej bolą jak po żniwie,“ rzekł po chwili łykając mięsivo, „o panie! i sam Twardowski zapocifby się krwawym potem,“ i zaczął pot z czoła ocierać, poprawiając długie włosy. „O! nasze kołtuny,“ zawołał ze śmiechem radośnym, „lepiej się dziś uraczyły mózgiem ze łbów zamorskich, aniżeli olejkami węgierskimi.“ W istocie nie mało go miał na sukmanie, więcej na długich włosach nalepionego, zaczął go ręką rozcierać na głowie jakby strojniś pachnidło.

Zosia jeszcze przyjść do siebie nie mogła, dojrziała to wojewodzina.

„Jakże ci się podobał nasz bohater?“

„Okropny! widziałam szatana nie człowieka, ileż on krwi wylał, i śmieje się z tego; o! cieszę się, cieszę, że niebyło tam..“ Niemogła domówić Stasia, i z westchnieniem i upieczonym rakiem spuściła oczy na dół.

„Że twego Stasia niebyło, chciałaś powiedzieć,“ rzekła Działyńska, „o! w straszniejszych on był walkach, i na wszystko musiał patrzeć, a w bitwie nieznajdziesz ludzi, tam się mordują jak dzikie zwierzęta; serce powoli nawyka do tych widoków, i niezadługo trętwieje w nim drażliwość jaką teraz czujesz. Samam to doznała na sobie, jednakże przytęp można być czułą, kochać, i kochać z zapałem, namiętnie...“ Po tych słowach umilkła wojewodzina, żywy rumieniec okrył jój blade lica, westchnęła tylko boleśnie.

Wszedł pan podstarości i doniósł, że hajducy stanęli już pod bronią, cztery nadworne chorągwie siedzą na koniach, a sentymenta ich, wyrzekł z ukłonem, czekając dla siebie wskazania punktu od jaśnie wielmożnej pani.

„Sto hajduków i dwie chorągwie niech zajmą Myszeniec, okopią go w około jak można najrychlej, reszta ma czekać w pogotowiu dalszych rozkazów. Broń zdobytą rozdać pomiędzy Kurpiów, a konie niech sobie wymieniają w chorągwiach nadwornych ci, co mają odpsute, chore, lub zabite własne konie w ostatniej bitwie.“

Pan podstarości z uroczystą miną i poważnym krokiem zasiadłszy w wielkim krześle jadalnej komnaty, i oznajmiwszy rozkazy wojewodziny, nalał spory puhar węgryzyna, i co szczególna przywołał leśnika Borowego, żeby mu opowiedział całą wyprawę i skutek, gdyż chce, jak mówił Kurpiowi, przewidzieć dalszą politykę, jaki punkt sobie obierze.



XXII.

„A ja tęsknę z wieczora,
 „Z jutrznią tęsknę i płaczę,
 „Bom pożegnał nie wczora,
 „I nie jutro zobaczę.“
 Bohdan Zaleski

Karol XII. zpod Altransztadu ruszył spiesźnie do Polski, wymógłszy na nieszczęśliwym Auguście nie tylko zrzeczenie się korony polskiej, wydanie Patkula, którego prowadził na śmierć męczeńską, chcąc nasycić bezprzykładną zemstę, ale nadto napisanie listu do Stanisława Leszczyńskiego z powinszowaniem wstąpienia na tron. Właśnie spieszył Telebski za nim z depeszami, które zawierały i zrzeczenie się pomienione i list wymuszony. Nie doścignął Karola aż w Kazimierzu, (*) gdzie się zatrzymał, aby sąd złożyć i ukarać Patkula.

W niewielkim dworze murowanym zajął mieszkanie Karol XII., w rogu domu była mała sypialnia; tę przeznaczyc kazał na chwilowe więzienie dla ofiary swojej zemsty. a lękając się, ażeby mu Patkul nie uszedł, łańcuch od obróży żelaznej, którą miał na szyi, przeciagniony przez otwór wykowany w murze sam pilnował, i dostrzegał jak zbir prosty, niewypuszczając go z ręki przez noc całą. (**)

(*) Kazimierz, ale inny, nie ten, który nad Wisłą w pobliżu Puław leży, pomieniony jest w Kaliskiem.

(**) Między r. 1824. a 1827. Elżbieta z Flemingów księżna Czartoryska nabyła ze wspomnianego pokoju obrózę kawałek łańcucha, które się w ścianie zostały po nieszczęśliwym Patkulu. i takowe w Puławach, w zbiorze starożytnych pamiątek zachowała.

Nieszczęśliwy Patkul, okuty w ciężkie kajdany, leżał na ziemi pod ścianą, gdzie go przytrzymywała obróza i łańcuch, którego koniec w bocznej komnacie królewskiej zostawał, wiedział już o złożonym wojennym sądzie i oczekiwał wyroku.

„O moja Elizo droga!“ rzekł z boleścią, „może się już więcej niezobaczymy, twój narzeczony obarczony więzami, napróżno wzywa litości u swoich katów, godzina ostatnia nie długo uderzy, która nas rozdzieli na zawsze.“ — Ta myśl wycisnęła mu łzy gorzkie, gdy usłyszał, że ktoś wszedł do jego więzienia, był to kapłan.

Pomimowolny dreszcz go przeniknął.

„Jakiż wyrok? co mi przynosisz, mój ojcze?“ zapytał drżącym głosem.

„Mój Synu! bądź mężnym, ufaj Bogu.“

„Rozumiem,“ odrzekł Patkul z gorzkim uśmiechem, „każesz mi być mężnym, jest to samo jakbyś wyrzekł, gotuj się na śmierć!“ i wlepił wzrok badawczy w sędziwe lica kapłana.

„Tak jest, bądź mężnym, gotuj się na śmierć, bo nie długo ostatnia uderzy dla ciebie godzina.“

Patkul zadrżał, zdawało się że niespodziewany wcale wyrok dla siebie usłyszał, zbladł po chwili i zaczął rzewliwie, jakby dziecię rozkwilone, płakać.

Kapłan z czułością patrzył na nieszczęśliwego, podzielał łzy jego, nieśmiało wszakże wyjawiać okrutny rodzaj śmierci.

„Mój synu! rzekł poważnym i uroczystym głosem, „przyszedłem tu, ażebym przygotował cię na śmierć.“

„Jakiż wyrok sąd wojenny wydał?“ zapytał go Patkul.

„Wyrok śmierci.“

„A król Karol?”

„Potwierdził go w zupełności i rozkazał dziś jeszcze dopełnić.”

„Dzisiaj jeszcze!” zawołał z rozpaczą Patkul, bo sam ten wyraz dziś zabił wszystkie do razu marzone nadzieje, i zdawało się że miał brzmienie tak okropne, jakby jęk śmiertelny konającej matki.

„Nieznajdęż litości i przebaczenia?” krzyknął po chwili.

„Naprawdę, mój Synu, naprawdę! litości, przebaczenia tam szukaj,” rzekł kapłan, wznosząc rękę w górę i oczy do niebios. „Tam jest nasz ojciec, ojciec wspólny, co zbłąkane dzieci przytuła z dobrocią do łona, co nie używa różgi kary, którą grozi zapamiętałym i idącym fałszywą drogą; w nim położy ufność, bo nie długo staniesz przed jego świętym obliczem. Złóż ciężar trosków, cierpień i grzechów na łono moje: „bo zaprawdę powiadam wam (mówi Chrystus), co rozwiążecie na ziemi, będzie rozwiązano w niebie.” Stań zatem oczyszczony więcej przed tronem Stwórcy naszego, opuszczając ten padoś płaczu i nieprawości.”

„Jakże prędko uderzy ostatnia godzina dla mnie?”

„Natychmiast, skoro cię przygotowuję do niej i opuszczę to miejsce.”

„Król Karol odrzucił zatem sumy na wykup mój ofiarowane?”

„Tak jest, mój synu! Nietylko nieprzyjął 100,000 talarów, które sam podawałeś, ale nie chciał słyszeć nawet o większej daleko, bo 300,000 talarów, od twojej narzeczonej.”

„O moja Elizo!” zawołał, umilkł zaraz, płacząc rzewliwie. Dobył jej wizerunku, który na piersiach nosił, wpatrywał się długo, zdjął go potem z siebie, a całując z uczuciem, rzekł cichym i osłabionym głosem: „mój ojcze! oddaj go mojej Elizie, powiedz

jęj, że ją zawsze kocham, a stojąc nawet tak blisko grobu, ostatnie moje westchnienia Bogu, ojczyźnie i jej poświęcę.”

Łzy i rozrzewnienie przyniosły mu niejaką ulgę, ukląkł i zaczął się spowiadać. Gdy nachylony klęcząc odbiera rozgrzeszenie kapłańskie, gdy z nim wspólnie modły wznosił, ucuwał spokojność, nabięrał mężstwa i pociechy, jakie każdemu w ostatniej godzinie, gdy go wszyscy opuszczają, jedna religia udziela. Bo to jest chwila, w której opuszczając ziemię i ziemskie rozkosze, wszystko co miłe i ukochane, nie tracim religijnej nadziei, a ta osładza ostatni skon człowieka.

Kapłan skończył modły, ale zatrzymał się jeszcze na prośby Patkula.

„Mój ojcze! przygotowałeś mnie na śmierć, ale jeszcze pomimo nalegań niechciałeś jej rodzaju wyjawić.”

„Synu!” rzekł kapłan, przytulając go do serca, gotuj się na śmierć, ale śmierć okropną!”

Patkul odskoczył jak piorunem rażony, drżał jak liść od wiatru, wzrok jego zdziczał, usta zsiniały.

„Jaka śmierć? śmierć okropna!” wyjęknął.

„Okropna, sroga! wyrok zapadł, król potwierdził, będziesz żywcem kołem łamany i ćwiertowany.

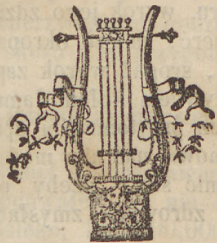
Patkul bez przytomności upadł na ziemię, kapłan krótką odmówił nad nim modlitwę, i wyszedł bez zwłoki uwiadomić straż, ażeby ocucić nieszczęśliwą ofiarę, by przy zdrowych zmysłach wyrok usłyszała i karę odniosła.

Telebski zaledwo stanął w Kazimierzu. wprowadzony został do komnaty Karola XII., któremu do rąk własnych powierzone depesze oddał. Król prze-

biegł je prędko oczyma, wyjął z uśmiechem ironicznym list, który zmuszony August do Stanisława Leszczyńskiego z powinszowaniem wstąpienia mu na tron napisał, i zwracając mowę do jednego z oficerów:

„Zawieziesz niezwłocznie list ten najjaśniejszemu Stanisławowi I., bratu naszemu, elektor saski (rzekł z przyciskiem) składa mu w nim swoje życzenia. Co do was (mówił Telemskiemu), mamy nadzieję, że zechcecie być na widowisku, które przedstawi jeden zdrajca, zginie!“ zawołał z gniewem, jak wszyscy mu podobni; chciał się wykupić, dużo ofiarował, ale Karol dosyć złota w Saksonii znalazł. Po egzekucyi i dopełnionym wyroku na Patkulu stawicie się przed nami.“

Telemski w milczeniu skłonił się i wyszedł z komnaty królewskiej.



XXIII.

„Widziałem... drgaly członki w wygiętym półkolu
 „Kości za kością gonila, w wyprężonym bolu
 „Kazał wyciągać żyły moczarsz tamtej ziemi,
 „By kropla krwi nie wsiąkla, nie uszła przed niemi.“
 Dominik Magnuszewski. (Sen.)

Na kwiecistej łące zbierał się tłum ludu z okolic; był to dzień ciekawy dla niego, bo miano tracić człowieka.

Każdy biegł chciwie ujrzyć męczarnie jednej nieszczęśliwej istoty, na którą padł wyrok srogi. Tłum cały niedopytywał czy winny, lub niezasłużenie ginie patrzył tylko z zajęciem na kata, który stał z ogromnym kołem w ręku do łamania kości pomiędzy palami, na których ciepłe jeszcze członki przewieszane być miały, i pytał kiedy on wyjdzie, jak prędko się zacznie?

Oddział piechoty otoczył miejsce egzekucyi, niedługo ujrzano postępującego naprzód oficera szwedzkiego, za nim straż, kapłana i nieszczęśliwego Patkula, okutego w ciężkie kajdany.

Bładość wryta na jego twarzy wzrok obłąkany, poruszał do liłości. On to był tą nieszczęśliwą wskazaną ofiarą, dla której cierpień tyle okropnych przygotowań było. Gdy wyprowadzono go z więzienia, szedł z wolna osłabiony, podniósł oczy i spojrział w około. Tłum ludu ciekawego widowiska i straż zgromadzona niezadziwiła go wcale; ale gdy widział

kata z kołem w rękę i przygotowane pale zalał się gorzkimi łzami i rzucił się na łono swego spowiednika, który go okrył habitem.

„Mój synu! rzekł kapłan, miej mężstwo, ufaj Bogu, tam każdą łzę twoją na szali sprawiedliwości zważą; jeżeli tu na tym padole płaczu doznałeś nie-szczęścia, Bóg to nadgrodzi w światłości wiekuistej.

Oficer wystąpił naprzód do czytania wyroku, Oprawcy poskoczyli do Patkula, zdjęli mu okowy; ujrzał się wtędy wolnym, gdy męczarnia czekała go wkrótce. Była to chwila ulżenia, ażeby słowa srogiego wyroku mógł lepiej pojąć, dokładnie zrozumieć.

Officer rozwinął papier i zaczął czytać:

„Z rozkazu najpotężniejszego i najłaskawszego „króla szwedzkiego Karola XII.

„Najłaskawszego!“ zawołał Patkul „spodziewałem się po łasce Karola, że inny rodzaj śmierci mi naznaczy, że nie zechce się pastwić., —

„Jan Rejnold Patkul (czytał dalej) ma być „kołem łamany i ćwiertowany jako zdrajca ojczyzny....

„Niestety!“ wykrzyknął! „jam jej zawsze wiernie, służył.“

„Niech to będzie nauką i przestroga,“ ażeby każdy „wiernie swemu królowi i ojczyźnie służył.“

Oficer skończył czytanie wyroku... przykrepowali oprawcy do drewnianego krzyża Patkula, a kat z wyniesionem kołem wypatrywał miejsce gdzie ma łamać kości nieszczęśliwej ofierze, ażeby odebrała dziesięć przy życiu uderzeń, nim jedenaste zada śmiertelne.

Trzy razy z zamachem łamał kość prawej ręki, trzy razy lewej, za każdym uderzeniem chrzest drugotanej kości słycać było, cztery uderzyń wymierzył w nogi, a Patkul żył jeszcze i na każde jękiem odpowiedział przeraźliwym.

Przyszła chwila przecież litości, chwila ludzkości, cios w piersi zadany, zakończył okropną męczarnię, — jęk był cichy, bo strumień krwi gębą i nosem wypłyniony, przytłumił go w wydaniu. Oczy wysadzone z bólu zaszyły bielmem, na czole tylko i twarzy każdą żyłę porachować można, gdyż była krwią nabiegła i wyprężona w katowni.

— Nie żyje! zawołali niektórzy — nie żyje! powtórzył Telebski, który każde uderzenie kołem w sercu i mózgu uczuwał.

Kat po zamordowaniu według wyroku Patkula, dał znak, oprawcy przynieśli pień szeroki, na nim ciepłe jeszcze ciało i drgające członki wielkim toporem rozciął, i ostrze rozstawionych palów w około nadziewał.

Powoli tłum zaczął się rozrządzać, strażę odstąpiły, pozostali tylko pale, a na nich rozerwane ciało częściami Patkula.

Długo dla przykładu wisiały jeszcze, — zakosztował je nieraz kruk przelotny, albo orzeł chciwy świeżego ściérwa, i gdy ostre szpony w nie zapuścił, gdy ostrym dziobem darł w kawałce, zdawało się jakby się odzywał: „I ludzie sami żywią mnie ofiarami swego okrucieństwa!“

Łąka ta przez lud zwana dotąd łąką Patkula i przysłowie: Nieszczęśliwy jak Patkul! przypominają nieszczęścia tej ofiary i męczarnie, sprawiedliwie przez Voltera nazwaną męczennikiem słabości. (*) Niemi to splamił bohaterską swoją sławę Karol XII., gdy z zimną krwią i obojętnością wydał okropny wyrok i patrzył na jego dopełnienie.

Oficer wraz z Telebskim stanął przed królem szwedzkim.

(*) La Martyre de la liberté. Histoire de Charles XII. — vid. przysłowia narodowe Tom II., gdzie całe życie Patkula opisałem, 3

„Najjaśniejszy Panie! wyrok spefniony, Patkula nie żyje.“

„Czy widziałeś?“ zapytał Telemskiego.

„Tak jest, widziałem najjaśn. panie, widziałem i czułem!“ dodał z przyciskiem.

„Delikatne masz czucie,“ rzekł Karol „i ja widziałem, ale nie czułem -- patrzałem jak skończył.“

„Taką karę,“ zawołał z gniewem, „każdemu zdrajcy Karol XII. wynierzy!“

Telemski odwrócił się zgrozą przejęty.

„Możesz udać się do króla Augusta, powiedz mu, że najważniejszy warunek traktatu w oczach twoich dopefniony; może być spokojny,“ rzekł dalej z uśmiechem, „niech się pożegna z koroną polską, już nią innego ozdobiliśmy, może siedzieć w Dreźnie. Karol na północy rozpocznie, teraz Piotr buduje dla mnie Petersburg, powiedz swemu królowi o tém.“

Telemski skłonił się obojętnie i wyszedł.

O! niech przeklęte będzie imię i sława twoja (pomysłał), kiedy dla niej tyle krwi i morderstwa potrzeba!

Siadł na konia i ruszył szybko z miejsca, ale droga przechodziła łąką Patkula — ujrzał tam znowu dymiące trzewa i członki pozawieszane na palach, przy nich stał na straży żołnierz, by nie-wykradziono tego piętna sromotnej zemsty Karola, by dłużej świadczyły jego okrucieństwa.

Dodał ostrogi, żeby prędsiej opuścić te miejsca obudzające tyle zgrozy i boleści w sercu człowieka, wyminął je, spoczął dopiero i dał wytchnąć koniowi w dalekim lesie; ale rozogniona wyobraźnia przedstawiała mu, że na każdym wierzchołku drzewa widzi członki

nieszczęśliwego Patkula, że krew jego zarumieniła kałuże, które przebywał. Chciał z mordowany zasnąć, budziło go widmo — jak na krzyżu rozpięty, jak pod ciosem dębowego koła chrzesczcy kość roz-trzaskana... Chciał otrzeć pot z czoła, zdawało mu się że to krew strumieniami spływa. Jakby kamień grobowy boleść ścisnęła mu serce, oddechu nie miał wolnego. Wsiadł na konia i leciał co mógł wy-skoczyć, ale wszędzie w około ścigał go krwawy cień Patkula.



XXIV.

„Jedzą, piją, lulki palą,
 „Tańce, hulanka, swawola,
 „Mało karczmy nierozwałą,
 „Cha, cha, chi, chi, hejże! hola!“

Adam Mickiewicz.

„Do sto szatanów! dawaj żydzie więcej wódki! cóż to dla hajduka półkwaterek stawiasz? Dawaj tu kwartę!“ wołał podпиты Jan Snigurek, hajduk z chorągwi wojewodziny Działyńskiej.

„Szczob' na tebe diw przyszow, horyłki!“ (*) krzyczał Kiryłło, kozak. (**)

Żyd postawił gąsior szumówki na stole, Snigórek nalawszy szklanke sporą, wzniosł w górę i rzekł do towarzyszków swoich:

„Zdrowie nasze! a śmierć diabłom czerwonym!“

Wtém roztworzyły się nagle drzwi izby, ukazał się naprzód pijany kurp Kwiczół. Chciał próg przestąpić, ale niemogąc, nakiwawszy się dosyć, przeskoczył i raptem dygnał, bo nogi niesłuchały chęci jego. Skoro tylko w izbie stanął, widząc tyle zgromadzonych hajduków i szlachty zbrojnej, zdjął z uszanowaniem kapelusz, skłonił się nisko, potoczył

(*) Przekleństwo zwyczajne u Rusi, jeszcze z przedchrześcijańskich wieków. Diw, Diwo, zład polski dziw, dziwowisko, było Bóstwo karzące i przesładujące. J. B. Rakowiecki, Prawda ruska T. I.

(**) Kozak, trzeba rozumieć kozaków, których panowie polscy przy dworach swoich trzymali. Uczono ich tańczyć zgrabnie kozaka i grać na bandurce, czém bawili zgromadzonych u pana licznych gości.

na ławę i usiadł z mocą. Wszedł za nim Borowy, którego kark czerwony i zarumienione szerokie policzki świadczyły, że nie mało jadł i popijał.

„To nasz Borowy! to nasz gajowy!“ krzyknęli hajdacy, „sam to kumie? zdrowie wasze!“ I wnet gąsior wypróżnili.“

Borowy nie wiele się wymawiał, i lubo już podchmielony, przetrzymał wszystkich i śmiał się z Kwiczółą, co na ławie z początku przewracał oczyma, a niedługo pod ławą smacznie zasypiał.

Coraz trunek zagrzewał głowy, gwar się powiększał i zamieniał często w donośne krzyki; każdy chciał rozprawić, a chcąc być słyszany, zagłuszał innych. Snigurek dotrzymywał pola, i chociaż ochrypl od wytężenia głosu, opowiadał bójkę i wyrznięcie w Myszeńcu Szwedów.

Borowy z kapeluszem na bakier, poświstywał wesoło, gdy Kiryłło podchmielony zaczął przy bandurce śpiewać dumkę ruską: (*)

Hej kozacze! w imie Boha,
 Wże hołosyt w cerkwi dzwin,
 Komu miły dim, neboha,
 Za proklatym na zdohin;
 Hej kozacze! na wraha,
 Hurra ha! hurra ha!

* * *

Tutki hora a tam staw,
 Ruszaj, ruszaj kuda хочz,
 Czerez wodu można wpław,
 Czerez wodu pereskocz;
 Dalij chłopczi na wraha,
 Hurra ha! hurra ha!

* * *

(*) Jest to: Ruchawka kozacka, przez Padurę napisana.

Zbieraj koniu kopytom,
 Chotiaj pina poteczej,
 Ja zaklaw sia Korolom,
 Szczo Tataryn ny wteczej;
 Szczo zjuszyt sia, rot wraha,
 Hurra ha! hurra ha!

* * *

Nebijte sia Lacki dity,
 Pijte wyno u steła,
 Teper možna wam sydity,
 Jak pid kryłom Anheła;
 Bo strif chmara na wraha,
 Hurra ha! hurra ha!

* * *

Nyżom spisy, nyżom spisy,
 Bo wże tanec (*) sia zaczaw,
 Propadete czorne bisy,
 Kozak nowy kozuch wziaw,
 Kozak łetyt na wraha,
 Hurra ha! hurra ha!

* * *

Zatrepotaw orił w strachu,
 I dywyt sia z hory łaso;
 Czekaj troche myłyj ptachu,
 Budesz isty skwerne miaso,
 Bo my dijedem wstrem wraha,
 Hurra ha! hurra ha!

(*) Tańcem nazywali starzy Polacy bitwy z Tatarami; znajoma jest przestroga ojca Jana Sobieskiego, co radził: żeby się za granicą wszystkiego uczył, wyjąwszy tańca, bo tego nauczy się z Tatarami.

Hodi tobi w Polscezcu hnaty?

Tutki wieczne propadesz,

Hodi tobi z namy hraty?

Ne ujedesz, ne ujedesz!

Wiaży, koły, riż wraha!

Hurra ha! hurra ha!

Borowy pomagał mu często, wkrótce sam się podniósł, wychylił szklankę wódki i grzmiącym głosem zaśpiewał ulubioną po gospodach piosnkę:

Ozeniłem się na Mazowsu,

Wziołem w posagu tsy cwierci owsu,

Tsy cwierci owsu, dwie hecki siecki,

Tseba sie ciesyc z taktiej dziewecki,

Ani poduski, ani piezyny,

Choćma kochanie na grochowiny.

Na donośny śpiew Borowego, który poruszył nie jedną szybę w oknach, zbudził się i Kwiczol, chrapiący dotąd pod ławą, a usłyszawszy piosnkę ulubioną, zaczął kiwaniem głowy i mruzeniem dopomagać. Borowy zakończył śpiew podniesieniem w górę szklanki wódki, którą jak ślimaka do razu połknął.

Tak wykrzyknął podchmielony: „bij na kwaśne jabłko, gdy się Szwed nawinie, śmierć diabłom czerwonym!”

„Niech giną!” zawołał Snigurek.

„Wiaży, koły, riż wraha!” krzyknęli kozacy.

„Niech giną! powtórzyli wszyscy.”

„Niech giną!” rzekł na ostatku Kwiczol pod ławą.

Jonek Łopucha zaczął się śmiać do rozpuku, jak zwykle u pijanych się zdarza, a potoczywszy się do Borowego:

„Uściskajmy się kmotrze!“ zawołał, „no daj pyska,“ i oburącz ścisnął go za szyję. „Ja cię tak kocham, tak kocham! aż kocham. Borowy na przyjacielski uścisk chciał się wzajemnością wypłacić, wstał z ławy, wyciągnął ręce, ale Łopucha, co miał się rzucić w objęcia, stracił równowagę, pominął ręce do uścisku gotowe, i czołem uderzył o róg stołu.

„Trzymaj się! niedaj się!“ krzyknął Kwiczół zpod ławy.

Borowy podniósł Łopuchę z rozciętą skronią.

„Wody! wody!“ zawołał Snigurek.

„Lepiej żydzie dawaj wódki, to się rana przędziej zgoi,“ rzekł Borowy.

Arendarz podał Łopuchowi kieliszek wódki, ale ten zamiast namaszczenia czoła krwią zalanego, wypił.

Cha! cha! cha! roześmiał się Snigurek a z nim inni hajducy i kozacy.

Łopucha, który mocnym uderzeniem otrzeźwiał trochę, uraził się ich śmiechem i zawołał rozgniewany:

„I czegoż się śmiejesz? czyś diabła weselnego połknął i szklankę wody się napił?“

„Cicho! skórka na bóty!“ odpowiedział Snigurek z uniesieniem, „bo ci ztatarujem skórę, rozumiesz?“

„A ty pogański synu!“ wrzasnął zapieniony od gniewu Łopucha i rzucił na niego kieliszkiem.

„Co? to ty rozboje zaczynasz na publicznej drodze, to okazyi szukasz?“ rzekł podsuwając się hajduk.

„Ej! zdaleka!“ krzyknął Kurp w groźnej stojącej postaci, „bo cię palnę!“

„To ty jeszcze chcesz mnie palnąć, ty święto-krzyśki rozbójniku! doznasz co pięść hajduka, tylko mi jeszcze ujadaj.“

Towarzysze Snigurki, Kiryłło i kozacy, ujmując się za nim, podnieśli się z za stołu. Kwiczół wy dobył się szczęśliwie zpod ławy i stanął na środku izby, chcąc pomagać kumowi w czasie spodziewanej bóki. Borowy jeden siedział nieporuszony, ale na twarzy widocznie gniew się malował.

„Co? to ja czy pies, żebym ujadął?“ dotknięty tym wyrazem zawołał Łopucha.

„A co? czy on pies, czy co?“ powtórzył Kwiczół, uderzając nogą z nachyleniem głowy, jak baran, gdy do walki z drugimi się gotuje.

„Pies!“ krzyknął Snigurek.

„Tak pies! pies!“ zawołali za nim hajducy i kozacy.

„Lach i sobaka, to wira jednaka!“ wykrzyknął Kiryłło.

Na taką wzgardę porwał Łopucha gąsior ze stołu i rzucił na nich, który o pierwsze czoło Snigurki rozbił się w kawałki, a hajduk upadł krwią zlany.

Towarzysze jego jedni go podnosili i ocucali, gdy drudzy na czele Kiryłły już się gotowali do bóki. Wtém podniósł się z ławy Borowy i krzyknął drżąc od gniewu:

„Na rany Chrystusowe! jeżeli mi się który ruszy, to mu kości połamię i wytrzęsę z kiszek choćby od tygodnia kaszę.“

Hajducy spojrzeli po sobie, ale żaden nie śmiał się posunąć naprzód. Znali olbrzymią Borowego siłę, i że umie obietnicy dotrzymać.

„Czort tebe zabery!“ pomruknął Kiryłło i cofnął się za drugich.

„Weźcie go!“ rzekł Kurp do nich rozkazującym tonem: „zanieście doma, niech go wódką wysmarują, to i zdrów będzie.“

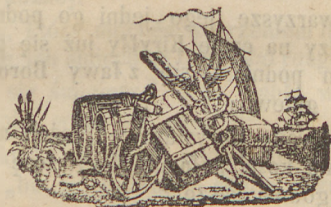
Kilku wyniosło zranionego Snigurkę, reszta w milczeniu zasiadła ławy, i na zgodę kazali nowy gąsior wódki postawić. Tą razą Łopucha dwa tylko wypiuwszy kieliszki, trzecim natrzepał ranę, do czego mu pomógł Kwiczół, co pijąc w jego ręce, zachłysnął się mocno, i trysnął mu z ust całym półkwarterkiem wódki na głowę.

„Ktoś się spieszy,“ (*) rzekł po chwili.

Wtém kilka bliskich usłyszano wystrzałów.

„To diabły czerwone!“ zawołał Borowy i wybiegł z karczmy.

(*) Zachłysnienie albowiem biorą za znak, że się ktoś spieszy i wkrótce przybędzie.



XXV.

„Miłości! nad naszymi pokaż litość jęki,

„A że będąc człowiekiem, więzy twoje noszę:

„Spraw twe bole tak krótkie, jak są twe roskosze,

„Lub roskosze tak długie jak są twoje męki.“

St. Trembecki.

Czas wrócić do domku starego Przeddzieckiego, i zobaczyć powód nagłego zamieszania wszystkich.

Ciężko ranny, złożony na łożu przez Borowego, był to młody Władysław Grudczyński, syn sławnego w dziejach obecnych Jana Grudczyńskiego, przeciwnika Augusta a stronnika Stanisława Leszczyńskiego.

Władysław chował się razem z wojewodziną Działyńską, od dzieciństwa ją ukochał, a to przywiązanie wzmocniało się coraz doznaniem przeszkody. Zdawało się, że ją zapomniał, że serca nie jątrzy gwałtowna namiętność, gdy oddała rękę wojewodzie Działyńskiemu, a Władysław opuścił ojczyznę, i lat pięć bawił za granicą. Ale stary Jędrzej, który go wyplastował na rękę i o wszystkim wiedział, często powtarzał, że „przedzaj się diabeł w święconej wodzie skąpie, niż pan Władysław odkocha.“

Widział on nie raz jego łzy, rozpacz i żale, a co ujrzał w chwili, gdy ślub z wojewodą brała, utwierdziło go w mniemaniu własnym mocniej.

Tego dnia pan Władysław przez całą noc nie spał, jeżeli zadrzynał nieco, zrywał się zaraz i przewliwie dziecięcemi łzami płakał. Gdy uderzyła godzina ślubu, pobiegł do kościoła i stanął w ciemnej uboczny między filarami. Nadszedł przedmiot jego miłości, młoda Jadwiga, strojna bogactwy i urodą, a przy niej podsiwiały wojewoda. Władysław, którego uważał stary Jędrzej, na ten widok zadrżał, chciał się rzucić i rozdzielić ich, ale osłabiony wysileniem, upadł bez przytomności.

Po trzech latach pożycia, stary wojewoda umarł, Jadwiga była wolną. Na nowo namiętna miłość obudziła się w sercu Władysława, ale i teraz równych doznawać musiał przeszkód. Wojewodzina kochała Telembskiego, jakkolwiek niewzajemnie, gdy ten szczęście swoje w Zofij Ordonównie upatrywał.

Właśnie stronnictwa szarpały Polskę, Działyńska stanęła w obronie Augusta, a jej imię zabrzmiało w całej Polsce sławą i podziwem. Ojciec jego wspierał Stanisława Leszczyńskiego, Władysław bez wahania za Augustem się oświadczył i dzielnie oręźem prawa nieszczęśliwego króla popierał, aż do chwili ostatniej bitwy, w której ciężko ranny uniesionym z pobojowiska przez Borowego został.

Bezprzytomny leżał na łożu długi, powoli odzyskując zmysły, otworzył oczy, i z podziwieniem spozierał wokoło. Była to nie wielka komnata, w rogu jednej ściany stało łoże starego Przeddzieckiego, na którym spoczywał, przy nim stół duży dywanem zasłany, dalej kanapa, przy oknach kółko do przędzenia, a nad tём zegar ścienny. Na ścianach wisiało kilka obrazów, między temi największy Jana Sobieskiego na koniu, którego poprzedza hóstwo sła-

wy, ogłaszając wielkie zwycięstwa króla bohatera. (*) Władysław obojętnie na te wszystkie przedmioty spozierał, ale wzrok jego na twarzy sędziwej rotmistrza i niewinnej Anny długo się zatrzymał.

Młoda dziewczyna klęcząc z wlepionemi w obraz najświętszej Panny Maryi oczyma, zanosiła gorące modły do niebios. Na jej dorodnej twarzy widać było to zajęcie, szczerotę i niewinność anielską, które cechują wiek dziecinny jeszcze.

Władysław wpatrywał się w jej oblicze, uczuwał coraz mocniejsze bicie serca, odwrócił głowę, spojrział na starca osłabionego wiekiem i styranego trudami, który w tej chwili ciężko oddychał, tłumiąc bolesne jęki.

Gdzież jestem? pomyślał, tu słyszę ciężkie westchnienia boleści i starości, a tu lekki oddech młodej dziewicy, której dusza rozmawia z niebem. Tu wiosna jeszcze jakby róża, co zaledwie z pączka rozkwita, a tam starość osypana szronem wieku, jakby zima lub dąb spróchniały, co grozi upadkiem własnym, a ja w sile wieku, w środku tej wiosny i zimy, stoję nad grobem i kończę wszystkie marzone nadzieje.

Jakże się tutaj dostałem? A... przypominam sobie, biliśmy się, w rozsypce raniony. — Któż mnie uratował? Może ona!

Westchnął, ale wkrótce gorzko się uśmiechnął.

Ona! czyż kiedy pamiętała o mnie? A widziała, widziała moją miłość, przywiązanie niezachwiane, cierpienia i rozpacz! Lecz cóżby ją los mój obchodził, gdy innemu serce oddała. Kocha go! kocha, jak ja ją kocham zapamiętała! Poświęcałem

(*) Jeszcze podobne obrazy po wielu domach szlacheckich w Polsce widzieć można. Są to zwykle sztychy włoskie, wyobrażające Jana Sobieskiego w rzymskim ubiorze, przed nim sława z trąbą, ogłaszająca zwycięstwa nad Turkami, któremi rozgłosił, jakkolwiek z krzywdą własnego narodu, imię swoje w Europie.

się jej zupełnie, w tyłu bitwach zasłoniłem nie raz od morderczego ciosu, a jakaż za to wdzięczność? zimna, obojętna, grzeczny ukłon i wszystko. — W tej chwili z zbytelnego wzruszenia uczułem gwałtowne bicie serca i gorąco, oczy mu krwią nabiegły.

Ciesz się, ciesz Jadwigo! i w wściekłości zerwał obwinienie rany, a krew trysnęła strumieniem.

Ja... kończę, nie będę ci natrętym po mojej śmierci, poświęć choć łzę pamięci! — Zalał się rzeźnami łzami i nagle boleśnie jęknął.

Anna poskoczyła do łoża rannego wojownika, Władysław konał. **J a d w i g o!** był to ostatni wyraz, z którym życie ubiegło. Młoda dziewczica krzyknęła z przestachem; na ten odgłos wpada gospodyni z mężem, cucą Grudeczyńskiego, ale na próżno.

„Umarł więc!“ zawołał smutnie z zwieszoną na piersiach głową stary Przeddziecki, „umarł! niech spoczywa w Bogu! wyprzedził starego;“ i zaczął cicho odmawiać modlitwy.

Skoro Marcin dał znać Borowemu o jego śmierci, wszedł Kurp, przystąpił do łoża i położył ucho na usta trupa.

O! umarł biedak, niech mu przyświeca światłość wiekiasta!“ przyklął i trzy Zdrowaś Marya odmówił.

Anna rzewliwie płakała, łzy jej poruszyły Borowego.

„Szkoda go!“ rzekł zasmucony, „bił się dobrze i dał się dobrze nie raz we znaki czerwonym diabłom, nigdy nie uciekał, zawsze na przedzie, a teraz“...

Otarł łzy sukmaną i wyszedł spiesźnie z komnaty, bo nie mógł dłużej patrzeć na martwe zwłoki męznego wojownika. Żal, boleść i zemsta szarpały jego serce.

Na podwórzu brytan zerwał się z łańcucha i rzucił się na niego. Borowy porwał go wściekle, zdusił i wyrzucił za parkan; krew, którą ujrzał na rękę, ulżyła mu niejako, bo odetchnął wolniej.

XXVI.

„Poostrzył serca wojennym zapasom,

„Nadstawił ducha, i z pulki chobremi

„Szedł na Polowcach mścić krzywd ruskiej ziemi.“

August Bielowski. (Wyprawa Igora.)

Coraz smutniejszy Polska w obecnym czasie przedstawiała widok, zalana była wojskami Szwedów, Rosji, która ciągle popierała stronę Augusta II. zbrojnemi chorągwiami szlachty własnej, tak zwanych Augustowskich i Stanisławowskich. Do tego utworzyła się nowa partya pod imieniem Obojętnych (Indifferens), na której czele był Józef Potocki, wojewoda kijowski, mąż od dzieciństwa prawie aż do sędziwego wieku rycerskimi dziełami sławny; wiele szlachty, nawet liczne zastępy Tatarów powiększyły to stronnictwo. Z początku na żadną stronę dwóch królów współubiegających się o koronę polską nieoświadczyła się, wszakże wkrótce, widząc przemagającą partyą Stanisława Leszczyńskiego, z nią się połączyła, a Potocki za szczere i wierne usługi, nie długo potem otrzymał buławę wielką. Przejście to nie tylko wzmocniło jeszcze dotąd niepewną stronę Leszczyńskiego, ale ostudziło nawet zapal najgorliwszych przyjaciół Augusta. Z pomiędzy wielu dotrzymywał statecznie wiary Szmigielski, a rozgniewany na obojętnych, wszędzie ich ściagał i gromił.

Właśnie na czele sześciu chorągwi jechał starosta, mijając Podgórze, z westchnieniem spoglądał to na dawny królów polskich zamek, to na mogiłę Krakusa i szczyty wież kościelnych; pogrążony w dumaniu, ujrzał Mogielany (*), a gdy kilka dosłyszał strzałów, kazał się w jednej chwili zformować jeździe swojej. Przednia straż Szmigielskiego silnie parta już się cofała, gdy sam z dwoma chorągwiami nadbiegł jej w pomoc; nieprzyjaciel zatrzymał się, ale starosta nie dając mu czasu do ucieczki, uderza i po krótkiej walce rozprasza. Właśnie rozkazał ścigać pierzchających, gdy ujrzał na równinie uszykowane liczne zastępy wojewody kijowskiego. Prawe i lewe skrzydło składały hufce Tatarów, środek jechał polska; stali nieporuszeni, czekając spokojnie ataku. Szmigielski, dobrze oznajomiony w tańcu z Tatarami, (**) mało cenił ich siłę, uderzył we środek, i do razu złamał szyk cały. Wszystko w rozsypce szukało ocalenia, sam wojewoda patrząc na rozgromione chorągwie swoje, chciał się schronić w las pobliski, gdy oskoczony zewsząd wzięty w niewolę został; obok niego, mając rannego konia, upadł chorąży. Właśnie nadbiegł w to miejsce Szmigielski, i gdy jeden ze szlachty wyrwawszy sztandar, rozwinął go, starosta spojrzawszy na niego i szydersko się uśmiechnął. Były na nim haftowane saskie połamane miecze, a nad niemi orzeł Polski z zadartą w górę głową, z napisem z psalmu wyjętym: „*Confregisti*

(*) Wioska o dwie mile od Krakowa, z niej od strony kościoła pyszny widok na miasto, mogiły Krakusa, Kosciuszki i Wandy. O niej to było przysłowie, że:

„Kto ma Tynieć, Mogielany,
„Ten się liczy między pany.“

(**) Tak nazywali starzy Polacy walki z Tatarami.

„*Domine gladios inimicorum et exaltasti caput meum.*“ (Połamałeś Panie miecze nieprzyjaciół, a wyniosłeś głowę moją.)

„Mości wojewodo!“ rzekł do Potockiego, „nie zawsze to prawda,“ i wskazał na napis sztandaru, „Jeszcze mamy całe oręże, ażeby podgalać czupryny zdrajcom i niestałym.“

Wojewoda spojrzawszy surowo mu w oczy i odrzekł z szlachetną dumą:

„Panie starosto! los bitwy oddał mnie w ręce twoje, jestem braniec, ale to ci nie nadaje prawa, byś się zuchwale urągał; zdrajcą mnie nazywasz? zapytaj dworu najjaśniejszego króla Stanisława, jak cię tam nazywają.“

Szmigielski przygryzł wargi z gniewu.

„Mało dbam na języki pochlebców dworskich, i tyle o nie stoję, jak mój kord o łeb Tatara! Niechże z nich który pokaże się tyle odważnym, żeby mi w oczy to wyrzekł. W mieście, za wałem, plotki piżmowanych pończoszkowych dworaków mogą jakąś mieć cenę, ale na polu bitwy wartoż je wspominać? Widać mości wojewodo, że się troszczysz o nie bardzo, że blisko dworu siadasz, a może i dworską polówkę zjadasz.“

Potocki nie odrzekł słowa, ale gdy widział, że Szmigielski zwraca konia, zawołał głośno:

„Panie starosto! jako braniec mogę mieć tylko do ciebie prozbę. Wiem że żona moja i dzieci pochwyceni zostali w tym lesie i są w twojej mocy, proszę was za niemi, jestem mężem i ojcem!“ i westchnął boleśnie.

Starosta zwrócił spiesźnie konia, zbliżył się do wojewody i rzekł:

„Żona twoja i dzieci są wolne, będziesz się z niemi widział. Przecież my nie Tatarzy, umiemy

białogłowy i niewiniątka szanować; wiem, że gdyby moja małżonka lub dzieci były w twojej mocy, równie byś postąpił sobie, mości wojewodo.“

Potocki rozrzewniony, podał mu rękę, Szmi-gielski uściskał podaną prawicę.

„W bitwie i w domu bądźmy zawsze rodakami, może przyjdzie szczęśliwa godzina, że szable polskie, nie rozdzielone niechęcią, na jednym polu będą walczyły.“

W rozbitym namiocie, przy małym stoliku, siedział zamyślony Potocki, a przy nim rotmistrz pancerny Wojewódzki stał z uszanowaniem, głąskał się wąż czuprynę i w zadumaniu pokręcał wąż.

„Cóż słyhać dobrego?“ zapytał Potocki.

„Wszystko źle, panie wojewodo! mają nas wydać Piotrowi Wielkiemu, a ten diabeł wcielony, Szmi-gielski, (i obejrzał się na wszystkie strony) chce nas jako osobliwy podarunek jemu ofiarować. Wolałbym śmiecie w kruchcie u Kapucynów wymiatać przez trzy niedziele, niż dostać się w takie pazury.“

„Niestety! trzeba się z wolą Boską zgadzać, panie bracie.“

„A jać mówiłem wojewodzie, na kata nam było na skrzydła stawiać tych diabłów Tatarów z mysiemi oczyma a z mopsim nosem. Hultaje, tylko do rozboju zdadne, piérwsi uciekli i narobili popłochu, a ja choć z chorągwią dostałem pola, już nic nie mogłem poradzić, rozpędzili moich jak stado jeleni. O! wstyd mi, panie wojewodo, jeszcze nigdy nic podobnego nie doświadczyłem, z takim wojskiem przegrać bitwę!“

„Widać że takie było przeznaczenie moje,“ odrzekł wojewoda.

„Przynajmniej nie moje!“ zawołał z gniewem rotmistrz, „gdybym sam był z moimi, jeszcze bym skórę wytatarował staroście i z jassyrem wrócił do obozu.“ (*)

Wtém spieszonym krokiem nadszedł Szmi-gielski do namiotu. Na jego twarzy widomie malował się gniew i uniesienie.

„Zawołać mi rotmistrza Ordon!“ rzekł do służbowego.

Rotmistrz stanął na zawołanie.

„Wszyscy moi na kón żwawo, w tój wsi (i wskazał ręką) jest tam trzech jenerałów rosyiskich, pija czar teraz, uderzysz na nich i weźmiesz w niewolę.“

Potocki i Wojewódzki słuchali tego z podziwieniem.

„Odtąd,“ mówił dalej, „ogłoś waszmość moi chorągwiom: że wierne nasze służby poświęcamy najjaśniejszemu królowi Stanisławowi I. (i uchylił czapki, wymawiając te słowa), a kto niezechce słu-chać, na piérwszej gałęzi przewietrzy się trochę.“

Ordon wyszedł spieszenie dopełnić rozkazu starosty.

„Wy zaś, panie wojewodo,“ rzekł obracając się do Potockiego, „jesteście wolni razem ze wszystkiemi swojemi.“

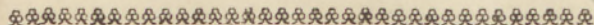
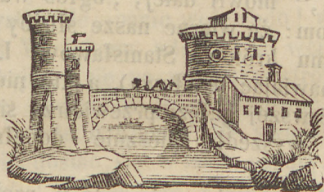
„Jakaż zmiana szczęśliwa!“ zawołał uradowany rotmistrz Wojewódzki.

„Poznają teraz,“ krzyknął z uniesieniem Szmi-gielski, „szablę moją ci co przyjacielami Augusta się ogłaszali, śmierć im i zemstę pouiosę. Hej! wina w puhary!“

Dworzanie przynieśli kilka flaszk sporych, starosta napełniwszy duży kielich, podniósł w górę i za-

(*) Jassyr, zdobywc niewolników.

wołał: „Niech żyje król Stanisław I.“ — „*Vivat Rex Stanislaus!*“ krzyknęła szlachta w pobliżu namiotu, a huk dział i strzelby wtorował tym okrzykom radosnym, zwiastującym już prawie zupełny tryumf i pewność posiadania tronu Stanisławowi Leszczyńskiemu. Huk dział zapowiedział przejście starosty Szmigielskiego na stronę tego, dla którego aż dotąd był jedynym postrachem, razem z Kurpiami. Szmigielski już uznał inną sprawę, już oręż poświęcił dla niej, a chłopcy bez butów mordercze walki stacjali w obrobie Augusta IIgo.



XXVII.

„U nas woroh ny zahostyt,
 „Nasza szabla ny zapostyt,
 „Wsiehdha maje swizyj zyr.“

J. Padurra (Zaporoziec.)

Z przerażeniem odebrał generał Steinflicht wiadomość o wyrznięciu w pień przez Kurpiów 400 piechoty i 200 drabantów szwedzkich w Myszeńcu.

„Nikt-że nie uszedł z tej nieszczęśliwej porażki?“ zapytał półkownika Rebinder.

„Ani noga!“ odpowiedział, „napadli w nocy na nieprzygotowanych.“

„Jako? nie rozumiem, przecież mój półkowniku jesteś żołnierzem, w obcym kraju żołnierz powinien być zawsze przygotowany.“

„Nie bronie, jenerale, majora Brena, przepłacił własnem życiem nieostrożność.“

„Prawda, zginął! ale czyż jego życie potrafi opłacić śmierć sześciuset walecznych? On sam za siebie zginął, ale inni, których mu powierzyłem! Dobra nowina dla króla naszego,“ zawołał z gniewem, „a spodziewam się go nie zadługo, bo my tu obadwa, z tém co mamy, nie damy tym chłopom rady. Biją się jak psy wściekłe, codzień napady, codzień szarpią.“

„Ale i ich ubywa,“ rzekł Rebinder.

„I cóż z tego, mój półkowniku? powiciliśmy stu, a stracili swoich przeszło tysiąca.“

„Dziś, jenerale, mój patrol schwytał jednego Kurpia, straciwszy swoich pięciu, trzech było rannych, dostali się do niewoli i skończyli na sosnie. Bez litości, bez uwagi na prawa wojenne powieszono wszystkich o tysiiąc kroków za miastem.“

„To przeklęcie!“ krzyknął z gniewem Steinflicht, „każ jeńca przyprowadzić.“

Wprowadzono młodego brańca, był to siostrzenic Borowego, wyniosłego równie wzrostu, ale nie tak barczysty. Zвано go Bartoszem wesołym, albo Kurkiem, raz że we wszystkich gospodach do tańcu réj wodził, drugi że naśladował doskonale pianie koguta. Miał ręce wtył skrepowane mocno, włosy w długich splotach spadały mu bez ładu na piersi i ramiona, bladeść na twarzy i ogień w oczach świadczyły o cierpieniach jakich doznawał, i o zemście, którą oddychał.

Steinflicht, który umiał po polsku, spozierając na niego surowo, rzekł po chwili:

„Czy wiesz ty leśny rozbójniku, że cię każę powiesić?“

Kurp szarpnął mocno rękoma, usiłując zerwać postronki co go krepowały.

„Możebyś chciał się porwać na mnie? szatański synu!“ plując mu w oczy, zawołał z gniewem jenerał.

„Daj ręce wolne, to zobaczysz.“

„A wielu was takich zuchwałców w jamach wilczych siedzi?“

„Ile piasku na naszej ziemi!“ odrzekł z pogardą.

„My ten piasek przeczyszczymy, od ciebie zaczawszy,“ krzyknął Steinflicht, „powiesić go na pierwszym drzewie!“

Czterech grenadyerów pociągnęli silnie opierającego się młodzieńca do ogrodu za kwatę jenerała, i na starej wierzbie powiesili. Mężny Kurp nie rzekł

słowa, nie prosił swoich katów o darowanie życia, wznosił oczy w niebo, i po niedługiej męczarni skonał.

„Najjaśniejszy pan,“ mówił Steinflicht, ochłonawszy z uniesienia, „ma dziś stanąć wieczorem w Ostrołęce, a za godzinę najdalej spodziewam się ośmiu regimentów i 10 dział. Trzeba nam zacząć przed jego przybyciem, gdyż nie mamy się czego lękać napadu z tyłu od jazdy starosty Szmigielskiego; już on sam przeszedł na stronę króla Stanisława, i wszystkim oddziałom swoim wydał potrzebne rozkazy. Odląd winniśmy ich uważać jako przyjaciół, i dzięki niebu, bo przyznać trzeba, że starosta był strasznym dla niewyciężonych szeregów najjaśniejszego pana.“

„Zapewne, jenerale,“ odrzekł Rebinder, „on jeden i te przekłete chłopy niepokoiły jedynie naszego króla, teraz łatwiej już i tych niedźwiedziów przepłoszymy z lasów.“

„Według wiadomości Myszeniec zajmuje jazda i hajduki w niewielkiej liczbie, a Kurpiów wcale niema; można więc bezpiecznie uderzyć, opanować miasto i zabrać osadę. Powierzam tę wyprawę tobie, Rebinderze, wiem iż dopełnisz jej jak najlepiej, i nie zawiedziesz zaufania najjaśniejszego pana, jakie zawsze w was pokłada. Potrzeba naprzód od lasów przeciąć wszelkie drogi przed natarciem z czoła, tym tylko sposobem niespodziewanie dalej się w lasach ukazem, niż się mogą nawet spodziewać; król tymczasem nadciągnie, i zajmie tych niedźwiedzi jamy. Spiesz się, mój pułkowniku, spiesz, bo czas drogi, trzeba zaczynać.“

Rebinder odszedł, a jenerał usiadł zamysłony nad mapą.

Lasy i lasy! tu błota, łąki, kawałek pola i znów lasy. Jazdy i armat z korzyścią używać nie

można, wszędzie tylko sama piechota naprzód iść musi. Ale niedługo, mam nadzieję, skończymy te zapasy krwawe, bo i o cóż się bijemy?

Ach! rzekł sam do siebie z uśmiechem, uderzając ręką w czoło: jestem żołnierzem, nie rozumować, ale słuchać mi wszelkich rozkazów należy.



XXVIII.

„Stanęli razem i pilnują drogi,
„Wiodącej zapęd barbarzyńskiej dziczy,
„Niezajmie pola poczet ich niemnogi,
„Oręż ich zdala łatwo wróg policzy.

* * *

„Spieszmy! braterskie niech się złączą sily,
„W rękę żelazo drży już za żelazem,
„Czy o zwyciężkach wienców zaszczyt mily,
„Czy o śmierci chlubną, wszyscy walczmy razem.“

Tymon Zaborowski (*)

Borowy zaledwie wybiegł z karczmy, gdzie na zgodę po kłótni pili, ujrzał wielkie zamieszanie w mieście. Z stu hajduków przeznaczonych do obrony Myszeńca, zaledwie połowa zbiegła się na rynek, dwie chorągwie jazdy stanęły w szyku porządnym, i silne wysłały patrole naprzód; ale Borowy rozpoznał zaraz, że ciężka będzie tu przeprawa, gdyż zewsząd miasto nienaliczone zastępy Szwedów otoczyły, i wrócił spiesznie do karczmy.

„No, chłopcy!“ zawołał, teraz tylko Boga wzywaj a ręki przykładaj; diabły czerwone wokoło zaskoczyli miasto.

Żyd arendarz uśmiechnął się szydersko, — dostrzegł to Borowy.

„Ty szpieg szwedzki! czego się uśmiechasz jak czart, kiedy zwiedzie pocziwą duszę?“

(*) Dumy podolskie w Puławach 1850. r.

Żyd zbladł jak chusta i zadrżał.

„A co? widzisz żydowska wiara!“ krzyknął Kurp, porywając go za kark, „że my wiemy coś dać znać i naprowadzić cię w onych diabłów. Przyznaj się, lub zduszę cię jak piskorza.“

„Niewinny jezdem,“ wyjąknął arendarz zimnym potem zalany.

„Zlój wódką brodę,“ rzekł Kwiczol, „i zapal, to się przyzna jak zakurzimy pejsy.“

„Wiszaj żyda!“ krzyknął Kiryfo.

„Wiszać, wiszać!“ zawołali hajducy.

„Kmotrze,“ rzekł Łopucha, odwiązując ramięń długi od chodaka, „trzeba go powiesić jak szpiega.“

Żyd upadł na kolana, wszystkie mu żyły na czole i twarzy krwią nabiegły i drżały, mrugał oczyma, w których łzy nawet przestrach zatrzymał, niezdolał słowa wymówić, jęczał tylko przytłumionym głosem.

Borowy podanym rzemieniem szyję mu okręcił i przeciągnął drugi koniec na haku od świecznika szabasowego.

„No módl się po swojemu,“ wyrzekł do niego, „bo zaraz wisić będziesz.“

Żyd się skrzywił, jakby go kurcz po całym ciele łamał, i mrugał bezustannie oczyma.

„Przeżegnaj się i poleć duszę Bogu!“ zawołał niewytrzeźwiony Kwiczol.

Łopucha w głos się rozśmiał: „jemu się żegnać? wszak to żydowska wiara.“

Borowy niedługo czekał, pociągnął silnie za ramięń w górę; żyd rękoma uchwycił się świecznika zaczął błagać i zaklinać by mu darować życie, że odda wszystko.

„A palnijże tam który po łapach tego pogańskiego syna,“ krzyknął zagniewany Borowy, „bo tu niema czasu.“

Kiedy Kwiczol z Łopuchą wskoczyli na stół, żeby siekierą ciąć w ręce i zmusić żyda do puszczenia trzymającego świecznika, Kiryfo pochwycił go za nogi.

Arendarz obłany zimnym potem, zwałtony na siłach, z przestraciem opuścił zemglone ręce — ramięń ścisnął gardło, chrapał mocno i skończył życie.

A strzały coraz bliżej słychać było, nie długo od huku dział zadrżała karczma, a szyby z brzękiem wyleciały z okien.

„Żebym sto diabłów zjadł i szklanek wody się napił! tu niema co dalej popasać,“ krzyknął Łopucha.

Huk ten otrzeźwił do reszty Kwiczola i opitych hajduków, którzy chcieli wybiegać z karczmy.

„Stójcie głupcy!“ zawołał Borowy, „czy jak myszy w łapkę na słońce lecicie? Patrzenie, czerwone diabły już są na rynku.“

Spojrzeni, piechota szwedzka już opanowała miasto. Wtém wbiega zadyszany Stanisław Bąk, cięty pałaszem od prawego ucha.

„Uciekajmy!“ krzyknął, Memcy w mieście, chorągwie nadworne jeszcze się biją, ale hajduków rozprószyli.“

Borowy wskazał ręką alkierz żydowski, z którego drzwi prowadziły do ogrodu; ku nim poskoczył, a w jego ślady pobiegli inni. Szwedzi zajęli miasto, dwa działa z rynku grzmiały morderczym ogniem na chorągwie nadworne, które w porządku się cofały, prowadzone przez mężnego rotmistrza Puchałę. Już były blisko lasu, gdy okrzyk z tyłu ich przeraził, ale wkrótce odpowiedziały im wzajemnym, gdyż byli to Kurpie, co nadbiegli pomagać swoim. Zaczajeni po za sosnami i w gestych krzakach, wstrzymali napad jazdy szwedzkiej, która zewsząd biegła z zapafem na polskie chorągwie. Celne strzały Kurpiów przerzedziły ją do razu, rozsypała się i uciekła w popłochu do miasta.

Karol XII., który sam już dowodził, rozkazał pułkownikowi Rebinder z dwoma regimentami piechoty od prawego skrzydła, a z trzema od lewego generałowi Steinflicht uderzyć, sam z czoła rzucił się z jazdą. Porażka chorągwi nadwornych i Kurpiów była zupełną, mało co uszło z rąk Szwedów.

Borowy z trzema Kurpiami, i na czele 12 hajduków, przebiegł ogród, stanął nad sadzawką i spojrział w około, ażeby zmiarkować, w którą udać się stronę, Łopucha zbliżył się do niego. „Kmotrze!“ rzekł pomieszany. „już teraz nie ujdziem pazurów diablich, patrzcie! przed nami szwedzka piechota i za nani, a od miasta leci jazda.“

„Bogu polec duszę,“ odpowiedział ponuro, „a ciałem bij diabłów!“ i skoczył na błota.

Kwiczoł, Bąk i Łopucha poszli za jego przykładem, ale żaden już nie zdążył z hajduków, wyrąbali wszystkich szwedzkie drabanty.

Kurpie celnemi strzały wspierali towarzyszy od śmierci, wszakże wyratować nie mogli, bo cztery strzały niewiele szkody dwustom Szwedom zrobiły.

„Z koni!“ zawołał do swoich podoficer Remer, „wziąć ich lub zabić,“ i wskazał ręką na Borowego i towarzyszy, co się przez błota cofali.

Do pięćdziesięciu drabantów poskoczyło pieszo na błota, Kurpie widzieli z rozpaczą, że wszelka obrona na próżno. Borowy rzekł do nich z cicha:

„Mierz ale niestrzelaj, dopóki niedam znaku,“ i postąpił naprzód.

„Poddaj się! pardon zawołaj!“ rzekł do niego najbliższej dochodzący drabant.

Borowy za odpowiedź zmierzył, i w same piersi ugodziwszy, powalił go na miejscu.

„Doaner Welter!“ krzyknął Remer, „strzelajcie do tych psów wściekłych.“

Kilkadziesiąt kul świsnęło, ale żadna nie trafiła celu, Kurpie nieporuszeni stali. Tymczasem wysłani w tył im Szwedy zaskoczyli, i po kilku strzałach powalili i skępowali powrozami. Borowy jeden był jeszcze wolny, jeszcze się bronił zacięciem szerokim kordelasem.

„Nech sem złożu kard,“ (*) rzekł nasz znajomy Dołmaszy, „niszt im neurobim.“ Borowy poznał Węgry, dla tego gdy się zbliżył, pchnął go tylko silnym ramieniem i rzucił w błoto.

„Basa.“ zawołał Węgier, kosztując wody z kałuży.

Borowy stał jak olbrzym, iskrzącym okiem poziurając w około. W żyłastej dłoni błyszczął kordelas, a strzelbę nieczynną miał przewieszoną na ramionach.

Wkrótce Karol XII. nadjechał w to miejsce, a ujrawszy go, krzyknął na swoich: „Nie zabijać! wziąć go żywcem, bo lepiej powiesić z innymi na drzewie.“

Dosłyszał to Kurp mężny, rzuca się na drabantów, pięciu ubił, nim uległ przemocy, padł jako dąb stoletni, skępowano mu ręce i zaprowadzono wraz z innymi do obozu.

(*) Kard, kord, szabla; wyraz ten kord istotnie węgierski, przyswoiliśmy w naszym języku i o nim przysłowie:

„Kord do boju,

„Szabla do stroju!“...

(Przypowieści polskie Salomona Ryscoiskiego w Krak. 1611. r.)

XXIX.

„Siedział długo, i długo się smucił,
 „A pochwyciwszy się, w górę jako jeleni,
 „Dalej dołem, przez las szeroko pusty,
 „Bystro pospiesza.“

Rękopism Królowowski.

Przy rozpalonych ogniskach siedzieli żołnierze szwedzcy, w pobliżu skrępowani leżeli Borowy, Stanisław Bąk, Jonek Łopucha i Kwiczół, oczekując na wyrok przyobiecany.

„No! oddamy im teraz za swoje! król nasz powiedział, że do jednego wywieszać każe,“ rzekł wąsaty grenadyer szwedzki. Oczyszcimy te ciemne lasy, już żubry, (*) dziki i niedźwiedzie swobodnie w nich bując będą.“

„To mi sia ne paczy,“ (**) zawołał nasz drabant.

„Masz prawdę,“ powiedział młody podoficer Remer, „pastwić się na bezbronnym, niegodne prawego żołnierza. Dajcie im broń do ręki, oko w oko, kto

*) Żubry, rodzaj dzikich wołów, dawniej pospolitych w lasach Mazowsza, dziś wyłącznie w jednej białowiejskiej puszczy z troskliwością hodowanych. Ukazem cesarza Rosyi, zabicie żubra jest śmiercią karane. Żubr w składzie swoim jest podobny najroślejшему wołowi, z tą różnicą, że ma brodę. Dotąd jest w stanie dzikim i nieuglaskanym.

(**) To mi się nie zdaje, nie podoba.

mocniejszy; a teraz skrępowanych, jak leżą, wieszać! Ja umyвам od tego ręce, toby plamiło mój honor, na to nie zdał się żołnierz szwedzki, trzeba rozbójników.“

„Hej, hej!“ (*) rzekł drabant, „oni maju recht; a my sem z kralom byli u nich, dali i jest' i pit', prespali sem noczku u nich, a teraz wiszał' każe.“..

„Co prawda. to nie grzech,“ mówił grenadyer, „i ja się nie zdałem na oprawcę; choć nie noszą munduru, bili się jak żołnierze, król wie co stracił swoich.“ Borowy westchnął głęboko i z jękiem, bo mu doj-mowały sznury.

Dołmaszy zbliżył się do niego: „Co im doleha?“

Kurp nic nie odpowiedział, zaiskrzyły mu się oczy, i z gorzkim uśmiechem odwrócił głowę.

Remer zaczął wstawiać się za niewolnikami: „Popuście postronki biedakom.“

Dołmaszy Borowego, potem Bąka rozwiązał, a Remer Łopuchę i Kwiczółą.

„No! hybajcie sem do ohnia, (**) damy im i palanku, to budie im ciepło.“

Przystąpili Kurpie do ogniska. Dołmaszy dobył tymczasem z mantelzaka flaszy z wódką, i zwracając mowę do Remera: „Nu sem, mors a tergo, bihamus ergo.“

„Dobrześ powiedział, mój bracie,“ rzekł Remer „dziś niejednemu zaśpiewają, *Requiescat in pace!*“ Borowy przyjął flaszę, lecz zaledwie ust dotknął oddał w ręce Bąka.

„Pre czo ne pijut?“

„Bo trzeba po trzézwu z Bogiem się pojednać.“

Wiatr coraz mocniejszy powstawał i zasypywał z ognisk popiołem i dymem, Borowy położył się na ziemi, a przy nim jego towarzysze.

(*) Hej, hej! albo no, no, ano! po naszymu: aha! tak, tak!

(**) No, ruszajcie do ognia!

Dołmaszy rozwiesił na krzakach grubą burkę i zasiadł pod jej zasłoną wraz z Remerem, każdy pragnął spoczynku po dziennych trudach. Milczenie zajęło wszystkie ogniska, zdała tylko odgłos czał i straży przerywał cichość nocy.

Ale Borowy nie spał. rozmyślał jakby wydobyć się z niewoli; uważał że w około żołnierze posnęli, jeden tylko wąsaty grenadyer, co najbliżej ogniska leżał, czuwał i baczne oko zwracał w stronę, gdzie spoczywali.

Wiatr coraz dał mocniejszy, a ciemne słupy dymu z ogniska osłaniały często brańców przed bystrym wzrokiem Szweda.

Borowy nie wahał się i na chwilę, przy nagłym zawiewie porwał się, przyskoczył z tyłu, pochwycił za gardło i ścisnął. — Twarz grenadyera zasiniała do razu, wytrysnęła krew gębą, nosem i uszami. Z martwej ręki wydarł mu szeroką szablę, zdjął pas z pistoletami, okrył się jego płaszczem i spojrzął w około.

Wszyscy spoczywali, nikt nie posłyszał ostatniego jęku grenadyera. Borowy stał chwilę, żał mu było opuszczać towarzyszków, ale obawiał się, żeby nie postrzeżono morderstwa.

Zwolna przesuwając się koło ognisk, ku bliższej puszczy, gdy w ostatnim łańcuchu straży dojrzał go Szwed na czacie stojący.

„*Wer da?*“ zawołał.

Borowy niezrozumiał co to znaczy, ani wiedział co odpowiedzieć, krótko się namyślał, przybliżył się nagle do niego, i strażem z pistoletu powalił od razu.

Ten odgłos poruszył cały obóz, porwał się Remer i Dołmaszy.

„*Bassa!* szo to za nowina? tak sem dobre spali.“

Remer poskoczył do grenadyera, żeby zbudzić, widząc iż zasnął twardo, lecz jakież było jego po-

dziwienie, gdy go ujrzał bez duszy! Głowa w kale krwi zsiadłej bez poruszenia leżała, włosy rozłargane, oczy bilmem i krwią zasłane wysadzone na wierzch, twarz osiniała.

„*Zabity!*“ krzyknął z przerażeniem.

Dołmaszy zbliżył się, wziął grenadyera za rękę, i niewyjmując krótkiej z ust fajki:

„*Maju recht, pomar!*“

Kurpie porwali się także ze snu na pierwszy rozruch, spojrzeli po sobie, żaden wszakże nieśmiało zapytał drugiego, gdzie jest Borowy.

Ale bystry wzrok Węgra dojrzał braku.

„*A de sem sia, bassamazania!* podieli ten wieliki chlap?“

„*Nie wiemy,*“ odpowiedział Kwiczol.

„*To sem oni taku breweryju narobili?*“

Remer posłyszawszy o ucieczce Borowego, co żywo dosiadł konia, i z sześciu drabantami poskoczył w stronę gdzie strzał usłyszał.

Dołmaszy tymczasem już ostrożniejszy, związać kazał niewolników, i silną ostawił strażą, sam poszedł o tym wypadku donieść starszemu, przeklinając całą drogę.

Ciemność nocy zwiększała się coraz w gęstym lesie, którego uchodził Borowy, zatrzymywał się niekiedy i natężał ucho, czy nie zasłyszony pogoni.

Zmordowany położył się w gąszczu, i wystrzelony nabił pistolet. Nagle się zerwał, po chwili przyłożył ucho do ziemi.

„*Gonia!* ale prędzej samego Twardowskiego (*) niżli mnie uchwycą.“

(*) Jest to przysłowie upowszechnione między ludem; Twardowski, sławny czarnoksiężnik z początku XVI. wieku, zaprzędał diabłu duszę, i z jego pomocą cudów doka-

Poskoczył w lewo, a dostawszy się na wążką dróżynę zwolnił kroku. Noc zaczęła się wyjaśniać, a blade promienie księżycy przedzierały się między liście odwiecznych dębów i konary wyniosłej sosny.

Wybiegł na pole, ztamtąd na wzgórze, jałowcem okryte, zkąd ujrzał całe obozy Szwedów. Palify się wielkie ogniska, a łuna od nich w około odbijała o krzaki i drzewa. Widział tam poruszenie i kilku jeźdźców pędzących w stronę, gdzie celnym strzałem powalił Szweda na czat ch.

Próźnie konie mordujesz, pomyślał, już teraz Borowy pan w lasach.

Zeszedł ze wzgórką, niedługo ujrzał światło, dążył ku niemu i zastukał mocno we drzwi.

„Kto tam?”

„Swój, swój Małgosiu!”

„Święta Małgorzata! dyć to nasz kuma!” Wszedł Borowy, Małgorzata została przy drzwiach.

„A mój Staśko?”

„U Szwedów, bo tylko Borowy uszedł pazurów niedźwiedzia.”

zywał. Warunek był z czartem, że po 7miu latach wezmie go jak swego w Rzymie. Jakoz go diabeł przycapił w karczmie co się Rzym nazywała, a o czém Twardowski nie wiedział. Gdy wpadł diabeł, czarnoksiężnik nie widząc innego ratunku, porwał karczmarza dziecie świeżo ochrzczone, dla czego zły duch nie śmiał się zbliżyć, ale rzekł z daleka: Jesteś szlachcic, a *verbum nobile* — *debet esse stabile*. Czém poruszony Twardowski złożył w kołyskę dziecie, a diabli go porwali. Wtenczas zanócił jedną pieśń z kantyczek, których dawniej wiele ułożył, i przez to zawieszony w powietrzu zostaje do dnia sądnego. Ztąd przysłowie u ludzi: „Ratuj się jak Twardowski kantyczką! Inne tradycje ludu osadzają go w piekle chromego, i nazywają kulawym Twardowskim.

„O! najśodsze imię Jezus! co się z nim stanie, może go zabili!” i zaczęła rzewliwie płakać.

„Nie zabili, ale zamordują, jeżeli mu pomocy nie damy, zawołajcie Jaśka.”

Małgorzata wybiegła po syna, Borowy zdjął strzelbę, przekreślił i pieńkiem nabił.

„Nie jeden tur (*) i niedźwiedź ani odetchnął jakim mu dał połknąć kawałek żelaza, i Szwed ani westchnie, jak pośwista Borowy kula.”

Jaśko nadbiegł zadyszany.

„Mój tatulo! mój tatulo! może go już zabili.”

„Chłopcze! tu żal niepomocze, trzeba ręki i pomocy Boskiej. Ruszaj co żywo do Dąbrowy, niech na gwałt uderzą dzwony, ja tam zaraz nadbiegnę.”

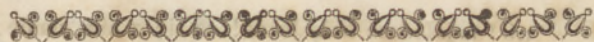
(*) Jak żubry tak tury były pospolite w lasach Mazowsza, ale tury wyginęły już dzisiaj zupełnie. Tur był dziksz i sroższy daleko od żubra, większej i silniejszej budowy. Głowę szeroką zdobyli rogi i długa broda, kark węzłowaty lwia grzywa. Pomimo nóg krótkich w gniewie robił wielkie skoki, uderzając na wroga, zkąd przysłowie: „Skakać tura,” jest to robić skok śmiertelny.

„Gdyby im zaskoczyli, gdzie ich zwykła dziura, „Skoczyłby tam nie jeden w morze pontskie tura.”

M. Strijkowski.

A. M. Fredro przytacza przysłowie: „Mięso pustnego tura dzieci się strachają.” Widać że po kolędzie przebiérano się za tura, wspólnie nosząc wilczątko, zkąd przysłowie: „Włóczyć się jak z wilkiem po kolędzie,” obchodziła młodzież wiejska domostwa gospodarzy. Przywdziewano i skórę wilczą na siebie, zkąd ze zmianą przypowiadka: „Włóczyć się jak z wilczą skórą po kolędzie.”





XXX.

„Jakis zapach czuć się daje.
 „Wącham, niby jarzyna, niby coś z mięsiva.
 „Wysiadam, idę spojrzeć zkąd ten wiatr przybywa.“
 Alex. hr. Fredro. (Przyjaciele.)

W małej wiosce ustronnej nad Omulewem odbywało się wesele młodego J o n k a bartnika. Brzmiały skrzypce i basy, panna młoda siedziała wedle dawnego zwyczaju na dzieży (gdzie chleb zaczynają), okrytej białym płótnem, dziewczęta na druchny wybrane, rozczesywały jej warkocz i nóciły załobliwym głosem:

„Zakukała kukaweczka na wiczy,
 „Zapłakała Marysieczka na dzieży,
 „Zakukała kukaweczka na Bugu, (*)
 „Zapłakała Marysieczka przy ślubu.“

Gdy nagle odgłos bębnu pomieszał wszystkich, kobiety wystraszone, pochowały się do komory, mężczyźni zabierali się do obrony, wtém wpada młody Jaśko.

„Nie czas wam uciekać, czekaj-ta cicho, tu diabłów czerwonych zabaw-ta, a ja dam znać swoim i Borowemu.“

„To żyje Borowy?“ zawołali radośnie, „nie bójcie się dziatwa i niewiasty, on nas wybawi z kądźdy biędzy.“

(*) Bug, rzeka. Cała piosnka jest gminną z osad Kurpiów.

Jaśko po drabinie wybiegł na poddasze, wydarł kilka snopków z poszycia i przysiadł przy samym kominie, wieczór dosyć ciemny ukrył go przed oczyma krwi chciwych nieprzyjaciół.

Tymczasem zbliżała się kompania grenadyerów szwedzkich, bęben zwolna marsz wybijał; przy nich jechało do ośmiu szlachty zbrojnej polskiej, stronników Leszczyńskiego, którym dowodził osiwiasty Jordan. Słyszac muzykę i gwary, zachęcił Szwedów do nawidzenia tego domostwa.

„Tu się,“ rzekł, „i posilem łatwiej i popijem czegoś,“ zawsze albowiem czuł wielkie pragnienie.

Möller, kapitan szwedzki, usłuchał tej rady, otoczyli dóm w około. żołnierze zostali na podwórzu, a kapitan z dwoma oficerami i szlachtą polską weszli do izby.

„Coś dobrze tu pachnie,“ zawołał wachając Jordan, „czuć krupniczek weselny, (*) o to wyborny truneczek, dajcie no sam.“

Marszałek weselny przyniósł wielki gąsior zachwalonego krupniku, Jordan przyłożył nos czerwono-siny jak u jendora, i ruszając wielkimi wasami:

„Ma nie zły zapaszek, probujmy,“ nalał szklanek, splunął i połknął do razu. „Kapitanie!“ rzekł do Möllera, „skosztuj ino, jakim Sodalis Marjanus (**) przewyborny! wódka dobra a miodek osłody i smaku dodaje. A nie macie co tam, moi poczciwi druzbowie, co do zasilenia głodnego brzucha? bo mój nos czuje tu jakiś groch, niby geś, niby prosie, niby kaczkę;“

(*) Rodzaj mocnego napoju z gorzalki i miodu, używanego powszechnie u ludu polskiego i między drobną szlachtą na wszelkie uroczystości, jak: wesela, chrzciny, pogrzebów, świąt różnych i obrzędach.

(**) Starych Polaków najważniejsze zaklęcie: „ut sum Sodalis Marjanus.“

i przysunął się do komina, gdzie ukryli na miskach potrawy na ucztę weselną przygotowane, wyciągnął gęś pieczoną i dwoje prosiąt.

„Bóg dajto wesele! patrzcie, co tu za dostatek wszystkiego, widać że nas szczęśliwa gwiazda prowadziła, bo i mamy co jeść i popijem czegoś, nie prawda, kapitanie?”

Ale kapitan Möller, rozgrzany już krupnikiem, wszedłszy z dwoma oficerami do komory, gdzie się niewiasty ukryły, nie dosłyszał przemowy Jordana, ujrawszy kilka młodych i nadobnych kobiet, chciał się bliżej z nimi zapoznać, lecz na nieszczęście zaledwie kilkanaście umiał wyrazów polskich. Z początku zaczął rozmowę, ale widząc że go nierozumieją, rozgniewany i rozmarzony trunkiem, porwał silnie za rękę pannę młodą, a niezważając na krzyk jej, ciągnął za sobą.

„Jakto! czy pozwolisz waszmość na to?” zapytał z iskrzącym wzrokiem Jordana jeden z jego towarzyszków, Radwan, „czyż i w oczach naszych mają dopełniać gwałtów i rozbojów?”

„Daj pokój, mój bracie,” odrzekł Jordan, nawsuwając czapkę na ucho, „za krew chłopską nie warto się ujmować, jużci bić się z nim niebędę, a ona jak się wykrzyczy to i da pokój.”

Radwan, nie mogąc znieść widoku gwałtu i zuchwałości, z jaką wśród zgromadzonych włókł dziewczynę do drzwi, wyskoczył z za stołu i krzyknął groźnie:

„Puść ją kapitanie dopóki proszę!” i dobył szabli do połowy.

Möller za odpowiedź uderzył go nogą w piersi.

Na taką wzgardę dobywa korda, i z wciekłością uderza na kapitana, którego nie mogąc się bronić, odebrał straszne cięcie przez obadwa oczy i padł oślepiiony. Żołnierze widząc swego dowódcę zranionego,

wpadają do izby, jeden z nich rzuca się na Radwana i mierzy bagnetem w piersi, ale ten równie silny jak zręczny, szlifowaną karabelą do razu obcina bagnet. Szwed rozgniewany mierzy, a z połyskiem na panewce padł trupem szlachetny Radwan. Śmierć jego rozjątza szlachtę i Kurpiów, powstaje wrzawa, a wkrótce zacięta walka.

Jaśko korzystając z zamieszania i krzyków, cichaczem zsunął się z dachu, zeskoczył w ogród i pobiegł do lasu, gdzie Borowy oznaczył stanowisko do zebrania Kurpiów.

A w domostwie, gdzie niedawno radowano się, słychać było tylko jęki, szcęk szabli i gęste wystrzały. Rozjątżona szlachta z Kurpiami walczyła mężnie z przemagającą siłą. Jordan podpiły i wystraszony, schował się pod ławę przy oknie, żeby się zaś uchronić strzału, przykrył się trupem jednego z grenadyerów szwedzkich. Niewiasty, między którymi dwóch oficerów zostało, zamknęły drzwi komory, a ochłonawszy z przest్రachu, rzucają się na nich, i po małym oporze wiążą opitych, wynoszą do ogrodu, topią w stawie i uciekają w pobliskie lasy.

Borowy ze swemi lotem sokoła nadbiega, prowadzony przez Jaśka. Trzydzieści strzałów obaliło do razu trzydziestu Szwedów, reszta odurzona nagłym napadem, straciwszy oficerów, nie wiedziała co dalej począć.

„Morduj bez litości!” rozległ się grzmiący głos Borowego, a posłuszni Kurpie dopełnili ściśle rozkazu dowódcy. Wymordowano wszystkich bez uwagi na wszelkie proźby. I Möller wyzionął ducha pod licznymi razy, wyrzucono jego trupa za okna i zaczęto oczyszczać izbę.

Jordan ujawszy przez wpół rękoma dotychczasową swoją tarczę, nie tak łatwo się jej puścił, ale wyciągnęli go razem z zabitym Szwedem na środek izby.

„Coś ty za jeden?“ zapytał go Borowy.

„Ja... ja... ja jestem sobie szlachcic na wasze usługi,“ rzekł drżącym głosem, a nos od trunku i przestachu zajaśniał burakową czerwonością.

„To nasz niby dowódzca,“ zawołał ranny Bończa, on to był powodem tej walki i śmierci walecznego Radwana, wartoby mu dać napomnienie.“

„A weź - ta no go chłopczy!“ krzyknął Borowy, „a że to pan szlachcic, rozłóż - ta sukmanę.“

Rozkaz dopełniono, napróżno wołał Jordan, że zawsze kocha najjaśn. Augusta, że służył jego sprawie, na próżno wzywał opieki niebios i wszystkich świętych, odliczyć mu kazał Borowy pięćdziesiąt przypiekanych boćkowskich (*) kańczugów. Ochryp i omglał z krzyku i boleści, ale nie dłużej otrzeźwiało, zlany kilkoma wiadrami zimnej wody.

„Wsadzić i przywiązać go na konia!“ zawołał Borowy; a gdy już Jordana przymocowano do siodła, zbliżył się Kurp, zaciął silnie podjezdka, który galopem poniósł go do lasu. Jordan za ledwie z wysileniem zdołał narowną szkapę uhamować, i zwolnił biegu.

„O! jakim Sodalis Marjanus,“ rzekł z gniewem, ocierając pot z czoła wyciśnięty sławną fabryką bizunów, nie zapomnę tej krzywdy, pomszczę się srogo! A moi panowie bracia, zamiast ratować z tego kweresu, to bij zabij na swego dowódcę; niczego jednak nie żałuje, jak tej gęsi smacznej, bo i było czém popić.“ Westchnął boleśnie i jechał dalej.

(*) Boćków, miasto dziedziczne dawniej Potockich, sławne fabryką batów. Krasicki o nich pisze:

„Sążniste pajuki

„Nieśli skórom pamiętne boćkowskie kanczuki.“

XXXI.

„O nie pytajcie czemu tak mała
„Garstka chorągwią męźnych powiewa,
„Było nas więcej, lecz z tego drzewa
„Burza nie jeden liść oberwała.“

Juljusz Słowacki.

Na czele pięćdziesięciu odważnych Kurpiów dał się Borowy przez ciemne lasy, spiesząc w nadziei uwolnienia swoich od śmierci niechybną. Stał na tym samym wzgórzu, z kąd się wczoraj przyglądał pogoni za sobą. Też same rozpoznawał miejsca, gdzie leżał skrepowany, tliło jeszcze ognisko, zdawało mu się, że widzi grenadyera rozciągniętego w kale krwi zsiadłej, że spostrzega swoich oczekujących na wyrok surowy. W témże samém stanowisku zostawał obóz szwedzki, Borowy rozpoznał wszystkie przysmyki. ale wahał się długo, nie miał pewności gdzie więźniów trzymają; gęste czaty z podwójną bacznością w poczwórnym łańcuchu otaczały obozy. Lecz szczęsna zabłysła gwiazda: ujrzał że drabant szwedzki spieszy na koniu w stronę, gdzie w ukryciu zostawali. Borowy rozstawił swoich, zalecił milczenie, wzbrowił strażu, żelży żywcem ujął Szweda.

Jęzdziec widziany, był to Dołmaszy, który z rozkazem Karola XII. spieszył do Myszeńca.

Węgier palił krótką fajkę, coraz dodając ostrogi swemu kasztanowi, przejechał wszystkie łańcu-

chy, i zbliżył się dróżną wążką do krzaków, gdzie się skręcała prowadząc w las nieprzejrany, w którym Kurpie uczajeni leżąc na brzuchach czekali sposobnej chwili.

Dołmaszy zwolnił trochę, bo mu fajka zagasła.

„Bassa!... pomruknał, dobył krzesiwa i zaczął wykrzesywać ogień.

Właśnie wjechał w las ciemny, kón się potknął o korzeń.

„Kutia!... krzyknął rozgniewany, i dał obie ostrogi; kasztan stanął dęba, gdy nagle ze stron wszystkich podnieśli się Kurpie, a Węgier do razu ujrzał się otoczonym.

„*Mater Dolorosa!*“ zawołał przerażony.

Borowy wziął go za kark, jakby szklanę wódki, podniósł w górę i postawił na ziemi. Dołmaszy odurzał ze strachu, słowa przemówić niemógł. Borowy spojrział mu w oczy i poznał znajomego.

„To poczciwy Miemec,“ rzekł z uśmiechem, znamy się już podobno.“

Węgier powoli przyszedł do siebie.

„Prawdu prawiu,“ (*) odpowiedział, „społom spali i tuhu palanku pili. Ale oni sem bidu narobili jak utiekli.“

„A gdzie nasi?“

„Wnet ich budu wiszał.“

„Gdzie nasi!“ zapytał groźnie Borowy.

„Uż oni rady sem ne dadzu, tam welmi (**) wojaków ich streże.“

„Prowadź nas!“ krzyknął w uniesieniu, „zobaczmy kto mocniejszy.“

(*) Prawdę mówią.

(**) Wiele.

Dołmaszy z podziwieniem spojrział na niego. „Ket' sem każu, dobre, my ich powedemo, ukażem de ich trymaju.“ Nałożył sobie fajkę, zakrzeszał ognia i zapalił.

„Jašku!“ zawołał Borowy, „weźcie tego konia, zaprowadźcie do chaty i pilnujcie.“

Dołmaszy nie myślał odstąpić ulubionego wierzchowca, i uchwycił silnie za musztuk. „A ket ja sem ne darujem im konia.“

„Myślisz że cię będziem prosić?“ krzyknął Borowy i wstrząśł nim tak mocno, porwawszy za bary, że Węgrowi fajka wyleciała i słońce ujrzał w oczach.

Puścił trzymane lejce, Jaško poskoczył, dosiadł żwawo kasztana i pędem ruszył.

Dołmaszy rozżalony i zgniewany utratą konia. „Ket sem wziali moho konia, moho sem jedynoho przytela, to sem ich ne zawedu.“

Borowy podniósł pięść silną, aż Dołmaszy się skurczył i rzekł pokorniej:

„Uż sem ich powedemo, lecz nech dadzu pokój,“ i postąpił naprzód.

Dwóch Kurpiów wzięło go pod ręce, Borowy z wymierzoną strzelbą szedł za nim, reszta w największej postępując cichości, znikła w ciemnościach lasu.



XXXII.

„Zwycięzcomu za pomnik grobowy
 „Zostanie suche drzewo szubienicy,
 „Za całą sławę krótki płacz kobiety,
 „I długie nocne rodaków rozmowy.

Bezimienny.

Pod ścisłą strażą skrepowani leżeli Stanisław Bąk, Kwiczół, Łopucha i przeszło 300 Kurpiów wziętych w niewolę. Kilka szubienic wznosiło się dookoła, wóz wyprężony stał przy nich napełniony powrozami do wieszania brańców, nikt nie litował ich nędzy, nikt nie litował ich cierpień.

„Jonku!“ rzekł Bąk z cicha, „czy nie można prosić, żeby popuścili trochę postronków, przetarły mi ciało, krwi pełna sukmana.“

„Tak, tak, proś-ta tych diabłów, co litości nie mają,“ odpowiedział, „ostrożni teraz, jak Borowy uciekł, jeszcze lepiej skrepują.“

„Mój kumo!“ ozwie się Łopucha, „godzina ostatnia już blizka, żeby choć księdza przysłali, coby duszę grzeszną oczyścić.“

„Czego też pragniesz! To Lutry, Kalwiny, bezbożne syny, oni nie znają tego, a jakbyś prosił toby wyśmieli poczciwego Katolika,“ powiedział Kwiczół, „nawieźli postronków z miasta na biedaków co bezbronni leżą jak barany. O! żebym miał moją Jor-

danke (*), wystrzeliłbym każdy postronek z ręki karta, coby wieszal którego; a teraz, mój Boże! mój Boże!“ Wtém nagle rozruch powstał w obozie, zabłysło kilkadziesiąt strażów w pobliżu, trwoga ogarnęła Szwedów, rzucili się do broni.

Schwytany Dołmaszy prowadził Borowego i jego towarzyszków ustroniem w miejsce, gdzie skrepowani, Kurpie pod silną strażą leżeli. Pierwsze czaty uwiadzione głosem drabanta, przepuściły ich z łatwością, ale drugie dostrzegły podejścia. Borowy też nie myślał dłużej podchodzić zdradnie, i otwarcie uderzył, rozbił strażę z łatwością i znalazł więzionych braci.

„Rozcinać postronki!“ zawołał do swoich, „a który wolny uciekaj w lasy, tam się zobaczymy.“ Sam poskoczył do Stanisława Bąka, rozciął mu sznury, a wskazując bliskie krzaki, rzekł do niego:

„Słašku! w imię Boskie weź-ta nogi za pas i w nogi, pociesz-ta swoją Małgosię i Jaśka, a jeżeli zginę, pomódlcie się czasem, i za moją duszę dajcie tam na mszę świętą.“

Stanisław ścisnął go za rękę ze łzami i pobiegł wskazaną dróżyną.

Na odgłos strażów uderzono na znak trwogi. Ze wszystkich stron piechota szwedzka rzuciła się do broni a jazda na koni. Borowy ujrzał się jak w klatce, zewsząd ściśniony, wielu Kurpiów ratowało się ucieczką, ale on sam po krótkim oporze wraz z Kwiczółem, Łopuchą i wielu innemi wzięty w niewolę został.

(*) Strzelby, pod nazwiskiem Jordanek, są najslawniejsze u ruskich myśliwych, co i Mazowsze sąsiednie Podlasia przyjęło. Nazwane tak, że chcąc z prostej strzelby zrobić Jordankę, używają następnego sposobu: Po poświęceniu wody na Jordan, nabitą w nią strzelbę zanurza się, i wystrzela przy odmawianiu pewnych formuł. Odtąd Jordanki przybiera nazwisko, i każdy strzał z niej trafi nieochybnie, byle (według myśliwych przestrogi) dobrze wziął na cel i dobrze wytrzymał.

Karol XII, rozgniewany taką zuchwałością, jak nazywał, tych chłopów bez butów, wydał wyrok śmierci na wszystkich Kurpiów, co wpadli w ręce Szwedów, z rozkazem, ażeby jeden drugiego wieszał. Major Rumler, znany z okrucieństwa, przeznaczonym został na wykonawcę wyroku Karola. Na czele dobranych siepaczy stanął między skrepowanymi Kurpiami.

„Ten wielki chłop,“ zawołał, uderzając nogą w głowę Borowego, „zda się na rzeźnika, rozwiązać go, niech wiesz zaraz drugich.“

Borowy westchnął boleśnie i powstał. Rumler wskazał Kwiczoła, ażeby go powiesił. Kurp zbliżył się do niego, a okręcając powróż w około szyi, rzekł z cicha:

„No kmotrze, westchnij do Boga, bo to ostatnia godzina nasza, wolę cię zdusić w rękę niż wieszac, to ci lepiej będzie.“ Pocałował go w czoło i ścisnął rękoma za gardło, a Kwiczoł upadł bez duszy.

Rumler z szatańskim uśmiechem pochwalił Borowego siłę, ale rozkaz powtórzył, żeby wieszal, nie dusił.

Nie każdy z Kurpiów był tak posłuszny do razu jak Borowy, wzdrygał się niejedni zgrozą przejęty, ażeby miał ojca własnego, brata i krewniaka lub kuma (*) wieszac, lecz wnet siepacze wymyślonemi katowniami zmuszali nieszczęśliwych.

Łopuch, co się wzbraniał powiesić swego brata, doznał tygrysięj męki na sobie. Zdjęto mu chodaki, a rozpaliwszy do czerwonego bagnetu, kłuli go w podeszwy i łytki. Skwarzyło się ciało, Kurp mężnie

(*) Kumostwo pomiędzy ludem jest uważane jak pokrewieństwo, nawet gdy się mają zenic, młodzieńcy tym sposobem przez rodziców chrześniwych powinowata, zawsze udaje się do księdza z prośbą o pozwolenie kościoła.

cierpienia znosił, i wołał mocnym głosem: „Mordujcie! bijcie! Bóg się pomści, ja nikogo nie powieszę.“

Borowy na ten widok zadrzał, oddech miał ciężki, piersiami gwałtownie robił, oczy mu krwią nabiegły. Po chwili rzucił się na Rumlera, pięścią tak silny cios w skronie wymierzył, że go zabił do razu, roztrącił strażę, rzucił drabanta z konia, sam go dosiadł i w pełnym biegu dobiegał lasu.

„Strzelaj! strzelaj! ognia do niego!“ zawołano zewsząd, kilkadziesiąt kul świsnęło w około Kurpia, dwie go trafiły. Borowy uczył postrzały, chwycił się oburącz za grzywę, kón wystraszony pędził jeszcze mocniej. Krup czuł, jak opada na siłach, przez obfity upływ krwi nie mógł się utrzymać, wzrok mu ciemnieje, zachwiał się, skonał i upadł przy samej mogile upiora; ale tak silnie skońskie ręce za grzywę trzymały, że rumak spłoszony więcej trupem Borowego, ciągnął go za sobą.

Śmierć Rumlera i Borowego ucieczka nie zmieniły losu Kurpiów, blisko trzystu, nawzajem się wieszając, zginęło. Łopucha obumarłym wzrokiem musiał patrzeć na męczarnie swoich współbraci, nim dobroczynny bagnet starego grenadyera dopomógł mu skonać.

O pół mili od tego miejsca pokazało się z lasu kilkunastu hajduków, a z boku chorągwie nadworne wojewodziny. Hajdacy zajęli w łańcuchu oznaczonym stanowiska, i sokolim wzrokiem spoglądali naprzód, z kąd się nieprzyjaciół spodziewano. Nagle z pośród krzaków ukazał się kón w największym pędzie lecący na nich.

„Ptu! ptu! na psa urok!“ (*) zawołał spluwając hajduk Brzoza, „a czy widzisz no go?“ i pokazał Jankowi Sikorze, co stał najbliżej.

(*) Jest to w powszechnym zwyczaju u ludu polskiego. spluwanie i wymawianie powyższych wyrazów, gdy coś nad-

„To kón może po którym zabitym z naszych chorągwi,“ odpowiedział Jonek.

„Tak, kón, toć go widzę, ale co się to przy nim wlecze?“

„A dalibóg - ci i prawda!“ krzyknął Sikora zdziwiony, „co to za kaduk?“

„Albo strzełę, czy co?“ rzekł Brzoza, mierząc rusznicą.

„Nie rób - ta głupstwa, bo jeżeli to z łe, (*) kula się nie imie, a szkodaby konia, lepiej go złapać, może co znajdziem.“

Usłuchał tej rady Brzoza, i uważał gdzieby zaskoczyć i pochwycić konia; ale ten zmordowany biegiem, wysilony ciężarem, który dźwigał, upadł w pobliżu, a z rozdętych gwałtownym oddechem szerokich nozdrzy krew zarumieniła piasek. Brzoza, jak prętko skoczył, tak jeszcze prędzej odskoczył z bojażnią i zaczął się żegnać.

„A co ci tam za diabeł?“ zawałał Sikora i spojrział gdzie mu Brzoza palcem wskazywał. „No! i cóż to? ot zabity człowiek.“

„Może to upiór?“

„Gdzież by ci upiór był blady, wszak ci zawsze czerwony i żyje, a ten,“ mówił dalej Sikora, uderzając kolbą karabina trupa, „ani nogą kiwnie, zabity.“

„Prawda,“ odrzekł śmielszy już Brzoza, „żeby upiór piechotą nie leciał przy koniu, wolałby sobie

zwyčajnego zobaczą. Spluwanie i tę niejaką formułę uważają za najskuteczniejszą ochronę przeciw urokom, do których lezenia po wsiach są sławni i wzięci lekarze lub baby.

(*) Wyraz ten Z łe, zastępuje często diabła, szatana. Oprócz tego ma jakieś tajemnicze znaczenie, do czego wielką ufność lud nasz przywiązuje.

jechać,“ i zapatrując się w trupa po chwili wykrzyknął: „święty Bonifacy! dyć to Borowy, nasz gajowy; ale jak się zmienił, cały osypany piaskiem, mój Boże! któżby się spodziewał, że człowiek ten zginie, onby i diabła pobił.“

„Przyszła kréska na Matyska, kto czém wojuje, to od tego ginie!“ rzekł Sikora. „Ale szkoda go, nie raz wiał za koźniarz gorącego okropu diabłom czerwonym.“

„A oni teraz nam naleją,“ odpowiedział Brzoza. „Czy nie wiesz? Kurpiów rozbili, wiele zginęło, ot teraz i Borowy; sam ich król, co z diabłem trzyma, nie daleko stoi, a nasza garść hajduków i tę trochę jazdy potrafi ich pobić? Chyba zaprzędamy diabłu duszę, żeby ci swojej pomocy udzielił.“

Sikora tymczasem odpiął mantelzak do siodła przytrokowany, otworzył i znalazł mundur, dwie podkowsy, kilka nabojów, buty, szczotki i szydło. „Do diabła!“ zawołał rozgniewany, „ani szeląga niema, gdzieś podziewają pieniądze, co naszych codziennie rabują?“

Brzoza uważniej przejrzał mantelzak, i w chustce znalazł kilka dukatów i trochę srebra. Podzieliwszy się zdobyczą, rzekł: „no! wartałoby zanieść Borowego do obozu, żeby mu ksiądz zaśpiewał i pochował w świętej ziemi, choć umarł zapewne bez spowiedzi.“

„Zgoda, tylko mu oderwij ręce od grzywy.“

„Gdzie tam rozdejmiesz palce, mocno się trzyma, kiedy kón go aż tutaj przyciągnął; niema sposobu, trzeba uciąć grzywę.“ Dobył pałasza, i jedném cięciem uwolnił konia od trupa. „Ale na rękę go nie udźwigniem, on więcej zaważy niż wół podolski dwa lata paszony; trzeba przywiązać sznur do nogi, to go i zaciągniemy.“

„A z koniem co zrobim?“ zapytał Sikora.

„Nie wiele z niego uciechy, patrz, podnieść się nawet nie może, jak bokami robi, a w nozdrzach krew zsiadła, nim dojdziem obozu, to pewnie zdecydnie; na, zwiąż sznur mocno, żeby się nie wysliznęły nogi, a teraz ciągnijmy.“

Jeszcze nie doszli swoich stanowisk, gdy ziemia zdrzała od huku dział i ręcznej broni, Szwedzi ze wszystkich stron uderzyli raptownie, dym i kurza wa okryły nieprzejrzaną chmurą całe pole bitwy.



XXXIII.

„Ojcie! ja wzywam Cię!

„Wkoło mnie warczą piorunne dział grzmoty.

„Rażą mnie błysków szalone przeloty!

„Bojów zarządco! ja wzywam Cię,

„Ojczę ty prowadź mnie!“

Fr. Kowalski.

Wojewodzina Działyńska już przyszła do zupełnego zdrowia, lubo niekiedy ból z odniesionej rany uczuwać się dawał; Zofia Ordonówna siedziała zasmucona nad krosienkami; gdy wszedł Jan Huczko, pachofek Telebskiego.

„Cóż nowego przynosicie, mój Janie?“ zapytała z radością Zofia, „a gdzie pan?“ dodała po chwili.

„Mój pan nie długo przybędzie, zatrzymał się tylko na pogrzebie rotmistrza Przedzieckiego, co po śmierci pana młodego Grudczyńskiego, który z ran odebranych umarł, we dwa dni skonał. Mój Boże! co też tam było płaczu, bo się została jedna córka, jak też ten gołąbeczek płakał, wyrzekał; matki już dawno niema, a teraz i ojca straciła. Ale pogrzeb odbył się suto, z paradą, wiele było księży, a gdy trunę do grobu spuszczała, strzaskano jego herbowną tarczę, bo umierał bez syna, ostatni swego domu i herbu.“ (*)

(*) Było to zwyczajem aż do najpóźniejszych czasów w Polsce.

Wojewodzina właśnie weszła do komnaty, opowiedział jej toż samo.

„Więc młody Władysław umarł!“ rzekła boleśnie, „niech spoczywa w Bogu! Ojczyzna straciła w nim jednego z przedniejszych obrońców. Był to przyjaciel mojej młodości, chowaliśmy się razem, bawili w dzieciństwie wspólnie, wiele cierpiał!“ i odwróciła głowę, ażeby nie okazać łez, które jej żal wycisnął.

Wtém wpada wybladły podstarość, i donosi, że Szwedy opanowali Myszeniec, osadę zabrali, Kurpiów, co biegli w pomoc, rozbili i są nie daleko.

„Któż przyniósł tę wiadomość?“ zapytała pomieszana wojewodzina.

„Hajduk ranny, jaśnie wielmożna pani, co uciekł z Myszeńca, czy ma się stawić?“

Wojewodzina skłonieniem głowy dała znak, ażeby przyszedł. Podstarość wybiegł, i niedługo stanął wraz z hajdukiem Grzędą, który był cięty w głowę i przestreloną miał rękę.

„Cóż przynosicie nowego?“ zapytała wojewodzina.

„Wszystko złe! diabły czerwone o dwie tylko mile, Myszeniec zajęli i wszystkich.“

„A mój rotmistrz Puchała z dwoma chorągwiami?“

„Ranny i wzięty w niewolę.“

„A hajducy?“

„Co do nogi wycięci, może trzech lub czterech uszło z ogólnej porażki. Po trupach nie daleko karczmy, gdzie leżało ich nie mało, poznałem między innymi Snigurkę.“

„A Borowy, gdzie się obraca?“ mówiła wojewodzina już wybladła i drżącym głosem.

„Borowego powalili jak tura na błotach, może i zginał, bo czerwone diabły wszystkich chcą wywieźć Kurpiów, tak ich król rozkazał.“

„Boże Wszechmocny!“ zawołała Działyńska, i zalane łzami oczy podniosła w niebo.

Nie długo tęteż koni na podwórzu usłyszano, był to Telebski wraz z kilkunastu z chorągwi nadwornych, co uszli rąk szwedzkich, a których spotkał po drodze. Telebski zeskoczył z konia i wbiegł do wielkiej sali.

Blade lica wojewodziny okrył mocny szkarłat, Zofia z żywym rumieńcem krzyknęła z radości, ale nieśmiała się rzucić w objęcie narzeczonego. Powitał z uszanowaniem Działyńska, a z zapałem tyle mu drogą i kochaną Zosię.

„Panie Stanisławie,“ rzekła z powagą, hamując gwałtowne wzruszenie i bicie serca wojewodzina, „czy wiecie?“

„Już wiem wszystko! jesteśmy sami, wszyscy nas opuścili, nawet Szmigielski. Ale póki ręka żywa może za kord ostry chwycić, lepiej zginąć pocziwie, niż haniebnie zdradzać!“

„Cóż powodowało starostę do przejścia na stronę wrogów naszych?“

„Co? дума i próżność: w bitwie schwytał Potockiego z rodziną, i sam osobiście chciał go oddać w ręce Piotra Wielkiego. Książę Menżyków, naczelny generał wojsk posiłkowych Augusta, czy zazdroszcząc mu tego, czy niedowierzając, oparł się temu, a Szmigielski wraz na stronę przechodzi Szwedów, i nowego króla służby przyjmuje. Grożą nam zewsząd niebezpieczeństwa, dla tego spieszyłem, by czasu daremnie nie tracić. Pozwoli pani wojewodzina, że ją wyreczę w rozporządzeniach? Chorągwie nadworne na kón co żywo, hajduki niech staną pod bronią i wyruszą do mogiły upiora, zapalić ognie na znak trwogi, po wsiach uderzyć na gwałt we dzwony.“

Zofia wybladła słuchała Telemskiego, podstarości bezwzględnie wyszedł ogłosić rotmistrzom chorągwi i dowódcy hajduków wydane rozkazy.

„Mój Janie!“ rzekła po chwili wojewodzina do pacholka świeżo przybyłego, „powiedzcie księdzu Józefowi, kapelanowi, ażeby pobłogosławił nasze chorągwie, może to ostatnie dla nich żegnanie!“ i ukryła twarz w białych dłoniach.

Doznane klęski, nieszczęścia ojczyzny i widok Telemskiego, którego tyle namiętnie kochała, obok Zofij, zbyt ją poruszyły, płakała jak dziecko. Ale wkrótce wróciło jej męstwo i spokojność na twarzy, gdy wszedł dworzanin, i doniósł, że wszystko już w pogotowiu, stósownie do wydanych rozkazów.

„Podać mi hełm i zbroję,“ rzekła do niego, „a konia niech wyprowadzą na dziedziniec.“

Telemski, jakkolwiek zajęty rozmową z ukochaną Zofią, dosłyszał ostatnie słowa Działyńskiej.

„Jakto!“ zawołał, „chcesz się na nowo pani wojewodzina narażać? zostaw nam tę wyprawę,“ dodał z rozrzewnieniem, całując jej rękę, „rana zapewne jeszcze dolęga.“

„O! rana moja,“ odpowiedziała ze smętnym uśmiechem, „nigdy się nie zgoi i zawsze dolęgać będzie. Walka ta (mówiła dalej z westchnieniem) będzie zapewne ostatnią, Karol XII. osobiście przywodzi i prze naszych całym siłami.“

„Tém lepiej!“ odrzekł z zapałem Telemski, „on ma siły większe, my większe męstwo okazać powinni. Ale czas nagli, trzeba uprzedzić naszych wrogów, by w lasy nasze zajrzeć nie śmieli. Bądź zdrowa moja droga i kochana Zosiu!“ wymówił z cicha, „Bóg dobry ziści nasze spodziewane nadzieje, zobaczmy się jeszcze;“ i przytulił niewinną dziewczę do bijącego serca. Wojewodzina zadrżała, a kładąc hełm

na głowę, otarła nieznacznie łzy swoje. Zofia tuląc się do łona kochanka jak bojaźliwy gołąbek, rzewliwie płakać zaczęła.

„Bądź zdrow, bądź zdrow! niech cię Bóg szczęśliwie prowadzi!“ były ostatnie jej słowa, które usłyszał Telemski, gdy wyrwywając się z jej objęcia, pospieszył na dziedziniec. — Stały już tam chorągwie nadworne, uszykowani hajducy i kilkuset Kurpiów zbrojnych, między niemi z krzyżem w rękę poważny kapelan. Działyńska ukazała się na ganku, okrzyk radosny powitał bohaterkę.

Kapelan przeżegnał wojowników, krótką odmówił modlitwę i rzekł głosem poważnym i mocnym: „Ufajcie Bogu! niech was nie ustrasza liczba nieprzyjaciół, zwalczycie ich za jego świętą pomocą. Ufajcie Bogu! on wesprze wasza ramię i doda siły orężowi polskiemu, co w szlusznej sprawie dobyły za wiarę, ojczyznę i króla.“ Skończył, przeżegnał jeszcze i pobłogosławił.

Wojewodzina dosiadła rumaka, wskoczył lekko na konia Telemski, zagrzmiały trąby i kotły. Niedługo mlczenie ponure osiadło zamek, a w dali czasem tylko zabłysła zbroja, lub wiał przyniosł słaby odgłos trąby wojennej.



XXXIV.

„Ha! blask w kaplicy grobowej,
 „Ciszéj serce! męki nowéj
 „Nie licz do téj, co cię tłoczy.“

St. Starzyński. (Matka Rodu.)

W kaplicy zamkowej zapalono świece, na środku stała trumna, w której złożono zwłoki poległej w krwawéj i morderczéj walce wojewodziny Działyńskiej: ugodzona w same piersi, zakończyła bohater-skie życie.

Równego losu doznał Telebski, kula działo-wa urwała mu nogę, prawie na skonaniu przywiezio-no go do zamku. Jan Huczko złożył na wielkim stole zwłoki ukochanego pana, którego wypiautował na rękę, i troskliwie zmywał krew gąbką, obwijał ranę; gdy posłyszał, że się drzwi otworzyły nagle, spoj-rzał i zadrżał.

Byłato Zofia, powolnym weszła krokiem i osłu-piały wzrok dotąd wlepiła w oblicze poległego wo-jownika. Jój suknia i włosy były w nieładzie, nie wyrzekła słowa, nie ujrzano łzy nawet jednej, stała jak posąg, załamała z gorzkim uśmiechem ręce i pa-dła bez przytomności.

W wielkiej sali usiadła przed zwierciadłem i rozpuszczony warkocz splatać zaczęła. Huczko stał w kącie i płakał jak dziecko.

Zofia z boleścią westchnęła, i wkrótce z gorz-kim uśmiechem, układając włosy na głowie, zanuci-ła słabym głosem:

„A czego płaczesz, czego żałujesz,
 „Dziewczyno moja?
 „Jak nié mam płakać, nié mam żałować.
 „Nie będę twoja.“ (*)

Przerwała piosnkę, wstała, przeszła po sali i stojącego poznała Jana.

„A ty czego płaczesz, mój Janie?“ rzekła z podziwieniem, „o! nie płacz, nie płacz, już ja ci zaśpiewam. — Ale co ci zaśpiewam?“

Spuściła oczy w ziemię, uderzyła w czoło ręką jakby przypominając sobie.

„O! już wiem, już wiem! to co mój Stasio lubi.“

Jan na wspomnienie ukochanego pana, i wi-dząc Zofię w tak okropnym stanie, głośno się rozpłakał, ale łzy rzewliwe Jana nie zrobiły żadnego wrażenia na nieszczęśliwej. Uśmiechnęła się tylko, a stanąwszy w oknie, z którego ogród cały widzieć można:

„Janie! Janie!“ zawołała.

Jan się zbliżył.

„Mój Janie! przynieś mi tych białych kwiatków, co tak gęsto rosną,“ i pokazała na śnieg, który grubo okrywał ziemię.

Odrócił głowę przywiązany pacholek, boleść jak kamień cisnęła serce, niemógł wytrzymać dłużej i wybiegł z komnaty.

W kaplicy zamkowej brzmiały pienia żałobne, wniesiono i drugą trumnę z zwłokami Telebskiego. Nie było w tym świętym domu natłoku, podstarości, Huczko, mało dworzan i kilka kobiet składały cały orszak, który towarzyszył na cmentarz, bo wojownicy

(*) Pieśni ludu.

z chorągwi nadwornych, hajducy i mężni Kurpie, jedni zginęli pod zwyciężkim orężem Karola XII., drudzy w rozsypce szukali bezpiecznej ustroni, chroniąc się przed okrucieństwem Szwedów.

Szpuszczono trnny do grobów, każdy z przytomnych rzucił garść ziemi, jako ostatną przysługę. Nie długo opustoszał cmentarz, Jan tylko klęczał i modlił się, gorzkiemi łzami zalany.

Noc była jasna, księżyc przyświecał; nie długo usłyszał skrzyp woza po śniegu, co się przed cmentarzem zatrzymał. Dwóch Kurpiów dzwigało trnny, a kobieta z płaczem postępowała za nimi. Poznał do razu Stanisława Bąka z żoną i syna ich Jaśka.

„Komuż - to chrześcijańską oddajecie posługę?“ zapytał.

Małgorzata zaniosła się od płaczu, Stanisław łkając, rzekł przerywanym głosem: „To mój pocciwy kuma, Borowy, on mnie uwolnił od śmierci, a czerwone diabły zamordowały go okropnie. Ciało tyrało się po piasku, gdy nie mogliśmy nigdzie księdza dostać, pogrzebiem go sami.“

„Nasza pani wojewodzina i mój dobry Stasio,“ odrzekł Jan, łumiąc i łzy i boleść, „kochali go, niech więc przy nich spoczywa, tu mu wykopiem mogiłę.“

Wzięli się do rydlów, wkrótce grób wykopali, i spuścili Borowego ciało, przysypali wysoko ziemią i ukłękli.

„A światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków. Amen!“ rzekli, razem kończąc swoje modły.

„No! bywaj - ta zdrowi nam, panie Janie,“ zawołał Stanisław, „nie mamy chaty, wszystko spalili czerwone diabły, dobrze że choć przy życiu człowiek, musi się tyrać na stare lata.“

„Gdzież pójdziecie teraz?“ zapytał Jan zdziwiony.

„W nasze lasy, gdzie nas oczy zaniesą, gdzieby nas nie zwietrzyli te psy gończe. Bywaj - ta zdrowi, a strzeście się, abo Szwedy zajrzą i do zamku teraz nie zadługo. Nikt już się im nie oprze, gdy tych dwoje zginęło!“ I wskazał na mogiły wojewodziny i Telembskiego.

„I ten trzeci!“ wyrzekł Jan, „cośmy dopiero go pochowali, niech spoczywają w Bogu!“



Karol XII. po odniesioném zwycięztwie już nie miał przeciwników silnych w Polsce, bo cały naród zmusił do uznania królem Stanisława Leszczyńskiego, nasycając krwawą zemstą morderstwem rozsypanych Kurpiów, co już mu oporu żadnego stawić nie śmiali. Banda opitego żołdactwa napadła zamek poległej Działyńskiej, zrabowali go i spalili. Podstarości Dębocęcki z Janem Huczko, który odtąd pilnował niebezpieczliwej Zofij, schronili się do Jazdowa. Łatwo wyobrazić sobie rozpacz starego Ordonu i matki, która, jako na drugą ofiarę, z rozdartém sercem patrzyć musiała. Chorobę Zofij cechowały otrętwiałość i ciągłe milczenie, w pięć miesięcy śmierć zakończyła jej cierpienia.

Karol XII. pospieszył do Warszawy, gdzie w kościele Karmelitów (na krakowskiem przedmieściu) z Stanisławem Leszczyńskim poprzysięgli sobie wieczną przyjaźń i wzajemną obronę. (*) Chciał widzieć zwłoki bohatera Jana Sobieskiego, które w ówczas złożone były w kościele OO. Kapucynów, (**) stał nad niemi zadumany długo, i musiał pomyśleć, że gdyby martwa teraz prawica kordem włądała, chętnie szwedzkie nie powiałyby nigdy na ziemi polskiej.

(*) Opis starożytnej Polski. T. Święckiego, Tom. 1.

(**) Dziennik Warszawski T. 1. Ciało obrońcy chrześcijaństwa spoczywało w kościele dolnym Kapucynów lat 32 (Dzieje narodu polskiego T. S. Bandtkiego T. 1.)

Odwiedził Willanów sławny z ogrodem pałac, zbudowany rękami niewolników tureckich, ulubione miejsce Jana III. Stanąwszy przy łożu, na którym umarł waleczny Sobieski, zawołał: „Tak wielki monarcha powinienby być wolny od daniny, którą nam, turze wypłacamy.“

Nie długo bawiąc w stolicy Polski, ruszył całym siłami przeciwko Piotra Wielkiego, a uniesiony dumą i zwycięztwy, gdy się dowiedział, że buduje Petersburg, wyrzekł: „Niech buduje Piotr miasta, potrafię je niszczyć.“ (*)

Na próżno mocarz Północy ofiarował mu pokój, odrzucił wszelkie warunki.

„Brat Karol sądzi się Aleksandrem Wielkim,“ powiedział Piotr wtedy, „ale we mnie nie znajdzie Dariusza.“

Nie zrażał się bynajmniej z początku zwycięztwami Karola, i co wyrzekł sprawdził.

„Przewidziałem, (mówił) że dopóty Szwedy nas bić będą, aż wojować nauczą.“

Karol spieszył, stanął pod Pułtawą, gdzie w jednej bitwie stracił całe wojsko, sam uciekać musiał, uwieczniając zwycięztwo Piotra Wgo., a własną porażkę przysłowiem:

„Przepadł, jak Szwed pod Pułtawą!“ (**)

A Kurpie? Zmuszeni poddali się i przysięgli na wierność Stanisławowi Leszczyńskiemu. Gdy los zmienny zgruchotał potęgę Karola XII. pod Pułtawą, August upomniał się o swoje prawa i tron wydarty przemocą, wspierał go Piotr W. i wojska rosyjskie weszły do Polski.

(*) Histoire de Charle XII. p. Voltaire.

Histoire de Pologn. p. Massuet.

Historia państwa rosyjskiego: Nestosuropoja.

(**) Przysłowia naroduwe T. 2.

Ów postrach świata, Karol, siedział w Benderze nieczynny jako niewolnik; patrzeć musiał na zniszczone owoce własnych trudów, rozlicznych zwycięstw i tyle krwi wylanęj. Szmigiełski z Janem Grudczyńskim stawiali opór daremny Augustowi.

Jenerał Steinflicht z pułkownikiem Rebinder i nielicznym zastępem Szwedów, cofając się przed potęgą Moskwy, szukał uchrony między Kurpiami, wich gęstych i nieprzejranych lasach. Kurpie przyjęli gościnnie swoich katów, darowali urazy, a raz przysięgłszy Leszczyńskiemu na wierność, nie chcieli już uznawać Augusta za króla polskiego. Z równym zapałem jak dawniej porwali się do broni, stawiając mężny opór licznemu wojsku Rosyi, którym dowodził jenerał Biron.

Steinflicht z Rebinderem i garstką Szwedów przywodziłi Kurpiom. Na nowo zadrzały lasy od huku dział i wrzawy wojennej, długo mordercze trwały boje różnem na przemian dla stron obydwu powodzeniem. Nie jedną jeszcze klęskę mężni Kurpie nieprzyjaciołom zanieśli, i nie wprzód się poddali, aż wyczerpali wszelkie środki obrony.

Liczna załoga z Torunia z tyłu na nich uderzyła, pułkownik Rebinder, haniebnie zdradziwszy, rosyjską przyjął służbę, a waleczny Steinflicht z pozostałymi towarzyszami broni do Prus się cofnął.

Opuszczeni Kurpie, od wszystkich zdradzeni, musieli znosić nowe okrucieństwa i mordy, i zaprzysięż powtórnie wiarę Augustowi II.

„Gruzy na gruzach leżą tam w zakopie,
 „W okolo strasznie, ponuro, spokojnie,
 „Jak po pogrzebie, jakby po potopie,
 „Jak po powietrzu, lub po długiej wojnie.“

Alexander Borkowski.



PRZYPISY HISTORYCZNE

DO TOMU DRUGIEGO.

XIV.

miłości Augusta w Hiszpanii i tragicznej śmierci jego kochanki patrzyć: „Dziennik Warszawski“ redakcyi J. K. Odyńca.

„Na 20tą godzinę.“

W starożytnęj Polsce jak we Włoszech liczono dzień na 24 godzin.

XVI.

Siła Borowego nie jest rzeczą nadzwyczajną pomiędzy ludem, a w dziejach Polski liczne takowej znajdujem przykłady. Pomijając je jako już znajome, wspomnę o tych, które sam widziałem:

Pomiędzy Mazurami znałem jednego, który 12 najłżejszych wybranych chłopów, gdy się go pochwycili, silnym wstrząśnieniem odrzucił od siebie jak plewy.

Szlachcic Podlaski, olhrzymiego składu ciała, gdy jeszcze Cygani chodzili w Polszcze z niedźwiedziami, próbował się z jednym. Byłem obecny tym zapasom: włożono na pysk niedźwiedzia kaganiec, łapy obwinęto płachtami, by nieuszkodził szlachcica pazurem. Szło o zakład, wygranej strony nagroda

garniec wódki. — Rzucił się szlachcic i uchwycił wpół niedźwiedzia, długo się pasowali, aż w ostatku szlachcica przełamał niedźwiedz. Upadł zwyciężony, i zaledwie odciągnęli rozjadłego zwierza; leczyl się kilka miesięcy nim powrócił do zdrowia, ten wszelako wypadek odjął chętkę szlachcicowi na długo, by nie chodził w zapasy z lesnym olbrzymem.

XVII.

„Boruta diabeł, co stąpi to mila, co skoczy to dwie.“ — Rzecz godna uwagi, że ta łatwość stapania co mila, przypisywana Borucie, znaną jest i w dawniej Szkocji. — O podobnym chodzie wspomina Walter Skott w jednym ze swoich historycznych romansów.

XVIII.

W bitwie pod Klissowem skarżyli się Sasy, że ich nie wspomagało koronne wojsko. Franciszek Puławski w dziele swoim 1740 r., pisze: że polskie wojska nie stały do walki uszykowane, lecz tylko jak do przeglądu, a w samym boju nie miało udziału jak trzy chorągwie. Śmierć księcia na Gotorpie żalnością serdeczną przejęła Karola XII., płakał nad zwłokami wojownika, i były te łzy, podług Voltaira, pierwsze i ostatnie.

XX.

Wzięcie Patkula i śmierć męczenska czysto historycznie jest wzięte z dziejów Polski. Okrucieństwem bezprzykładnym zhańbił swoją sławę Karol XII. Kiedy August wrócił na tron, zdjęto z palów zwłoki nieszczęśliwego Patkula, i przywieziono je w małej skrzyneczce do Warszawy właśnie gdy był obecny poseł francuzki de Buzenval; August II. wskazał na niego ręką, i rzekł zasmucony te tylko słowa:

„Oto są zwłoki Patkula.“

A nikt z przytomnych nie śmiał nic więcej dodać, dla obudzenia wspomnienia czasów tyle bolesnych dla Augusta II.

XXI.

Osoba wojewodziny Działynskiej nie jest zmyślona, rzeczywście ta bochatérka dowodziła osobiście Kurpiom. O wzięciu 300 Szwedów na cmentarzu w Ostrołęce pisze w dziełach Massuet, i Tomasz Swięcki w opisie starożytnéj Polski T. I.

XXIV.

„Lach i sobaka, to wira jednaka.“

W czasie pamiętnéj rzezi Gonty, którego imię i pamięć blicza srogiego zachowało przysłowie: „Wygląda jak Gonta“, wieszano razem księdza, psa i Polaka, a zawsze dopisywano

„Pop, Lach i sobaka,
„To wira jednaka.“

XXVI.

Potockiego wziął w niewolę Szmigielski, ale gdy sam rzeszedł na stronę Stanisława Leszczyńskiego, Potocki dał mu woją córkę za małżonkę.



XLVII

W drzewie pamiątki, tzn. w 1817, królowi i jego
 oblicza stopniowo przyswoić: W 1818, jak G. a.
 a, wiozono rękami kądzi, psia i Polka, kawała dożywano
 „Pop, lach i sódka;
 „To wino jedzaka.”

XLVIII

Polackie wsi w niewolę Stanisławski, do gdy sam
 przoszedł na stronę Stanisława Ławczyńskiego, Polacki dala
 swojej córki za małżonkę.



Drukiem i nakładem M. R. Poręby.

430804

190

A decorative rectangular border with ornate, symmetrical corner designs and a repeating scrollwork pattern along the sides.

DRUKIEM MICHAŁA F. POREMBY.

Biblioteka Główna UMK



300047480130